

Mazury to nie raj na Ziemi, lecz miejsce, gdzie szybko  
i łatwo można kogoś posłać do piekła.



ADAM

WĘGŁOWSKI

Pruski  
łód

SKARPA  
WAR  
SZAW  
SKA

A D A M

WĘGŁOWSKI

Pruski  
łód



# Spis treści

Karta redakcyjna

Prolog

## CZĘŚĆ I: NIEZNAJOMI

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

## CZĘŚĆ II: CZARNE ŚWIĘTA

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Od autora

## Przypisy

Redakcja  
*Adam Podlewski*

Korekta  
*Małgorzata Podlewska*

Projekt graficzny okładki  
*Mariusz Banachowicz*

Skład i łamanie  
*Agnieszka Kielak*

Zdjęcia wykorzystane na okładce  
*@fran\_kie/Shutterstock*

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2022

© Copyright by Adam Węglowski, Warszawa 2022

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze  
ISBN 978-83-67343-42-8



**Wydawca**

Agencja Wydawniczo-Reklamowa  
Skarpa Warszawska Sp. z o.o.  
ul. Borowskiego 2 lok. 24  
03-475 Warszawa  
tel. 22 416 15 81  
[redakcja@skarpawarszawska.pl](mailto:redakcja@skarpawarszawska.pl)  
[www.skarpawarszawska.pl](http://www.skarpawarszawska.pl)



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

# PROLOG

Śnieżyło. W środku nocy zachmurzony księżyc ledwie się tlił, jakby zaspany. Znużone promienie oświetlały ciężkie od białego puchu dachy domów w Lyck<sup>[1]</sup>, konary skostniałych drzew i białą taflę jeziora skutego lodem. Po północy próżno było szukać kogoś na uliczkach, nawet tych rozjaśnionych sztucznym światłem z lamp gazowych. Był środek tygodnia, więc porządni niemieccy mieszczanie spali, odkładając plany wszelkich zabaw na sobotnią noc. Zaś prości Mazurzy – nawet ci, którzy lubili popić nocą nad rzeką lub powędkować w przeręblu na jeziorze – wiedzieli, że w tym czasie lepiej nic nie robić. Był bowiem pierwszy dzień grudnia, a to oznaczało, że nic się nie uda. Żadne zajęcia na gospodarce nie przyniosą pożytku, niezależnie od pogody. Jeśli kto wyruszy w drogę, pech go spotka. O zamążpójściu i innych uroczystościach rodzinnych lepiej było nie myśleć. Nawet dzieci lepiej było tego dnia nie rodzić, gdyż groziła im szybka śmierć albo nędzne życie w biedzie i nieszczęściu.

Skąd to przekonanie? Ano stąd, że właśnie tego dnia przed wiekami mieszkańcy Sodomy i Gomory tak swymi grzechami rozgniewali Boga, że Ten ostatecznie zesłał na nich deszcz ognia i siarki. Tak to przynajmniej przedstawiano w szeroko rozpowszechnionych wśród Mazurów książeczkach z religijnymi wskazówkami, przesadami i prorocत्वami, z których najślawniejszy był „Klucz do bardzo ważnych tajemnic” niejakiego Jakuba Turowskiego.

Na potwierdzenie, że z rocznicy 1 grudnia nie warto żartować, w broszurze znajdowała się też lista innych pechowych dni, z których szczególnie niebezpieczne były 1 kwietnia – gdy Judasz powiesił się po zdradzeniu Jezusa, oraz 1 sierpnia – gdy Kain zabił Abła. Do poważnego traktowania tych ostrzeżeń zachęcały towarzyszące im apokaliptyczne przepowiednie „starego zakonnika”. Pal licho, że wedle nich w roku 1879 miała w ciągu jednej nocy zapaść się Wenecja, topiąc wszystkich swoich mieszkańców i skarby. Minęło już kilkanaście lat od tej daty – i nic! A jednak zabobonny pruski lud nie lekcewał przepowiedni, które

sięgały aż roku 2000 i zapewniały, że nadchodzący wiek XX będzie najokropniejszy ze wszystkich.

Broszurki od lat rozchodziły się na jarmarkach w dziesiątkach egzemplarzy, chociaż nic pewnego o autorze nie było wiadomo. Czasem tylko przedstawiano owego Jakuba Turowskiego, którego nikt na oczy nie widział, jako starego doświadczonego leśnika i myśliwego. Fach budzący szacunek i zaufanie – w opinii wielu Mazurów większe niż profesja pochodzącego z Berlina, a parającego się astronomią, autora pewnych dywagacji, który wróżył koniec świata z powodu uderzenia komety lecącej w stronę Ziemi.

Tego wieczora pogoda może była złowróżbna, ale noc mijała spokojnie, przynajmniej aż do momentu, gdy na tafli jeziora pojawił się powóz. Nie sanie, a czterokołowa berlinka, ciągnięta przez dwa siwe konie. Pojazd niespotykane elegancki jak na kilkunastotysięczny Lyck – mieniący się wprawdzie stolicą Mazur, ale jednak nieprzywykły do takich wystawnych pojazdów. Jeden zwłaszcza szczególnie przydawał berlince niesamowitości. Jechała bez woźnicy. Sunęła w poprzek jeziora nieśpiesznie, jak podczas spaceru. Od strony nieużytków, przy niedawno usypanej grobli prowadzącej na wyspę – ze starym pokrzyżackim zamkiem zamienionym na więzienie oraz Sąd Krajowy i Powiatowy – ku nabrzeżu równoległemu do głównej ulicy miasta, Hauptstrasse. Gdyby gdzieś z wysoka przyjrzeć się, dokąd siwki ciągną berlinkę, można by uznać, że ani chybi kierują się aż za ujście rzeki do jeziora, za miasto. Stały po grubym lodzie spokojnie, jakby nie była to dla nich pierwszozna albo miały wielkie zaufanie do swego pana.

Tylko czy miały takowego? Chyba tak, bo trudno przecież przypuszczać, że wybrały się w tę nocną podróż samodzielnie. Czyżby woźnica spadł z kozła – pijany, chory lub zaspany? Raczej nie, bo wtedy zareagowałby ktoś siedzący w budzie powozu. A ani chybi ktoś tam był, o czym świadczyły odgłosy dochodzące z wnętrza pojazdu. Coś tam się kotłowało i podrygiwało. Słysząc było jęki, jakby ktoś rodził. Byłby to pierwszy przypadek narodzin na środku Lycker See<sup>[2]</sup>. Na pewno rodzącą nie była Mazurka, bo ta – po lekturze tak poważanego „Klucza do bardzo ważnych tajemnic” – raczej nie wybrałaby się w podróż w zaawansowanej ciąży arcycechowego 1 grudnia. Zresztą, co robiłaby prosta Mazurka w takiej karecie? Na dodatek w towarzystwie woźnicy jako akuszera, bo w powozie mieszały się dwa głosy – kobiecy i męski.

Im dłużej to trwało, a buda wciąż podrygiwała jednostajnie, tym bardziej można było nabrać podejrzenia, że miał tam miejsce nie cud narodzin, a raczej akt poczęcia. Ba, sformułowanie to nazbyt eleganckie. W berlinie odchodziło najzwyczajniejsze w świecie chędożenie. Może nawet ordynarna łupanina między prostytutką a klientem. Bo choć bajkowa atmosfera śnieżnej nocy sprzyjała powstaniu legendy o romantycznej schadzce kochanków, którzy nagle ulegli żądzy na środku jeziora, to jednak odgrywane przez kobietę jęki i władcze męskie pomruki z berlinki sugerowały stosunek o charakterze zarobkowym.

Znudzone konie sunęły po lodzie, ignorując podrygującą, rozchwianą i pojękującą budę powozu. Nie zwróciły też uwagi na drobny szczegół, który nieco zmieniał ogląd sytuacji. Otóż w pojeździe pojawił się nowy głos, najpewniej męski. Jakby ktoś, kto wcześniej tylko niemo obserwował kotłujące się ciała, nagle postanowił dołączyć do figli. Albo – wręcz przeciwnie – przerwać je. Buda bowiem na moment znieruchomiła. Po czym, po krótkiej wymianie zdań między pasażerami, poruszyła się jeszcze gwałtowniej, jakby rozkołysana istic huraganowym podmuchem żądzy.

Potem nastąpił huk. A może kilka trzasków, które zwały się w jeden. W jednej sekundzie pod kołami rozbijanej berlinki zarwał się lód. W drugiej – ospałe konie zerwały się jak oszalałe. Zarżały rozpaczliwie, kopytami zabębniły po lodzie. W trzeciej sekundzie nieszczęsne siwki z trudem walczyły, by nie dać się wciągnąć pod lód tonącej budzie, ale spętane rzemieniami i niewolniczo połączone z dyszlem nie mogły wyrwać się z tej pułapki. W czwartej sekundzie lód zarwał się także pod końmi. Cały powóz znalazł się w lodowatej wodzie i szedł na dno, w odmęty jeziora, głębokiego na kilkadziesiąt metrów<sup>[3]</sup> i znanego z tego, że rzadko oddaje to, co raz już pochłonęło.

Chociaż nabrzeże było puste, a zabudowa rzadka i nawet głośnie rzenie koni nie obudziłyby mieszkańców okolicznych uliczek, których okna wychodziły na jezioro, ktoś jednak widział tę finałową scenę dramatu. Rozpaczliwe echo wytrąciło z zamyślenia strażnika dyżurującego w wieży wartowniczej przy więzieniu na Wyspie Zamkowej. Pod wieczór przyszedł na służbę nieco podcięty, po kilku głębszych wypitych do obiadu w towarzystwie weteranów z 8. regimentu ułanów pruskich, stacjonujących kilka lat wcześniej w Lyck. Dla Jakuba Giesia, Mazura z biednej rodziny, popijawa z panami oficerami była czymś niemal nobilitującym.



Kiedy stawiał się w pracy, udało mu się ukryć chwiejny krok i smród gorzałki bijący z ust. Skromną kolację zjadł już w swojej wieżyczce, po czym smacznie zasnął. W życiu nie słyszał, by ktoś z więzienia na wyspie uciekł, więc jego praca wydawała się z gruntu bezsensowna (tak przynajmniej uważał). Spał jednak czujnie – wiedząc, co może mu grozić za niesubordynację i brak dyscypliny, choć sławetny pruski dryl był już ponoć przeszłością. Dlatego nietypowy dźwięk w środku nocy obudził Giesia niczym uderzenie gongu nad głową. Gdy zerwał się na równe nogi i rozejrzał, zdołał namierzyć miejsce, z którego dochodziły dramatyczne odgłosy.

To było jakieś pół kilometra od niego. Gieś sięgnął po dużą, ciężką lornetkę w skórzanym etui. Pośpiesznie przystawił ją do oczu i odszukał właściwe miejsce. Dostrzegł ciemną plamę na białym jeziorze – poszerzającą się, w miarę jak łamały się kolejne płyty lodu. Zdążył zobaczyć szarpiące się końskie łby i coś, co wyglądało na fragment powozu. Potem wszystko znikło. Nikt już nie walczył na powierzchni.

Strażnik przygryzł wargę aż do krwi. Odłożył lornetkę – szkła zaparowały, swoje zrobił też padający śnieg. Nie było sensu bić na alarm, interweniować, nic by to nie dało. Los koni i powozu był przesądzony. Można było tylko pomodlić się za tych, którzy runęli w otchłań. „Po jakiego diabła wybrali się na przejażdżkę po jeziorze?” – pomyślał Gieś. „Lód gruby, ale nie u ujścia rzeki do jeziora! Tam jest prąd, tam zawsze niebezpiecznie”. Nikt z miejscowych by takiej głupoty nie zrobił, to musiał być ktoś przyjezdny. Ktoś, kto właśnie odszedł z tego świata...

Wartownik przeżegnał się. Przed modlitwą odruchowo chuchnął w dłoń, jakby chciał sprawdzić, czy gorzałka już wywietrzała. Niemcy mogli sobie brać Mazurów za pijaków, ale co innego Pan Bóg! Na szczęście Gieś już otrzeźwiał. Zaczął cicho szeptać Ojciec nasz. Po polsku, bo to był święty język mazurskich modlitw, bez względu na panującą wokół niemczyznę.

Nie skończył jeszcze modlitwy, gdy śnieg na moment przestał padać (jakby właśnie o to Gieś wznosił prośby do nieba). Teraz zobaczył więcej. Obok ciemnej plamy na jeziorze sunęła jakaś postać. Pełzała do brzegu, do bezpiecznego lądu. Ta osoba ciągnęła za sobą coś długiego. Czy to był płaszcz, czy może suknia? Strażnik nie mógł stwierdzić. W ciemnościach jego lornetka była przy takiej odległości do niczego.

Jeszcze jednej rzeczy Gieś nie miał szansy dostrzec. Przy przerębli, wyglądającym jak przepaść wiodąca do piekielnych czeluści, został na lodzie

przedmiot, zgubiony chyba przez postać, która zdołała umknąć śmierci. Niewielki pistolet – taki jakich używały nawet kobiety. Jednak o świcie nie było już po nim śladu.

Miejscowa prasa – i niemiecka, i polskojęzyczna, i żydowska – nie napisała o incydencie, bo nikt nawet go nie zauważył. Nikt poza wartownikiem. On zaś trzymał język za zębami ze względu na splamione gorzałką sumienie: wszak mógł wypatrzyć powóz na jeziorze wcześniej, gdyby się nie zdrzemnął. Koledzy Giesia ze stróżówki u podnóża więzienia, chociaż także nocą czuwali, nic nie widzieli, bo scenę tragedii zasłaniały im nadbrzeżne drzewa.

Nikt więc nie wiedział, skąd wzięła się wyrwa w lodzie. Nieliczni mieszkańcy spacerujący rankiem nad jeziorem uznali, że przerębел to robota kiepskich wędkarzy, którzy wybrali się na ryby w pechową noc 1 grudnia, więc pewnie niewiele złowili. Nie donoszono jednak, by ktokolwiek zaginął, więc nie było się czym przejmować. Wyrwa szybko zarosła, przez nikogo nie badana. Z kolei głośne końskie rżenie w środku nocy (nawet jeśli ktokolwiek zwrócił na nie uwagę) mogło mieć wiele różnych przyczyn. Ślady po powozie do rana przysypał śnieg. Nikt nie wpadłby na to, że pod lodem zniknęła berlina z pasażerami i końmi.

Z czasem – wraz z kolejnymi butelkami gorzałki – nawet Gieś uznał, że wypadek miał szczęśliwe zakończenie. Wmówił sobie, że w powozie był tylko woźnica, który wy dostał się z wody i dopełził do brzegu. Ba, strażnik zaczął przypisywać wyjątkową moc swojej modlitwie, którą zaniósł tamtej nocy do Pana. Nie mówił jednak o tym nikomu, poza żoną. Ta zbyt kochała swojego niedojdę, by go wyśmiewać lub prowokować wyrzuty sumienia. W końcu mieli piątkę dzieci.

Kilkanaście dni później inne wydarzenie z nad jeziora zelektryzowało mieszkańców. Oto, jak donosiła prasa, wieczorową porą w słup latarni nieopodal Hauptstrasse uderzyły sanie. Woźnica wyleciał z nich jak z katapulty prosto na bruk. Nic mu się nie stało, aczkolwiek był tak potłuczony, że długo masował zadek. Chyba zszokowany uderzeniem, nie zauważył, gdy nadbiegł jakiś zadyszany człowieczyna, krzyząc: „Trzymajcie złodzieja! Toć to moje sanki!”. Złodziejaszek, jak się okazało rodem z Königsbergu<sup>[4]</sup>, trafił pod sąd.

Nikomiu z mieszkańców Lyck, przyzwyczajonych do tego kalibru nowin, nie śniło się, że pod lodem Lycker See może kryć się tajemnica, od której zjeżyłyby się włosy na głowie czytelnikom nie tylko w Prusach, ale i w całym Cesarstwie. Dzieci dalej jeździły po jeziorze na łyżwach jak gdyby nigdy nic.

CZĘŚĆ I:

NIEZNAJOMI

# ROZDZIAŁ 1

Nocą przeszła nad Königsbergiem matka wszystkich burz. Błyskawice rozświetlały niebo nad opustoszałym portem, zlodowaciałym zamkiem i ośnieżonymi kamienicami, jakby miasto miało być sceną powrotu dawno zapomnianych pogańskich bogów. Pioruny uderzały z hukiem. Na dodatek, rzadkie zjawisko, burzy towarzyszyła zamieć. Śnieg oblepiał szyby, wiatr bił w okiennice. Nie można było nawet zmrużyć oka. Dopiero nad ranem Gerhard znalazł ukojenie, razem z kolejną wysuszoną butelką. Tak zwykł się usypiać.

Spał osiem godzin, ale nie przywróciło mu to spokoju ducha. Późnym popołudniem Gerhard miał przyjąć w swej willi gościa, którego przybycie gnębiło go bardziej od burzowej pogody. To właśnie perspektywa tej wizyty odbierała mu sen i popychała do jeszcze większego pijaństwa. Oczy miał podkrążone, a uśmiech blady. Ostatnimi czasy ogólnie zmizerniał. Czuł, że psują mu się wzrok, zęby i oddech. Wypadały mu włosy, z nosa bez powodu ciekła krew, mięśnie były słabe, czuł się wiecznie zmęczony i rozdrażniony. Przypadek? Nie wierzył w Boga, ale od zawsze towarzyszyło mu przeświadczenie, że w przyrodzie nic nie ginie. Miał wrażenie, że zdobyte pokątnie pieniądze, które przed laty miały mu przynieść szczęście, ściągnęły na niego jakąś chorobę.

Starzec, który zapowiedział wizytę u Gerharda, był jego dawnym klientem. Ostatnio widzieli się, gdy dzielili pieniądze przekazane przez księcia Baden. Wydawało się, że więcej już się nie spotkają. A tu niespodzianka. „Spadek w rodzinie. Spodziewaj się mnie za dwa dni, późnym popołudniem” – napisał stary w telegramie. Brzmiało to prozaicznie. Jednak ta krótka korespondencja bardzo zaniepokoiła Gerharda, bo nie byli wcale spokrewnieni. Poznali się przypadkiem, podczas kilkuletniej praktyki Gerharda w Berlinie. Telegram pachniał tajemnicą.

Dochodziło jeszcze to paskudne przeczucie, że w końcu uderzy w Gerharda powracająca fala, wywołana przez jego własne dawne uczynki Odplata za stare

przewiny. Jakże chciał raz na zawsze pozbyć się wyrzutów sumienia! A tego nie mógł mu dać ani najlepszy koniak, ani najbardziej prymitywny i uderzający do głowy biber. „Może to spotkanie jednak coś pomoże, uporządkuje?” – myślał z nadzieją. Właśnie, może nie powinien bać się spotkania ze starym? A nuż będzie okazja, by zrobić kolejny dobry interes.

„Że też się nie wyprowadziłem z tego cholernego Königsbergu tak, by mnie nie znalazł” – wyrzucał sobie teraz Gerhard. Jakby nie pamiętał, że porzucił plany przeprowadzenia się na stałe do Paryża, gdy jego artystyczne zdjęcia okazały się niewypałem, wbrew nadziejom i oczekiwaniom. Wrócił do rodzinnego Königsbergu z podkulonym ogonem i nadwyreżonymi finansami. Spełnienie marzeń o żonie i gromadce dzieci musiał odłożyć na później.

Z jednej strony przydałby mu się zastrzyk gotówki, z drugiej – nie za bardzo miał ochotę wchodzić ponownie w układy z tym starym draniem. Przez moment Gerhard zastanawiał się, czy nie uniknąć jakoś spotkania. Mógł nie otwierać drzwi lub po prostu na jakiś czas zniknąć. Jednak był też ciekawy, o co chodzi. Przecież gdyby było naprawdę źle, telegram brzmiałby groźniej.

Pozostało więc czekać.

Stary pojawił się pod willą (będącą zarazem atelier fotograficznym Gerharda) już po zmierzchu. Gdy stanął w drzwiach, zza jego pleców powiało chłodem i śniegiem, niczym upiorną przeszłością łączącą obu mężczyzn. Wyciągnął dłoń do Gerharda, lecz ten wcale jej nie uścisnął.

Trwali przez moment w tym zawieszeniu, gdy wokół zawirowały jakieś cienie. Wpadły między nich obce postaci. Gerhard chciał zareagować, jakoś krzyknąć, lecz nie zdążył. Czyjaś dłoń z nawilżoną szmatą zacisnęła się na jego ustach. Poczul woń eteru.

Nim stracił świadomość, Gerhard zauważył tylko, że tajemniczy napastnicy w podobny sposób potraktowali jego gościa. „Ty stary durniu” – pomyślał. „Chciałeś mnie przed nimi ostrzec, a tylko sprowadziłeś ich do mnie”.

Obudził się skostniały z zimna. Leżał w śniegu. Nie wiedział gdzie. Żył i nie był nawet spętany, jednakże bał się ruszyć. Obok leżał z otwartymi oczami „stary dureń”. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia i powoli podnieśli głowy, by się rozejrzeć.

Znajdowali się na leśnej polanie oświetlonej łuną ogniska. Było pusto i cicho. Przez moment. Potem zza ściany drzew za ogniskiem dobiegło ujadanie. Coraz głośniejsze.

Obaj mężczyźni znów wymienili spojrzenia. Nie wiedzieli, co się dzieje, ale instynkt podpowiadał im, że tu nie ma na co czekać, tu trzeba uciekać.

Rzucili się przez polanę, ku przeciwległej krawędzi lasu, jak najdalej od ogniska i ujadającej sfory. Słusznie, bowiem łowca, który prowadził psy, specjalnie je wyćwiczył. Od maleńkości szkolono je do tego, by zabijały. Brunatne owczarki były zajadłe i niezwykle wytrwałe – myśliwy już to sprawdził podczas polowań na dziki i wilki. Doskonale nadawałyby się też do pilnowania rozległej posiadłości, jednak ich opiekun takowej nie miał. I nie taki los wybrał dla swoich ulubieńców, których pieczołowicie doglądał. Przyzwyczajał je do walki. Z pomocą słomianych manekinów rozbudzał w nich żądzę krwi. Potem kupił specjalne uprząże nabijane ostrymi guzami i hakami.

Sfóra sapała, warczała i wyla. Coraz głośniej. Obaj mężczyźni nawet nie musieli widzieć żadnego z psów, by wiedzieć, że nie chcą stanąć z nimi oko w oko. Wbiegli w las i pędzili szaleńczo między drzewami, jakby wiedzieli, że walczą o życie. Nie zadawali sobie pytań, kto ich porwał i dlaczego wywiózł do lasu. Albo jaki sens miało szczucie ich jakąś krwiożerczą sforą bez zadania choćby jednego pytania. A może byli o coś pytani i coś odpowiedzieli, tylko już tego nie pamiętali? Albo ktoś, będąc sędzią i katem zarazem, bez procesu wydał już na nich wyrok, a na miejsce egzekucji wybrał to zimne piekło?

Gerhard wysforował się naprzód, stary był kilka kroków za nim. Potknął się.

– Poczekaj, pomóż mi – wysapał stary. Gerhard na moment przystanął i spojrzał na współtowarzysza. Na twarzy starego siwy zarost mieszał się ze śniegiem. Wyglądał teraz tak poczciwie i nieporadnie, że pomoc wydawała się obowiązkiem. Ale nad tymi drżącymi ustami i sinym nosem oblepionym płatkami śniegu były jeszcze rozumne i wyzywające oczy spryciarza. Człowieka, który potrafi szybko krzywdzić i szybko zapominać. U którego pomysłu usprawiedliwia perfidię. Przemysłność tłumaczy kłamstwo. Gdy stary zrozumiał, że Gerhard mu nie pomoże, w tych oczach pojawiły się iskierki szyderstwa, potem gniewu, wreszcie chłodnej wyższości. Stary wymamrotał coś obelżywego, ale ujadanie zagłuszyło wyzwiska.

Sfora była już tylko o parę kroków za nimi. Za psami biegło dwóch mężczyzn z pochodniami, wydając psom komendy. Lecz i bez nich bestie wiedziały, co robić. Jakby czuły w powietrzu zapach krwi.

Przed uciekającymi zamajaczyła wśród drzew niewielka polana z czymś, co w świetle księżyca wyglądało na ambonę, wieżę myśliwską. Może tam zdołają się skryć? Schronią się przed dzikimi bestiami i usłyszą od mężczyzn z nagonki choć słowo wytłumaczenia?

Lecz uciekinierzy nie zdążyli. Dobiegali już do drewnianej wieży, gdy otoczyły ich psy z wyszczerzonymi kłami. Wstrzymywały się z atakiem, jakby czekały na komendę swoich panów. Potworna sfora z płonącymi ślepiami zacieśniała krąg, gdy do uciekających zbliżyli się dwaj myśliwi z pochodniami. Ich kanciaste, kamienne twarze nic ich ofiarom nie mówiły.

– Nagroda jest już blisko – stwierdził enigmatycznie jeden z łowców.

Wtedy stary zniecka kopnął go w podbrzusze. Nikt nie spodziewał się po nim ani takiej siły, ani refleksu. Myśliwy wydał z siebie jęk i rzucił jakieś przekleństwo. Psy oczy poruszyły się niespokojnie, jak olbrzymie świetliki. Stary tymczasem nie tylko odebrał łowcy pochodnię, ale też wyrwał mu zza pasa kordelas. Stał nad zwiniętym z bólu mężczyzną i przycisnął nóż do jego szyi – tak mocno, że myśliwy aż syknął, a na ostrzu pojawiła się krew.

– Zabieraj te bestie, bo go ukatrupię! – rzucił stary do drugiego z łowców. Ten gwizdnął cicho, a psy przerwały krąg i stanęły za nim. Trudno im było jednak opanować rozbudzone żądze. Drapieżniki zbliżały się. Stary machnął pochodnią przed oczami jednej z bestii, ale owczarek nawet się nie cofnął, tylko głośniejsz zawarczał.

– Zabieraj je! Ostrzegam! – wrzasnął stary i przesunął lekko ostrze. Krew spłynęła w dół szyi, a klęczący myśliwy zacharczał. Wymamrotał pod nosem jakąś prośbę, po której jego towarzysz ponownie przywołał psy.

Gerhard uznał, że sfora nie pilnuje już ich obu, lecz całkowicie skupiła się na starym. Poczul, że to jedyna okazja, by przeżyć. Ostrożnie zaczął się przesuwać w stronę ambony. Po chwili jednak zmienił zdanie. Co mu da wspięcie się na wieżę? Sfora i łowcy tak po prostu nie znikną. Musiał dalej uciekać, dalej w las. Sam.

Popędził ku ścianie drzew.

– Co robisz! Nie zostawiaj... – warknął stary na Gerharda, ale nie dokończył. Bowiem dokładnie w tej samej chwili myśliwy wyrwał się z jego uścisku. A wtedy drugi wydał komendę.

Pierwszy pies dobrze wyćwiczonym ruchem skoczył do ludzkiego gardła. Błysnęły kły, prysły ślina i piana. Stary przewrócił się, przygnieciony ciężarem zwierzaka atakującego z dzikim impetem. Wypuścił żagiew, coś kłapnęło mu przed nosem, zasłonił szyję ramieniem, a pies zanurzył w nim zęby, szukając upragnionej krwi. Wtedy stary wbił kordelas prosto w oko bestii. Potwór zaskamlał z bólu, zdezorientowany. Stary odepchnął zwierzaka nogą. Ranny owczarek przekoziółkował i z piskiem umknął z pola widzenia. Zapach krwi jednak tylko podniecił resztę sfory. Kolejne owczarki rzuciły się na starego. Zawył wniebogłosy z psią mordą wbitą między nogami.

Tymczasem Gerhard nie odbiegł daleko. Znów zaczęły go otaczać bestie. Zwierzęta, wiedzione przez obu łowców, minęły Gerharda bokiem i zaczęły zabiegać mu drogę. Zrozpaczony uciekinier zatrzymał się i raptownie zmienił kierunek. Zawrócił. Znów zaczął biec w stronę ambony na polanie. Po drodze minął martwego starego, zastygłego w przerażającym grymasie – wyglądał niczym zasuszone w trumnie mumia człeka pochowanego żywcem. Pies rozszarpywał mu wnętrzności. Bestia z czerwonym od krwi pyskiem ledwie spojrzała na Gerharda, cicho warcząc. Drugi owczarek, z zakrwawionym okiem, nerwowo pocierał pysk o łapę, jakby próbował wydłubać z oczodołu to, co zadaje mu ból.

Gerhard chciał wyrwać z dłoni trupa kordelas, ale psy wyglądały zbyt upiornie. Nie śmiał bardziej się zbliżyć, by ich nie prowokować. Podniósł za to pochodnię zgubioną przez starego i dogasającą wśród zaśnieżonych gałęzi. Lepsza taka broń niż żadna. Zwłaszcza że nagonka znów była tuż za nim.

Zdyszany uciekinier zaczął wspinać się drewnianymi schodkami na szczyt ambony. „Czy są tak szerokie, że psy wdrapią się za mną?” – przemknęło mu przez myśl. Wprawdzie pokraccie to wspinanie bestiom wychodziło, lecz Gerhard wolał nie ryzykować. Uciekł przed psimi szczękami na samą górę wieżyczki. Tam zatrzasnął za sobą drzwiczki i zamknął na zasuwę.

Był bezpieczny. Tylko na jak długo? Głośno wypuścił powietrze ze zmrożonych płuc.

– No, nareszcie – usłyszał wtedy kobiecy głos, dobiegający z ciemności.



Oświetlił ten zakamarek pochodnią.

Zobaczył kobietę wyglądającą niczym Królowa Śniegu. Lecz nie była to postać z baśni. Gerhard widział już tę twarz. Znał ją, niestety.

W dłoniach trzymała dubeltówkę z obciętymi lufami.

Gerhard zrozumiał, że porwanie i cały ten krwawy leśny spektakl przygotowano dla niej, dla jej satysfakcji. Zrezygnowany opuścił pochodnię.

## ROZDZIAŁ 2

Leon raz za razem masował sobie prawą dłoń. Miał lekko opuchnięte palce, a kłykcie rozdrapane do krwi. Wszystko przez wydarzenia sprzed kilku dni.

Pił w karczmie nieopodal garnizonu wojskowego. Przysiadł na ławie między wielkimi beczkami. Pod starymi gazetami i anonsami wywieszonymi na ścianach, wśród flag z godłami mazurskich browarów, z których rozpoznał tylko ten z głową Janusa o dwóch obliczach – herbem Lyck. Od kilku lat nie był w rodzinnym mieście, więc widział sporo nowych – jak mu się wydawało – twarzy. Wypatrywał dawnych kolegów, ale oni jakby zapadli się pod ziemię. Może wyłysiali i obrośli tłuszczem, dlatego nie mógł odnaleźć wysportowanych sylwetek chłopaków, z którymi pływał na wyścigi z jednego brzegu jeziora na drugi? A może i on wydawał się obcy? Włosy mu przyciemniały i przerzedziły się, ogorzał, dorobił się szramy na policzku, a spod koszuli wypełzały na jego szyję malowane języki osobliwego tatuażu, rzadko spotykanego wśród marynarzy. Ogorzał na oceanach, podczas służby w niemieckiej flocie. Szrama zdobiła jego twarz od czasu bójki w porcie w Jokohamie. Amerykanin, który tak „udekorował” policzek Leona, opuszczał tawernę w niewiele lepszym stanie: miał złamany nos i pękniętą szczękę. Co zaś się tyczy tatuażu, marynarz z Lyck dorobił się go na Wyspach Karolińskich.

Musiał to wszystko szczegółowo opowiedzieć piersiastej Reni, która roznosiła piwo w przygarnizonowej knajpie, a po skończonej pracy przysiadła się do trochę podchmielonego już Leona. Pił piwo za piwem, jakby trunki z browarów w Lyck były dla niego wodą. Zasluchana Renia bawiła się warkoczem, a on gadał i gadał, coraz głębiej zaglądając jej w dekolt.

– Odwykłem od dziewcząt ze skórą jak śnieg – wymamrotał i uśmiechnął się niemal przepraszająco. Renia wywróciła oczami. Przywykła do takich zalotów, ale wolała jeszcze posłuchać o dalekich podróżach. Tutejsi wojacy mogli co najwyżej opowiedzieć o „dalekich” Alpach. Tymczasem Leon snuł historie tak niezwykle, że

należałoby uznać je za bajki. Były prawdziwe, choć dla efektu mieszał w swych gawędach różne wyspy rozrzucone po bezmiarach Pacyfiku. Opowiadał o ciemnoskórych ludziach z dalekich krain, żyjących jak w dawnych wiekach: w długich drewnianych domach, przy ogniskach. Czas spędzali oni na polowaniach w dżungli i uprawianiu skromnych poletek, na dłubaniu czółen z drewna i poławianiu pereł, na wojnach i płodzeniu dzieci, na wypędzaniu złych duchów i zaklinaniu niszczycielskich tajfunów. Tańczyli i urządzali uczty, na które kosze przysmaków przynosili – niczym cyrkowcy – na głowach. Rozprawiał o mężczyznach chodzących w samych przepaskach na biodrach, z grzebieniami i kogucimi piórami wpiętymi w czupryny związane na czubku głowy. Mówił wreszcie o kobietach z odkrytymi piersiami, między którymi zwisały roślinne naszyjniki. Każda miała poczernione zęby, włosy zebrane w kok z boku głowy, a na biodrach spódniczkę z trawy, paproci i liści bananowca.

– Poczernione zęby? Dlaczego? – skrzywiła się Renia. – Bo zepsute?

– Nie. Im się wydaje, że to ładnie. No i żują taki swój własny... hm... jakby tytoń.

– A mimo to zaglądało się pod te spódniczki, co? – spytała wprost.

– Oj, zaglądało... – Leon jeszcze bardziej pokraśniał, a przez myśl przeszło mu, ile nieślubnych dzieci mógł po sobie zostawić tam za morzami. – Oj, pięknie byś wyglądała w takiej spódniczce i z takim naszyjnikiem z kwiatów – westchnął, znów koncentrując się na ciasno opiętej i aż nadto wyeksponowanej zawartości kaftana Reni.

– A dużo oni mają pieniędzy, te dzikie ludzie? – spytała.

– Czy dużo? Nie. Ale jakie duże! – odparł Leon i aż zachłysnął się od śmiechu.

– Jak to? – zdziwiła się.

– Tak to, że nie mają takich monet, które się zmieścić mogą w kieszeni. Ich monety wielkie są i zrobione z kamienia. Niektóre większe od ciebie, kochana! – Leon zaczął żywo gestykulować, ale nawet swoimi niedźwiedzimi łapami nie mógł oddać rozmiarów egzotycznych kamiennych dysków.

– No w to już nie uwierzę! – zachnęła się Renia. – Masz mnie chyba za jakąś głupią!

– Dlaczego?

– No bo jak czymś takim płacić?

– Mają te kamienne dyski w środku dużą dziurkę, przez którą drąg można przełożyć i monetę w kilku chłopa przenieść – tłumaczył Leon. – A że i to nielekkie idzie, więc skarbów tych używają tylko w sprawach najpoważniejszych, płacąc za czołno, usługi szamana czy wdzięki dziewczyny.

– No oczywiście. To też musi kosztować. – Renia spojrzała na Leona z udawaną dumą.

– Nie inaczej, moja mazurska księżniczko. – Pogłaskał ją po dłoni. Wyrwała się, udając płochliwą, i kontynuowała przepytывanie.

– A jak z wami handlowali ci miejscowi? Przecież nie płacili tymi swoimi kamieniami? – zauważyła przytomnie.

– No pewnie, moja mądralo. – Leon błysnął swoim uśmiechem, nieco wyszczerbionym i nadwyrężonym bójkami lub wypadkami, ale nie przezartym skorbutem (co w oczach kobiet było godne pochwały). – Nam płacili perłami, muszlami, żółtymi pancerzami i ogórkami morskimi.

– Są takie? Kiszone? – dopytywała.

– A skądże, królewno. – Leon zaśmiał się zadowolony, że dziewczucha wpadła w sidła, które zastawił. – One się tylko nazywają ogórki, a to zwierzęta morskie. Trochę jak wielkie kolczaste ślimaki bez pancerzy.

– Na co one komu?

– W Chinach uważają je za przysmak. Sam cesarz nimi się zajada.

– O matko święta! – zachnęła się Renia. – W życiu bym do Chin nie pojechała i za cesarza nie wyszła.

– Ale ze mną to może byś się przeszła tu i ówdzie? – Leon zmrużył oko. – Nie opowiedziałem ci jeszcze o malunkach na skórze, jakie mi zrobili. Mam te tatuaże nie tylko pod szyją, ale dosłownie wszędzie. Nie uwierzyłabyś...

I wtedy stało się coś, na czego wspomnienie Leon czuł, że swędzi go pięść. Bo właśnie w tym kluczowym momencie, w którym miał zaproponować Reni wycieczkę po własnym ciele, pojawiło się kilku umundurowanych drabów. To byli podpici kawalerzyści. Trzej ułani, którzy mieli chrapkę nie tylko na piwo.

– Reniu, czekamy na ciebie i czekamy – odezwał się na dzień dobry jeden z wojaków, rudawy blondyn z wąsem i fajką w zębach. Uszczypnął Renię w pośladek, aż dziewczyna zapiszczała i podskoczyła. Raczej nie z uciechy.

– Już jestem po pracy – burknęła, szybko odwracając się do absztyfikantów.

– No właśnie – odparł kawalerzysta, nie wypuszczając fajki z gęby. – Będziesz miała z nami pełne ręce roboty.

Ułani zachichotali, ale Renia nie kwapiła się, by do nich dołączyć.

– Jestem zajęta – odparła i odwróciła się do Leona. Spojrzał w jej twarz i sam nie wiedział, czy dziewczucha patrzy na niego z niemym błaganiem, czy z wyzwaniem w oczach.

– Zajęta? – warknął kawalerzysta. – Z kim? Z tym kmiotkiem? – Pochylił się i dźgnął Leona palcem wskazującym. A właściwie chciał dźgnąć. Bo nim dotknął ramienia marynarza, ten chwycił jego palec w garść i gwałtownie szarpnął w górę, wyłamując ze stawu pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Strzeliła kość, ułan zawył z bólu. Tym razem fajka już mu z gęby wypadła.

Kompani ułana skoczyli na Leona jak koty. Pierwszy dostał w szczękę tak mocno, że poleciał jak długi na ławę. Niestety runął prosto na Renię, a ta nie dość, że swoimi walorami zamortyzowała jego upadek, to jeszcze sama boleśnie odczuła uderzenie. W tym momencie Leon wiedział już, że tego wieczoru miłosna przygoda go ominie.

Co gorsza, nie była to portowa tawerna, gdzie z pomocą mogliby mu przyjść inni marynarze. Tu przewagę mieli żołnierze z garnizonu. Leon zdołał jeszcze grzmotnąć trzeciego z ułanów w pysk, a potem zleciała się cała chmara mundurowych. Z trudem strząsnął ich z siebie, zaliczył kilka kuksańców i kopnięć, po czym żwawo rzucił się do ucieczki. Przeskakiwał z ławy na ławę, ze stołu na stół, a potem skoczył prosto w otwarte – mimo zimowej aury – okno gospody. Wylądował w hałdzie śniegu i zaczął co tchu zmykać. Nie potrzebował w Lyck kłopotów. Ba, powinien ich wręcz za wszelką cenę unikać.

Odzalaował pozostawione w gospodzie stare palto, na szczęście nie trzymał w nim ani pieniędzy, ani dokumentów. Żeby jednak uniknąć problemów, zadekował się na kilka dni w chałupie po rodzicach na Sybbie<sup>[5]</sup> – letniskowym osiedlu pod Lyck. Nie wystawiał stamtąd nosa. Jadł ziemniaki i cebulę, tego mu nie brakło.

Gratulował sobie, że parę dni wcześniej zabrał ze stryszku cenną skrzynkę, przywiezioną z wysp Pacyfiku, i oddał do banku. Mógł się poczuć dużo pewniej. Bowiem – nie wiedział czemu – miał poczucie, że ktoś go śledzi. Widywał jakąś sylwetkę na koniu. Wokół gospodarstwa pojawiały się w śniegu ślady nieznanym

buciorów. „No, ale to w końcu jeździec czy włóczęga, buty czy kopyta?” – zastanawiał się. „Masz zwidy. To tylko wina tego domu. Za dużo w nim się działo, nie znosisz go”.

21 grudnia wreszcie wyszedł z chałupy. Okutany w futro, w wielkiej czapie na głowie, liczył, że nikt go nie pozna – nawet jeśli po awanturze jest poszukiwany za porachowanie kości kilku wojakom i zniszczenie szkła karczmarzowi.

Po kilkunastominutowym spacerze z Sybby przystanął na moście, przy tak zwanej Bramie Polskiej, żeby przypatrzeć się łabędziom. Ileż czasu już ich tutaj nie widział! Pamiętał z dzieciństwa, jak z siostrą znaleźli na lodzie łabędzia, któremu przymarzła pletwa i nie mógł się, biedaczysko, ruszyć. Nie wiedzieli, co robić, w końcu mały Leoś... zdjął spodnie i nieszczęśnikowi tę przymarzniętą łapę obsikał. Ciepły strumień uwolnił łabędzia, ale ten ani myślał się odwdzińczyć. Zaczął dziobać i podgryzać chłopca, który nawet nie zdążył jeszcze wciągnąć gatek. Siostra patrzyła to na rozdrażnionego ptaka, to na dyndającego ptaszka brata, który dopiero po chwili został przez Leosia ze wstydem upchany do spodni.

Ech, ta jego siostrzyczka! Już niedługo znów ją spotka. Jeszcze dziś Leon miał do niej wysłać telegram, że zgodnie z planem przyjedzie jutro, 22 grudnia, popołudniowym pociągami do Rastenburga<sup>[6]</sup>, gdzie od jakiegoś czasu mieszkała.

Gdy już napatrzył się na łabędzie i powspominał dawne czasy, Leon ruszył na pocztę. Był to nowoczesny gmach z czerwonej cegły, wzniesiony kilkanaście lat temu przy Bahnhofstrasse – ulicy wiodącej na dworzec w Lyck. „Ale zaraz, kiedyś nie był aż tak duży” – uświadomił sobie. „Musieli go sporo powiększyć”. Było to prawdopodobne, bo w rozbudowującej się stolicy Mazur coraz to pojawiały się nowe inwestycje. Było to widać nawet naprzeciw poczty, gdzie – obok równie świeżego monumentalnego gmachu Sądu Krajowego – upiększano park zwany Nowym Skwerem. Sadzono drzewa na cześć niemieckich monarchów, wytyczano aleje, brakowało jeszcze tylko fontanny.

Ale i bez tego przechodnie już upodobali sobie to miejsce. Jakaś młoda blondynka w grubym szalu, w kapeluszu – zwieńczonym z jednej strony strusimi piórami, a z drugiej pękiem róż – patrzyła na niego znad numeru „Unser Masurenland”. Znali się? Chyba nie, zapamiętałby. Kobieta z wyższych sfer – innych niż te, z których pochodziła Renia spod koszar.

Leon szybko załatwił swoje sprawy na poczcie. Po wysłaniu telegramu na moment zatrzymał się tylko przy okienku nadawania i odbierania paczek.

Przeszło mu przez myśl, że może lepiej byłoby nadać swoją cenną skrzynię pocztą, a nie zabierać w podróż pociągiem? Tylko czy to byłoby bezpieczniejsze? Czy mógł aż takim zaufaniem obdarzyć pocztę? Oczywiście, że w pociągu miałby pieczę nad swoim bagażem, nie pozostawiłby go na łasce jakichś urzędasów. „Co też przychodzi mi do głowy?” – pomyślał. „Może jednak ta awantura w knajpie mi zaszkodziła?”. Mimochodem pomacał głowę, ukrytą pod futrzaną czapą, a potem popatrzył na prawą rękę. Palce wciąż miał opuchnięte, a skórę na kostkach obdarta do krwi.

– Twarde gęby mieli ci wojacy – mruknął, ponownie masując dłoń.

Zanim wróci do domu i przyszykuje się do podróży do Rastenburga, chciał sprawdzić coś jeszcze. Tamtej nocy w karczmie widział ogłoszenie, że na Bahnhofstrasse, niedaleko za pocztą, zaprasza w swoje podwoje fotoplastykon. To miała być wielka nowość w Lyck, dotąd takie przybytki pojawiały się tylko w wielkich miastach. Leon widział już niejedną, ale ciekaw był tego w rodzinnym mieście. Szybko odnalazł właściwą kamienicę i wypatrzył szyld. Otworzył z rozmachem drzwi i wpadł prosto na jakąś małą dziewczynkę.

– Uważaj, aniołeczku. – Złapał ją pod bródkę i popatrzył w niebieskie oczy. Były piękne, ale nieufne i zimne. Ta mała pewnie będzie kiedyś łamać męskie serca z taką łatwością, z jaką on łupie orzechy.

– Co też pan robi, dziecko pan mi straszy. – Leona odepchnął jakiś jegomość w okularach, który, jak się okazało, towarzyszył dziewczynce.

„Co tak wybałuszasz te gały, jakbyś Tatara zobaczył?” – pomyślał w odpowiedzi Leon. Potem przyszło mu do głowy, że może faktycznie w futrze i wielkiej czapie wyglądał dość groźnie i dziecko mogło się wystraszyć. Było już jednak za późno, by się uśmiechnąć. Jegomość z dzieckiem znikł. Leon zaś znalazł się twarzą w twarz z przygarbionym bladym młodzianem, który wyszedł do niego zza szerokiego drewnianego bębna z wizjerami i przeciskał się między umieszczonymi pod nimi krzeselkami.

– Przykro mi, ale zakład jeszcze nieczynny – oznajmił chłopczyna, lekko się jękając.

– Rozumiem, ale ja nie chciałem tu zdjęć oglądać – odparł marynarz.

– Doprawdy? – Młodzian nagle zhardział i obrzucił Leona wzgardliwym spojrzeniem. – A co pan chciałeś, krowy albo kozy tu sprzedawać?

– Wiem, czym zajmuje się pański zakład – przerwał mu Leon.

– Doprawdy? – powtórzył młodzian.

– Wiem i widziałem podobne – kontynuował Leon. – Moi koledzy marynarze mogliby panu podesłać trochę egzotycznych zdjęć z dalekich wysp. Mam dużo znajomych rozsianych po całym świecie. Widzieli rzeczy, o których trudno nawet mówić...

– Nasze zdjęcia są najlepszej jakości – przerwał mu pracownik fotoplastykonu. – Pan wybaczy, ale nie kupujemy ich od pierwszych lepszych fotografów. Muszą spełnić pewne kryteria techniczne, by nadawały się do naszej aparatury.

– Ale ja nie mówię o zdjęciach, które będziesz pan tu pokazywał dzieciom i szanowanym matronom. – Leon wszedł w słowo swojemu rozmówcy. Rozejrzał się, jakby ktokolwiek towarzyszył im w pomieszczeniu, i ściszył głos. – Mówię o zdjęciach dla wyłącznie męskiej klienteli. Rozumiemy się?

Chłopaczyna zrozumiał. I zrobił się na twarzy czerwony, a potem zielony.

– Precz stąd, bezecniku! – warknął. – To jest poważny edukacyjny interes! Ja jestem synem pastora! Precz stąd natychmiast, bo żandarmów wezwę!

Z tym argumentem Leon nie próbował dyskutować. Zmył się w okamgnieniu. Znów chciał dobrze, a o mało nie narobił sobie kłopotów. Chyba ścigał go jakiś pech.

\*\*\*

Wolfgang Sadowski z trudem radził sobie jako wdowiec. Szczerze mówiąc, nie chodziło nawet o to, że nie mógł żyć bez swojej zmarłej żony Elwiry, bo po jej zgonie pękło mu serce. Nie, przez kilkanaście lat małżeństwa ich wzajemne uczucia – nigdy nazbyt żarliwe – gasły z każdym dniem. Nie tak bardzo jednak to wspólne życie mu obmierzło, by myślał o rozwodzie, szwendał się po burdelach czy wręcz sięgał po truciznę (co też się przecież zdarzało w małżeńskich parach, wystarczyło spojrzeć do gazet). Żona prowadziła dom i zajmowała się córeczką, on zaś miał swoją urzędniczą pracę. Poza tym oboje mieli pasje. Całkiem różne, więc wcale ich nie łączyły. Ale szanowali się nawzajem.

Kiedy Elwira zachorowała na galopujące suchoty, Sadowski musiał porzucić zawodowe ambicje i rzucić w kąt swoje dotychczasowe zainteresowania. Walczył dzielnie, jak podkreślali jego teściowie: nie żałował pieniędzy ni czasu, wyszukiwał



lekarzy, zadłużył się. A przy tym starał się, by nie wpędzić w umysłową i emocjonalną zapaść ich córeczki, Miłki. Stało się jasne, że trzeba ją przygotować na odejście matki. To zaś wymagało czasu i uczucia – a tych przez lata Sadowski nie miał do zaoferowania swojemu dziecku zbyt wiele.

Żona pogrzebana została na cmentarzu w Lyck, w rodzinnym grobowcu. Przed każdymi świętami Bożego Narodzenia Sadowski jechał z Miłką spod Rastenburga, by odwiedzić zmarłą. Czasami myślał sobie, że to nawet lepiej, że mogła jest daleko, w innym mieście. Wyobrażał sobie bowiem, że córka gotowa byłaby codziennie chodzić nad grób. Płakać, bo zawsze lała łzy na myśl o śmierci mamy. Rozmyślać, bo chociaż miała dziewięć lat, to była nad podziw dojrzała umysłowo. Ale mimo że pod wieloma względami tak poważna i rozważna, Miłka wciąż pozostawała tylko małą dziewczynką. Na dodatek samotną, tylko z nieodłączną lalką w rączkach.

„Może powinieneś znaleźć kogoś, kto stałby się dla niej namiastką matki?” – spytał Sadowskiego kolega w pracy. Ten w odpowiedzi tylko nerwowo potarł szkiełka swoich okularów, a potem przestał odzywać się do tegoż znajomego. Nie wyobrażał sobie, by pieczę nad Miłką miała sprawować jakaś macocha. Nie żeby naczytał się braci Grimm – także córeczka wydawała się odporna na ich mroczny urok – po prostu uważał, że nic dobrego z tego nie wyjdzie. Albo on zacznie dla tej kobiety zaniedbywać córeczkę, albo obie będą o siebie zazdrosne, albo nowa żona zacznie go puszczać kantem, zawiedziona brakiem należytej uwagi. „Zresztą – powtarzał sobie w chwilach szczeroci – kto by chciał takiego łysiejącego mola książkowego jak ja, bez perspektyw na karierę, z nikłymi oszczędnościami i starymi przyzwyczajeniami?”.

Kiedy 21 grudnia odwiedzili grób Elwiry Sadowskiej, Miłka wydawała się bardziej smutna i ponura niż kiedykolwiek. Nie chciała powiedzieć dlaczego. Unikała odpowiedzi. Wolą rozmawiać ze swoją lalką, Bellą. Takie przynajmniej ojciec odniósł wrażenie. Pomyślał więc, że może małej poprawi się humor, gdy potowarzyszy mu przy jego ulubionym zajęciu. Zabrał ją na most prowadzący na Wyspę Zamkową. Tam, przystanąwszy pod rozłożystym drzewem, wyjął zza pazuchy szkicownik. Szybko przerzucił kilkanaście stron, na których wprawne oko mogłoby dostrzec widok na zamek krzyżacki w Netzdorfie<sup>[7]</sup>, mur i baszty w Barten<sup>[8]</sup>, wypalone ruiny Burg Gross Wohnsdorf<sup>[9]</sup>, zameczek w Preussisch Eylau<sup>[10]</sup>, gdanisko w Marienwerder<sup>[11]</sup>, a nawet widok z balonu na potężny

Marienburg<sup>[12]</sup>. Rysował te pokrzyżackie zabytki w szkicowniku, a potem w pracowni w domu starał się na ich podstawie malować akwarele. Szło mu nieźle, nie na tyle jednak dobrze, by traktował to jako dodatkowe źródło zarobku. To był po prostu jego konik – *hobby*, jak mówią Anglicy. Miłka zwykle chętnie obserwowała go przy pracy, zerkając przez ramię. Musiał tylko znaleźć miejsce, gdzie dało się dobrze usadowić – najlepiej na konarze lub ławce. Zimowa aura temu nie sprzyjała, ale w końcu znalazł jakiś pieniek i przystąpił do pracy.

Z kilku kresek postawionych ołówkiem zaczął powoli tworzyć się cały gmach pokrzyżackiego zamku-więzienia w Lyck. To było dla Miłki jak magia, jak czary. Przed chwilą na papierze nie było jeszcze nic, a po paru minutach pojawiała się tam kopia świata, w którym mogła umieszczać swoich własnych bohaterów, zmieniać pogodę, a nawet coś niszczyć, ścierać z powierzchni.

– Opowiesz mi coś o tym zamku? – poprosiła.

– Niewiele o nim wiem – odparł.

– Na pewno coś słyszałeś, tatku.

– Coś, owszem. Czytałem w zbiorze legend opisanych przez pana Toeppena, że gdy Tatarzy – wysłani tu z zemsty przez polskiego króla – najechali te tereny, wzięli w jasyr...

– A co to takiego? – przerwała.

– To znaczy w niewolę... – Sadowski poślinił ołówek i opowiadał dalej, nie przestając rysować. – Schwytali wielu mężczyzn z miasta i chcieli zabrać ich daleko na targ niewolników. Wcześniej jednak przystanęli na noc na pobliskim wzgórzu po drugiej stronie jeziora. Tam popili tego i usnęli jak niedźwiedzie na zimę. – Miłce wyraźnie spodobało się to porównanie, bo uśmiechnęła się szeroko. – Wtedy do obozu zakradły się żony schwytanych chłopów. Poprzecinały im więzy, uwolniły ich z kajdan i wypuściły na wolność. Mężczyźni zaś pobili pijanych Tatarów i szczęśliwie wrócili do domu.

– Mamusia też by ciebie uwolniła? – spytała nagle Miłka.

– Oczywiście – odparł natychmiast, aczkolwiek z pewnym wahaniem w głosie, Sadowski. Był zaskoczony pytaniem, nie przewidział, że myśli córeczki zawędrują w tym kierunku. Musiał szybko zmienić temat. – Jest też inna opowieść. Mianowicie o skarbach – zagał.

– O skarbach? – zainteresowała się.

– Tak. Leżą w tunelu, który prowadzi pod jeziorem z zamku do kościoła. Tego tam za naszymi plecami.

– Znajdziesz go?

– Chciałbym!

– To o nim rozmawiasz z wujkami, jak mówisz o krzyżackim skarbie?

Ręka Sadowskiego z ołówkiem zadrżała.

– O czym ty mówisz, dziecko? – Chrząknął.

– No mówiłeś jednemu wujkowi, że tej zimy znajdziesz krzyżacki skarb, inaczej się zabijesz. – Miłka zaczęła gładzić włosy lalki. – Ja to słyszałam i Bella, kiedyś w nocy.

– Nieprawda. – Sadowski zgromił córkę wzrokiem. Chciał jej powiedzieć, że nigdy w życiu by się nie zabił, że to tylko tak się mówi. Nie był jednak pewien, czy warto kontynuować ten wątek, czy tylko nie pogorszy sprawy kolejną rozmową o śmierci.

– Bella to taki twój skarb, prawda? – spytał więc łagodnie, zmieniając temat.

– No – uśmiechnęła się Miłka.

– Chyba z nią najwięcej rozmawiasz.

– No, nie tylko.

– A z kim jeszcze?

– A z różnymi osobami, które przychodzą.

– Dokąd? Do nas? – zdziwił się, bo rzadko gościli znajomych z dziećmi.

– Nie, w różne miejsca. Na przykład na cmentarz.

– Na cmentarz? – Zmarszczył brwi. – Ja tam nikogo nie widziałem.

– Może źle patrzyłeś. Ja widziałam.

„Aha, znowu ci przyjaciele na niby” – pomyślał Sadowski. To już nie pierwszy raz Miłka opowiadała o niewidzialnych znajomych, z którymi lubi sobie uciąć pogawędkę. Cóż, lepsi tacy przyjaciele niż żadni. Jak podrośnie, to o nich zapomni.

– Wiesz co? – Znów zmienił temat, chowając ołówek i szkicownik. – Podejźmy do tego kościoła, pokaże ci coś bardzo ładnego.

– Ładnego? – zainteresowała się. – To, co rysujesz, było ładne.

– Dziękuję – uśmiechnął się. – Ale to naprawdę będzie śliczne.

Zabrał dziewczynkę w stronę centrum miasta. Pod kościołem przystanęli pod wysokim monumentem. Na kamiennym postumencie siedziała kobieta ze skrzydłami wyrastającymi z ramion, trzymająca w dłoni wieniec.

– Widzisz, jaka piękna? – spytał, wskazując na kamienną postać.

– To anioł? – spytała Miłka, a Sadowski szybko wyczuł, że zaraz wpadnie w kolejną pułapkę, którą sam sobie zgotował. Ani chybi usłyszy pytanie, czy mama jest u aniołków!

– Nie. To Wiktoria. Bogini zwycięstwa – odparł szybko.

– Jakiego zwycięstwa? – Miłka wspięła się na palce, by lepiej zobaczyć klasyczną piękność.

– Każdego. Jak coś ci się uda w życiu, to możesz sobie wyobrazić, że Wiktoria zakłada ci na głowę taką piękną ozdobę z liści – odparł. Nie miał zamiaru mówić, że to pomnik postawiony po wojnie prusko-francuskiej, na cześć zwycięskich niemieckich wojsk. Znow musiałby zahaczyć o poległych, zmarłych, śmierć.

– Aha... – zadumała się Miłka. – Czyli to taka twoja niewidzialna przyjaciółka?

– No, nie tylko moja. – Ojciec się zaśmiał. – Może też być twoja.

– Ale ja bym wolała tamtą panią. – Miłka odwróciła się i wskazała bezceremonialnie na przechodzącą obok piękną blondynkę w kapeluszu z piórami i kwiatami. Sadowski zaczerwienił się po same uszy. Na szczęście kobieta nic nie zauważyła, najwyraźniej pochłonięta przez własne myśli.

– Wiesz, co... – Ojciec chwycił córeczkę za rękę i pociągnął na drugą stronę ulicy, w dół Bahnhofstrasse. – Może chodźmy w jeszcze inne miejsce, spodoba ci się.

Przypomniał sobie, że widział ogłoszenie o nowo otwartej atrakcji w Lyck. To miał być fotoplastykon. Wspaniała wyprawa w egzotyczne dalekie światy uwiecznione na zdjęciach, a dzięki specjalnym okularom wyglądające jak żywe. Miłka nic podobnego jeszcze nie widziała. Ojciec całą drogę zachwalał jej, że zobaczy coś wspaniałego. Dała się przekonać i przestała rozglądać za blondynką w szykownym kapeluszu, która wcześniej tak przypadła jej do gustu.

Wreszcie dotarli pod szyld fotoplastykonu. Otworzyli drzwi, wewnątrz powitał ich z uśmiechem młody człowiek o miłej aparycji i... oznajmił, że z oglądania nici. Wskutek problemów technicznych otwarcie zakładu nastąpi później, niż reklamowano. Początkowo właściciel przewidywał, że uda się uruchomić atrakcję tuż przed świętami Bożego Narodzenia – co oczywiście korzystnie wpłynęłoby na

ruch w interesie i przyciągnęło mnóstwo mieszkańców Lyck, spragnionych egzotycznej przygody i tropików, tak różnych od mazurskiego klimatu. Niestety, nie udało się, i obecnie realnym terminem otwarcia zakładu jest dopiero 2 stycznia.

– Cóż, może następnym razem – westchnął zawiedziony Sadowski.

Jeszcze bardziej zawiedziona była Miłka. Opuściła wzrok i zaczęła rozmawiać z Bellą.

– Nie martw się, dziecko. – Młody człowiek pochylił się, by ją pocieszyć, i wyszczerzył zęby w uśmiechu. – Kiedy następnym razem przyjdiesz z tatą lub mamą, wszystko już będzie działać. Pokażę ci wielkie papugi z dżungli w Ameryce.

– Moja mama nie żyje! – obruszyła się Miłka i prawie uderzyła młodziana swoją Bellą. Trudno powiedzieć, czy zrobiła to celowo, czy lalka tylko wymsknęła się z rąk dziecka i trafiła mężczyznę między oczy. Jakkolwiek było, sytuacja stała się niezręczna. Właściciel zakładu mamrotał coś przepraszająco i rozglądał się za cukierkami dla małej, z kolei Sadowski próbował delikatnie strofować córkę i tłumaczyć, że ów pan chciał jak najlepiej, ale po prostu się pomylił. Na dodatek w środku tej sceny wszedł do zakładu jakiś potężny drab w futrze, który swoją posturą zasłonił niemal całe drzwi, a śmierdział potem, tytoniem i tanim piwem pitym do śniadania. Sadowskiego omal nie zemdliło.

Musieli jak najszybciej wyjść z tego przeklętego fotoplastykonu.

Sadowski postanowił wrócić do mieszkania, miał już na dzisiaj dość spacerów. Jutro biorą pociąg i wracają do siebie. Ruszył zwawym krokiem i pociągnął Miłkę zaśnierzonym chodnikiem do ich tymczasowego lokum w pensjonacie znajdującym się między koszarami a katolickim kościołkiem. Po drodze Sadowski nie wydał z siebie ani słowa. Miłka też milczała, czasem mruczała tylko coś do Belli.

Jednak ojciec szybko zapanował nad emocjami. Poczucie winy i obowiązku kazało mu znów zamienić się w czułego i troskliwego rodzica. Zwolnił żelazny uścisk, w jakim trzymał piąstkę córeczki, ciągnąc ją za sobą. Miał już nowy pomysł, jak rozładować napięcie.

– Wiesz, że tu niedaleko jest taki mostek na rzece, na który chadzają zakochani?  
– zaczął kusić małą.

– Zakochani?

– Tak. Może byśmy poszli i zobaczyli, czy ich dzisiaj dużo?

Dziewczynka nie musiała nawet odpowiadać. Wyraźnie przyspieszyła kroku.

Droga prowadziła alejką obsadzoną drzewkami. Jacyś wandalcy powyrywali kilka lat temu część z nich, ale w ich miejsce pojawiły się nowe. Kiedyś, gdy podrosną, alejka stanie się prawdziwą aleją. Tyle że drewniany Most Westchnień był w rzeczywistości niczym więcej niż sporą kładką, aczkolwiek wzmocnioną, by oparła się krze na rzece. I żadni zakochani na nim dzisiaj nie wzdykali. Nie było nawet żołnierzy z pobliskiego garnizonu, którzy skracali sobie przez ten most drogę na Sybbę – do znajomych willi, domu uzdrowiskowego, leśnej karczmy lub po prostu na miejscową strzelnicę. Sadowski już zastanawiał się, jak to wytłumaczyć dziewczynce, żeby nie była zawiedziona, ale okazało się, że wcale nie musiał.

– Nikooooo nie ma, tylko my – ziewnęła Miłka. – Bella mówi, że to dlatego, że my jesteśmy zakochani i nikt nie chce nam przeszkadzać.

Sadowski roześmiał się i pocałował dziewczynkę w czoło, tuż pod kolorową czapeczką skrywającą jej loczki.

– Oczywiście – potwierdził. – Mądra ta Bella. Mądrzejsza, niż myślałem.

Miłka ziewała, ale kręciła się po mostku tam i z powrotem, jakby dobra energia tego miejsca, z którym łączyło się tyle miłosnych uniesień młodych zakochanych, dobrze na nią działała. Sadowski obserwował ją przez parę minut, po czym przeniósł wzrok w dal. Za plecami dziewczynki, za rzeką, znajdowały się tereny zielone i – na szczęście ukryte w tej chwili za drzewami – cmentarz, który dziś już odwiedzali, a gdzie spoczywała Elwira Sadowska. Nieopodal wyrastało wzgórze. Nazywano ją Górką Jerozolimską. Znajomy nauczyciel opowiadał mu, że nazwę tę, naturalnie kojarzącą się z Żydami, wymyślono, zanim jeszcze w Lyck pojawili się wyznawcy religii Mojżeszowej. Skąd więc wzięło się to określenie?

W starych księgach można było znaleźć przypuszczenie, że Zakon Krzyżacki praktykował w Prusach pewien zaskakujący rytuał. Gdy wyparty został z Ziemi Świętej i nie miał już tam powrotu, jego rycerze nazywali Wzgórzami Jerozolimskimi pagórki nieopodal swych zamków na ziemiach zabranych poganom, między Bałtykiem a Wisłą. Tak jak tutaj. Ponoć Krzyżacy organizowali na tych pagórkach rodzaj turniejów mających przypominać zdobywanie

prawdziwej Jerozolimy. Wkopywali tam nawet posągi zrobione przez pogański pruski lud, a udające Saracenów.

Sadowski nie miał pojęcia, czy to prawda. Miał jednak zamiar sprawdzić inną legendę związaną z Krzyżakami. Potem albo zostanie bogaty, albo się zabije.

\*\*\*

Przed wyjściem z domu Marta Schellong spojrzała w wielkie tremo. W zwierciadle zobaczyła piękną i pewną siebie blondynkę o posągowej urodzie. Kokarda u szyi, bufiaste ramiona i wąskie rękawy, bezlitośnie ciasno zasznurowany gorset, uwydatniający wąską talię, opięte biodra. Wielu kobietom było w takim stroju niewygodnie, lecz nie Marcie. Dla niej ten ubiór był jak zbroja. Uważała, że jego sztywność nadawała mu charakter pancerza, który chronić ją miał przed światem. A gdyby to nie pomogło, w torebce nosiła jeszcze jednostrzałowy pistolecik. I fiolkę ze żrącym kwasem. Była przygotowana nawet na najgorsze.

Panna Schellong nie lubiła dni targowych. Bywało bowiem, że wychodząc ze swej kamienicy, natrafiała wówczas na nieznośny tłum ludzi. Osobników niższej kategorii, z którymi nie chciała mieć nic wspólnego. Musiała się między nimi przepychać, a oni ocierali się o nią co chwila, jakby dokładnie wiedzieli, jak bardzo jest to dla niej nieprzyjemne. I jeszcze te śmiechy, nawoływania, głośnie dyskusje na ordynarne tematy. Co ją obchodził pomór bydła? To nawet lepiej, że krowy wyzdychały, bez nich na targowisku mniej śmierdziało. A mleka i wołowiny Marta nie lubiła. Ponadto dlaczego miałyby ją interesować dyskusje o zarazie, która spustoszyła okoliczne jeziora i spowodowała, że trzeba było wpuścić do nich dwadzieścia tysięcy raków? Zupa rakowa nigdy jej nie smakowała, nie mówiąc o innych daniach z tym swoistym mazurskim *frutti di mare*.

Smród. Jeszcze parę lat temu był iście piekielny. Po dniach targowych nieczystości zamiatano do rynien w bruku, którymi spływały do jeziora. Wstyd i hańba. Żadna dama nie chciała się pojawić w takim miejscu, przyjezdni zatykali nosy i dostawali mdłości. Dopiero ostatnio zaczęło się to zmieniać, wraz z rozwojem sieci wodociągowej i kanalizacyjnej – do czego nieraz panna Schellong nawiązywała w prywatnych rozmowach.

Kolejna przykra sprawa związana z targowiskiem pod jej kamienicą to stragany z irytującymi tanimi książeczkami o gusłach. Przepowiednie, zabobony, coraz to

nowe wydania „Klucza do bardzo ważnych tajemnic”. Na dodatek po polsku. Marcie wydawało się, że w dzień targowy słyszała ten język wszędzie dookoła. I to sprawiało, że czuła się dodatkowo zaniepokojona. Co z tego, że w dzień powszedni na ulicy kulturalni ludzie mówili do siebie po niemiecku, a w urzędach panował język Goethego i pruski porządek. Wystarczyła jedna wycieczka na miejskie targowisko, a czar pryskał. Marta zaczęła się obawiać, że przyjdzie dzień, w którym ta polskojęzyczna tłuszcza wyleje się z kramów i stoisk, ze swoimi brudnymi łapami i utyłanymi w gnoju dziurawymi buciorami, na całe miasto. Prymitywna hołota zaleje wszystko dookoła i zniszczy, cofnie niemiecką misję cywilizacyjną na wschodzie o kilka wieków. A na koniec te brudne łapy sięgną też po Martę Schellong. Ale co to, to nie! Wolałaby podciąć sobie żyły albo się utopić. Mimo z mazurska brzmiącego nazwiska – może jej przodkowie byli kiedyś Szelągami z Mazowsza – Marta uważała się za Niemkę z krwi i kości.

Dlatego bezustannie krytykowała znajomych, którzy bagatelizowali problem pruskiego ludu z Mazur. Sprzeciwiała się sprowadzaniu taniej siły roboczej z Kongresówki. Te wszystkie Jaśki i Marciny z Mazowsza więcej robiły tu złego niż dobrego. A Mazurzy z Prus powinni się jasno zadeklarować: czy stoją przy cesarzu i niemczyźnie, czy też nadal używać będą języka polskiego w modlitwie i życiu codziennym – wbrew rozsądkowi i politycznemu zmysłowi. Nie przekonywały jej tłumaczenia, że Mazurów nie ciągnie do Polaków zza miedzy, bo po pierwsze tamci są katolikami, a po drugie żadnej Polski nie ma już i nie będzie. Marta bała się, że każda nić pobratymstwa Mazurów z nacjami słowiańskimi będzie tylko zagrożeniem dla Prus Wschodnich. Bombą, która kiedyś wybuchnie. Zwłaszcza że w miastach pojawiało się też coraz więcej Żydów, których lojalności nigdy nie można było być pewnym.

Sama znała nieźle język polski i zaglądała do czasopism rozpowszechnianych w Lyck. To, co publikowała „Gazeta Ludowa”, zdaniem panny Schellong kwalifikowało wydawnictwo do natychmiastowego zamknięcia i skazania jego właścicieli na twierdzę (lub zsyłkę gdzieś do nowych niemieckich kolonii na Pacyfiku). Wystarczyło spojrzeć na wydanie ze środy 20 grudnia. Pod winietą „Gazety Ludowej” powtarzano z numeru na numer komunikat: „Matki polskie! Czuwajcie nad tem, aby dzieci Wasze nie zapomniały swej mowy ojczystej! Uczcie dzieci czytać i pisać po polsku! Uważajcie, żeby one z Mazurami TYLKO PO POLSKU rozmawiały. Jest to rzecz zasadnicza i bardzo ważna!”.



„Już takie namowy powinny być karalne” – myślała panna Schellong, która w swym przedszkolu nie miała wprawdzie do czynienia z dziećmi mazurskimi, więc nie mogła wybić im z głowy myślenia i modlenia się po polsku, aczkolwiek zdawała sobie sprawę, jak ważne jest, co i jak przy nich się mówi. Co więcej, na apelach krecia robota „Gazety Ludowej” się nie kończyła. Poniżej, pod sekcją z najświeższymi informacjami, publikowano powieść w odcinkach. „Krzyżacy” Henryka Sienkiewicza, epizod siedemdziesiąty ósmy. Romans osadzony w czasach średniowiecznych, w którym sprowadzeni na wschód Europy rycerze z Zakonu Szpitala Najświętszej Marii Panny Domu Niemieckiego w Jerozolimie prześladowają Polaków i Litwinów, w tym niejakiego Zbyszka z Bogdańca i Danusię Jurandównę. Niemców ukazano w książce jako okrutnych i lubieżnych, a Słowianie jawili się na ich tle jako ludzie światli, prawi i wierni chrześcijańskiej nauce. Schellong wyniosła zupełnie odmienne przekonanie ze swej całej nauczycielskiej edukacji. Miała też inne życiowe doświadczenia. Mogłaby wiele opowiedzieć o przeżyciach nastolatki narażonej na awanse prymitywnych polskojęzycznych mazurskich chłopców z sąsiedztwa, ale starała się wymazać te sceny z pamięci.

Tym niemniej śmieszyła i oburzała ją proza Sienkiewicza. Już tylko w tym fragmencie, z numeru „Gazety Ludowej” z 20 grudnia, można było znaleźć takie treści:

*Księżę rzekł:*

- *Poczekaj! Tymczasem dam ci dla niego lek, któren mu ulży albo go i całkiem uzdrowi.*
- *Balsam Krzyżaki przysłały? – zawołała żywo Danusia, odejmując od oczu ręce.*
- *Tym, co Krzyżaki przysła, psa lepiej posmaruj, nie zaś rycerzyka, którego miłujesz.*<sup>[13]</sup>

Antyniemiecka wymowa powieści aż kłuła w oczy. Jakim cudem dopuszczono do publikacji czegoś takiego w sercu Prus? „Powiadają, że są jeszcze sądy w Berlinie, ale czy są tam również ludzie o zdrowym rozumie?” – zastanawiała się panna Schellong.

Uważała, że niegdysiejsza wojna z katolicyzmem i polskością – w której tak dobrze sobie radził przed laty prokurator i deputowany z Lyck doktor Falk, uczyniony przez kanclerza Bismarcka pruskim ministrem edukacji – winna być kontynuowana. Dlatego bardzo się ucieszyła, usłyszawszy o powstaniu przed kilku laty Związku dla Popierania Niemczyzny na Kresach Wschodnich<sup>[14]</sup>. Zrozumiała,

że jest więcej Niemców podobnie jak ona zaniepokojonych sprawami przyszłości narodu, zwłaszcza na terenach zagrożonych półbarbarzyńską Słowiańszczyzną. Nawiązała listowny kontakt z przedstawicielami organizacji w tuzinie wschodniopruskich miast. Ze znajomą patriotką z Allenstein<sup>[15]</sup> wpadła nawet na pomysł, by skupić się na werbunku kobiet, stworzyć dla nich specjalne salony towarzyskie i biblioteki. W końcu skoro polskojęzyczna „Gazeta Ludowa” nawoływała: „Matki polskie! Czuwajcie nad tem, aby dzieci Wasze nie zapomniały swej mowy ojczystej!”, to prawdziwe niemieckie patriotki powinny apelować: „Matki pruskie! Czuwajcie nad tem, aby dzieci Wasze używały świętej mowy niemieckiej!”.

Niestety, gdy przyszło co do czego, okazało się, że władze w Berlinie nie są szczególnie zainteresowane wspieraniem działalności patriotek. Decydentów bardziej zajmowało szukanie pragermańskich starożytnych pamiątek. Zawiedli Martę także junkrzy pruscy, czyli miejscowa arystokracja. Jak się zdawało, grupa ta powinna być najżywościej zainteresowana wspieraniem niemieckiej krwi w Prusach. Było jednak inaczej: ze względu na jakieś polityczne zawiłości i towarzyskie niuanse junkierstwo miało działalność Związku w nosie. Jeden z tych arystokratów zasugerował pannie Schellong, że powinna raczej poszukać męża i sama dorobić się dzieci, zamiast zajmować się dziatkami innych Niemek. Ba, dał Marcie do zrozumienia, że sam może się zająć znalezieniem odpowiedniego kawalera dla tak „cudownej blondynki”.

To było naprawdę bolesne. Marta poskarżyła się na takie traktowanie swej rodzinie mieszkającej w Königsbergu, ale również tam nie spotkała się ze zbyt dużym zrozumieniem. Zasugerowano jej, że dama nie powinna zajmować się polityką. Spotkała się też z uwagami zaskakująco zbieżnymi z chamskimi sugestiami junkra.

Cały świat chciał rozporządzać jej losem, dlatego musiała skryć się w zbroi. Nie w skorupie jak żółw, bo nie miała zamiaru okazywać strachu. Nie zamierzała być jak zakonnica. Chciała być jak bogini, której nikt nie śmie tknąć, a jeśli kto podniesie na nią rękę, trafi go piorun z jej podręcznego pistoleciku jednostrzałowego, ale całkiem sporego kalibru.

W założonym niedawno w Lyck klubie cyklistów – do którego zapisała się jako kobieta nowoczesna i wysportowana, podobnie jak wcześniej do grupy amazońki – poznała starszawą już panią Rozamundę Heide. Ta od czasu do czasu zapraszała

ją do swojego gospodarstwa pod miastem. Stanowiło ono resztkę dawnej świetności jej rodu, Heide pochodziła bowiem ze zubożałej pruskiej szlachty. Tam Marta ćwiczyła się w strzelaniu. Dobrze wiedziała, że nic nie da jej nawet najlepsza broń, jeśli zawaha się przy celowaniu.

Rozamunda, która straciła przed laty męża na froncie prusko-francuskim, z uznaniem przyglądała się jej próbom. Każdą trafioną puszkę i butelkę kwitowała gorącymi oklaskami. A po strzeleckim treningu rozmawiały, rozmawiały... Niestety, Heide zmarła w 1898 roku na dur brzuszny, a Marcie przypadł w udziale smutny obowiązek poinformowania o jej śmierci synów, rozproszonych gdzieś daleko.

Jeden z nich nawiązał z panną Schellong bliższy kontakt. Był jeszcze młodym kawalerem, ale nie czynił jej awansów. Tym zaskarbił sobie zaufanie. Wydawało się, że nie szuka żadnej życiowej partnerki, nie ma takich potrzeb. Chętnie za to rozmawiał o poglądach Marty na świat i Niemcy. Przyznał jej rację, gdy powiedziała, że za dużo jest wokół słowiańskich małpoludów i coś w końcu trzeba będzie z tym zrobić.

Kiedy 21 grudnia 1899 roku Marta Schellong, podczas spaceru po Lyck, przysiadła w parku, by poczytać gazetę, obserwowała właśnie okaz takiego małpoluda. Wielki mężczyzna w dziurawym, znoszonym palcie, w futrzanej czapie. Z daleka śmierdziało niższą rasą, niezależnie od tego, co stało w jego dokumentach. Panna Schellong zerknęła na ten żaloszny egzemplarz niby-człowieka, a jej ręka dyskretnie zsunęła się do torebki. Drobne paluszki zacisnęły się na rękojeści rewolweru. Uśmiechnęła się. Miło było poczuć się pewnie i bezpiecznie.

\*\*\*

Wieża wodna, postawiona w roku 1895 na wzniesieniu na północnym krańcu Lyck, między Przedmieściem Garncarskim a Ogrodami Vogla, wyglądała dostojnie i pięknie. Ta pięciopiętrowa budowla, z kopulastym dachem i wieżyczką, miała prawie trzydzieści pięć metrów wysokości i doskonale wpisywała się w krajobraz nad jeziorem (w innych okolicznościach pewnie stanowiłaby znakomity punkt widokowy). Częściowo otynkowana, częściowo obłożona czerwoną cegłą, zbudowana została na planie ośmioboku i udekorowana wieloma szlachetnymi ozdobnikami, w tym arkadowym gzymsem. Nie o wartość artystyczną jednak tu

chodziło. Dla miasta postawienie wieży było kluczem do unowocześnienia systemu kanalizacji i zadbania o poziom życia mieszkańców stolicy Mazur. Wcześniej do czerpania wody pitnej służyły cztery publiczne studnie i sześćdziesiąt pięć prywatnych. Z jej jakością było jednak różnie. W wieży, w stalowym zbiorniku retencyjnym o pojemności około czterystu metrów sześciennych gromadzono wodę pozyskiwaną ze studni głębinowych, o kontrolowanej czystości. Zbiornik ten znajdował się wysoko pod kopułą, więc zgromadzona woda pod odpowiednim ciśnieniem mogła być łatwo rozprowadzana do położonych niżej domów mieszkańców Lyck.

– No i cóż wam dała ta wieża, skoro w 1897 roku mieliście tu epidemię duru? – rzucił łysy jak kolano, okrągławy jegomość z cygarem do chudego człowieczka, który klarował mu to wszystko z arcyważną miną, nie szczczędając cyfr i wyliczeń. Stali i rozprawiali pod samiutką wieżą ciśnień, mimo temperatury poniżej zera.

– Panie Kramer, a cóż by było, gdybyśmy tej wieży wtedy nie mieli? Poza tym to tylko pewien etap w naszych działaniach. Dalszym będzie rozbudowa systemu kanalizacji, budowa przepompowni, oczyszczalni, zadbanie o wodę z jeziora, szukanie kolejnych ujęć wody pod miastem... – Inżynier zaczął wyliczać w odpowiedzi kolejne argumenty, lecz okrągły jegomość nie dał się przekonać.

– Powiem panu tak, drogi panie inżynierze – odparł Kramer, zaciągając się cygarem. – Postęp technologiczny jest olbrzymi. Nauka wciąż przyspiesza. Może, gdybyście poczekali parę lat, postawilibyście wieżę lepszą, tańszą i praktyczniejszą w innym miejscu. A tymczasem przegapiliście szansę na postawienie czegoś znacznie ważniejszego. Nie ma jeszcze w Prusach żadnej Wieży Bismarcka. A jest w Ober-Johnsdorf na Śląsku, są w Schneebergu i Bad Salzellen w Saksonii, jest w Bad Freienwalde w Brandenburgii, są w Sondershausen i Thul w Turyngii, jest w Lütjenburgu w Schleswig-Holstein, jest w Bergu nad jeziorem Starnberger w Bawarii...

– I wszystkie je pan widział? – wtrącił inżynier.

– A co to ma za znaczenie? – burknął Kramer, niemal dmuchając rozmówcy w twarz nikotynowym dymem. – Ważne, że na Mazurach wznoszą dopiero takowe upamiętnienie wielkiego kanclerza w Drengfurcie<sup>[16]</sup>.

– Drengfurth?! A gdzie to w ogóle jest?

– Kawaleczek na zachód za Angerburgiem<sup>[17]</sup>. Mieścina. Nie wiadomo więc, ile czasu im to zajmie. Lyck może jeszcze być pierwszy! – Kramer ujął inżyniera pod ramię. – Ja to wszystko zorganizuję, potrzebuję tylko funduszy i gorących serc! Puszek i słoików wypełnionych markami przez patriotów. Patriotów, którzy rozbujają tę akcję niczym łajbę na jeziorze. I będą chwytac w naszą chwalebną sieć datki, tak jak święty Piotr zbierał wiernych dla Jezusa. Wiem, co mówię. Przecież jestem pastorem i przedsiębiorcą! Widział pan reklamy, mój syn rozkręca tutaj fotoplastykon. Ja nie rzucam słów na wiatr. Fotoplastykon i Wieża Bismarcka zrobią z Lyck prawdziwą stolicę Mazur.

– Mówi pan, jakbyśmy mieli się czegoś wstydzic. Nie jesteśmy jakąś najgorszą prowincją. Tu nawet artyści i pisarze zajeżdżają po drodze z Königsbergu do Rosji, do Petersburga. – Chudy inżynier spojrzał na Kramera z rodzajem ledwo skrywanego niesmaku. „Pastor stawiający Wieżę Bismarcka? Pastor inwestujący w fotoplastykon? Pastor z cygarem?! I jeszcze się wymądrza” – pomyślał.

– Wiem, co pan myśli. – Kramer cisnął niedopalone cygaro w śnieg. – Ale Chrystus kazał nam być odważnymi i śmiało służyć innym. Czyż nie to mi przyświeca? Bardzo mi zależy, żeby poparł mnie pan w rozmowach z burmistrzem.

– Myślę, że i ratusz, i mieszkańcy woleliby jakiś plac, poświęcony na przykład Velthusenowi<sup>[18]</sup> – opierał się inżynier.

– A któż to, jakiś wynalazca?

– Poeta, proszę pana! Opiewał piękno tych ziem, chociażby w „Lycker Zeitung”.

– Piękno broni się samo, panie kochany. Niepotrzebne mu pomniki – przekonywał pastor. – Zresztą, czy przeszło panu przez myśl, że ja to wszystko robię dla siebie, a nie dla wyższego dobra?

Inżynier zaprzeczył. Fakt. Kramer był w mieście nowy, ale poza budzącym kontrowersje sposobem bycia nikt nie był w stanie mu nic zarzucić. Dbał o swoje dobre imię. W prasie pojawiały się reklamy jego fotoplastykonu obok aparatów fotograficznych za trzy marki, szkockich dud za trzy marki siedemdziesiąt pięć fenigów i „przewozów pasażerów do wszystkich krajów zamorskich po cenie najniższej” organizowanych w Bremie. Wieści o zbiórce na Wieżę Bismarcka krążyły wśród wyższych sfer. Rozprawiano o niej nawet w willi, w której urządzano spotkania elitarnego męskiego grona (można było się domyślić, że

chodzi o lożę masońską). A inżynier zaś do niego należał. „Może to byłoby właściwe miejsce dla rozpowszechnienia tej idei?” – pomyślał i podzielił się tym konceptem z rozmówcą.

– Dobry pomysł – podchwycił Kramer. – Nie jestem katolickim klechą i sługą papieża, więc nie mam nic przeciw wolnomularzom. Więcej: powiem panu, że wybieram się niebawem w odwiedzin do... hm... loży w mieście całkiem nieodległym od Lyck. Jak pan jednak rozumie, obowiązuje mnie dyskrecja. I tak powiedziałem być może za dużo.

Rozmowa trwała, a z każdą chwilą inżynier – początkowo tak sceptyczny – nabierał coraz większego zaufania do rozmówcy. Zaczęli dyskutować już nie o tym, czy taka wieża jest w ogóle komukolwiek potrzebna, a jej wzniesienie realne, lecz w jakim innym miejscu w Lyck lub jego okolicy mogłaby stać. Inżynier zaraz zasugerował Tatarską Górę, gdzie wedle legendy kobiety z Lyck poradziły sobie z mongolską hordą.

– Słusznie, słusznie. – Pokiwał głową Kramer. – To bardzo symboliczne miejsce. Niezwykle pasujące do myśli wielkiego kanclerza. To po prostu miejsce, w którym niemiecki rozum i odwaga zwyciężyły azjatycką butę, przemoc, arogancję i bezmyślność.

– Celnie pan to podsumował, pastarze – ucieszył się inżynier. – Ale są też inne możliwości. Dużo bliżej, bo tuż za rzeką, znajduje się tak zwana Górka Jerozolimska, nieopodal cmentarzy żydowskiego i katolickiego. Nieco dalej jest większa nekropolia, już nasza, ewangelicka.

– Aha. – Pokiwał głową Kramer. – To też byłoby miejsce wielce symboliczne. Po pierwsze górowałoby nad cmentarzami elementów jednak nam kulturowo obcych, zwalczanych przez wielkiego kanclerza. Po drugie odpowiednio blisko naszej nekropolii, podkreślałoby pamięć o przodkach, którzy zaprowadzali cywilizację na wschodzie.

– Jest też Młyńska Góra, niedaleko Sybby. Po prostu piękny zakątek, z widokiem na wodę. I niedaleko willi, w której spotykają się... hm... członkowie naszego towarzystwa. Aż trudno się zdecydować, które miejsce lepsze, pastarze! – Inżynier zatarł ręce.

Obaj mężczyźni umówili się, że wrócą do sprawy za parę dni, po świętach Bożego Narodzenia.

– Oczywiście. Spodziewam się, że ma pan obowiązki wynikające z posługi duszpasterskiej. A jeszcze to spotkanie z... no wie pastor... członkami loży... – chrząknął inżynier.

– W rzeczy samej. – Kramer poklepał go po plecach. – Ale za parę dni wrócę i się odezwę.

Pożegnali się, życząc sobie nawzajem wesołych świąt, po czym Kramer ruszył w stronę centrum miasta. Musiał coś zjeść. Marzył o czymś ciepłym i sycącym. Lekarz zalecał mu wprowadzić dietę, ale w taką pogodę nie wyobrażał sobie, że będzie jadł jakąś cienką zupę, a na drugie danie kiszoną kapustę z suchymi kartoflami. Nie, marzył o golonce i grzonym piwie! I to w jakiejś przyjemnej restauracyjce, a nie w knajpie na Przedmieściu Garncarskim, wśród domów z gliny i drewna, krytych strzechami. Dlatego ruszył zważnym krokiem do serca miasta.

Szybki marsz tylko wyostrzył jego apetyt, ale po drodze nie wypatrzył nic godnego uwagi. Pieczona ryba, karczma piwna, kawiarenka... Pod kościołem zaczepił uroczą blondynkę w kapeluszu, pytając o jakąś restaurację z klasą. Popatrzyła na niego dziwnie, ale chyba rozpoznała berliński dialekt i nabrała respektu. Wskazała Kramerowi drogę do odpowiedniego lokalu za gimnazjum, w stronę dworca. Zaoferowała nawet, że może go podprowadzić, bo zmierza właśnie w tamtym kierunku. Tyle że na śliskim bruku poruszała się dość powoli, podpierając się parasolką. Nie było to dobre rozwiązanie dla żadnego z nich. Ona czuła, że go spowalnia, a męskiego towarzystwa wcale nie szukała. On zaś – nie potrzebował kobiety, pragnął golonki i grzańca. Oboje dostosowali się jednak do zasad eleganckiego zachowania, chociaż w tej sytuacji tylko im przeszkadzały.

Cóż było robić, skoro wpadli w sidła konwenansów? Zabawili się rozmową. Kramer wyjaśnił, że jest przedsiębiorcą i przywódcą duchowym (nie wiadomo czemu, postanowił nie używać słowa „pastor”), niedawno zaczął odwiedzać Lyck z racji prowadzonych interesów („Fotoplastykon! Zna pani? To będzie sensacja w mieście!”), ale tak naprawdę to agituje za budowę Wieży Bismarcka. To ostatnie dama przyjęła z niekłamanym uznaniem. Zwłaszcza gdy Kramer zapowiedział, że na wieży miałyby znaleźć się znicz, który zapalany byłby w stare germańskie święta.

– Wspaniały pomysł – zakrzyknęła. – Może pan liczyć na moje wsparcie i datek!

Potem opowiedziała co nieco o sobie. Kramer dowiedział się, że dama na co dzień jest współwłaścicielką przedszkola, ale dzisiaj ma wolne. Dlatego wybrała się

stałą trasą na spacer – od swej kamienicy, przez część Hauptstrasse częstokroć zajętą przez targ, pod pomnik Wiktorii rzucającej wieniec, a stamtąd do Nowego Skweru.

Tyle zdążył się dowiedzieć, nim dotarł do restauracji. Tam pożegnał się szybko, by z rozkoszą zatopić zęby w pieczonej golonce. W przerwach między kolejnymi łykami grzanego piwa zajrzał do miejscowych gazet, by sprawdzić, czy jego reklamy są należycie wyeksponowane. Potem powtórzył sobie w głowie to, co usłyszał od inżyniera – zwłaszcza o potencjalnych lokalizacjach Wieży Bismarcka. To znaczy o Tatarskiej Górze, okolicach Górki Jerozolimskiej i Młyńskiej Górze (ta ostatnia wydawała mu się najmniej efektowna).

Po półtorej godziny, najedzony i rozgrzany piwem, ruszył w stronę fotoplastykonu, w którym krzątał się jego syn. Pod budynkiem minął całą gromadkę ludzi, którzy nie byli w tak wesołym nastroju jak on. Najpierw zobaczył mężczyznę w okularach siłującego się z jakimś upiornie wyglądającym dzieckiem. Potem wpadł na wielkoluda wyglądającego jak niedźwiedź. Na koniec w drzwiach fotoplastykonu zobaczył rozsierzonego syna.

– Zamknięte, do kroćset! – wrzasnął młodzian.

– Chyba nie dla mnie? – Kramer zmarszczył brwi.

– Ach, przepraszam. Jakoś cię nie poznałem, ojcze.

– A co, zmieniłem się od rana?

– Nie, ale... Z wąsów i brody zwisa ci kapusta.

„Co za bałwan” – pomyślał Kramer, ocierając twarz. „Nie poznał mnie, bo mam kapustę na brodzie. Czy ja mogę zawojować świat z kimś takim u boku?”

– Od jutra przejmujesz sprawy w Lyck – zapowiedział Kramer młodzianowi. – Ja wyjeżdżam na kilka dni.

– Na kilka dni? – zdziwił się syn. – Przecież idą święta.

– Fakt. No i co z tego?



## ROZDZIAŁ 3

W księżnej Baden coś pękło, gdy straciła dzieci, większość majątku, wpływy i męża (dokładnie w takiej kolejności). Wszystko przez szantaż. Brutalny szantaż: anonimy ze zdjęciami z ukrycia, sugestywne opisy, przecieki do prasy. Zrobiono z niej arystokratyczną dworską klacz. Nienasycone zwierzę o dziwacznych dla „porządnych mieszczan” upodobaniach. Dziwadło, któremu ekstaza smakowała najlepiej, gdy mieszała się z bólem – własnym i cudzym – a najlepsze pocałunki miały dlań smak krwi. A to przecież była tylko rola, w którą wcielała się na życzenie swoich panów, krewnych z cesarskiego klanu. Mężczyzn z dworu, faworytów kajzera. Była ich marionetką. Szmacianą lalką, którą zabierali na łowy na Mazurach i na egzotyczne wakacje w Chinach, a teraz naraz postanowili porzucić, z lęku przed skandalem i moralnością „porządnych mieszczan”.

Gdyby tylko poprzestali na odrzuceniu księżnej... Ale sprawa miała dalsze konsekwencje. Ojciec, który już od lat panieńskich ochoczo „wypożyczał” ją znajomym, niczym Piłat umył ręce. Matka przestała do niej się odzywać. Mąż, który sam wprowadzał ją w arkana miłości na pograniczu bólu i w wieloosobowym gronie, przybrał maskę zdradzonego małżonka. Księżna mogła to wszystko znieść. Nie dała tylko rady przełknąć tego, że nigdy już nie miała zobaczyć swoich dzieci. To było tak straszne, że nie potrafiła o tym myśleć. Brakło słów, by wypowiedzieć grozę tego rozstania, pełnego cierpienia oszukanej i porzuconej matki.

Tygodniami wyła z bólu. Zagroziła, że pójdzie ze wszystkim do prasy. Jednak nawet bliscy stwierdzili, że ma nie po kolei w głowie i zmyśla. Żaden dziennikarz w Niemczech nie uwierzyłby jej, a jeśli już uwierzył, nie odważyłby się cokolwiek z tą wiedzą zrobić. Nawet skandale mają swoje granice. Wtedy zagroziła, że wyjedzie do Francji i tam wyda książkę o sekretach wspaniałej cesarskiej rodziny. W odpowiedzi bliscy księżnej znaleźli sposób, by w końcu ją ujarzmić i złagodzić cierpienie. Zesłali ją na „terapię” do azylu dla obłąkanych w Allenbergu<sup>[19]</sup>. Był to nowoczesny ośrodek szpitalny w Prusach Wschodnich, w którym wprowadzono

w życie wszystkie oświecone metody leczenia ludzi umysłowo chorych, bez łańcuchów, pasów i traktowania jak dzikie bestie. Atmosfera wokół panowała sielankowa, zaopatrzenie wydawało się dobre, a w cichych parkach nad rzeką Alle<sup>[20]</sup> można było odzyskać równowagę ducha. Szpital miał oddział męski i żeński, otwarto nawet oddział do opieki nad osobami z klas wykształconych i uprzywilejowanych.

Tyle że księżną Baden zamknięto w osobnym pawilonie, którego atmosfera przypominała niesławną wiedeńską Wieżę Szaleńców. Przeżyła i widziała tam wszystko. Krępowanie, bicie, lodowato zimne kąpiele, głód, eksperymenty ambitnych lekarzy, lepkie łapy „sanitariuszy” składających nocne wizyty w jej celi, okrutne oczy „pielęgniarek” posypujących rany solą. Dyrektorzy placówki pojawiali się rzadko – za każdym razem zastanawiając się, czy księżna poza oczywistą nimfomanią nie cierpi na jakiś utajony rodzaj epilepsji bądź hebefrenii – i zostawiali ją w rękach zespołu okrutników. Jej skargi brali za majaki i zwidy. Oczywiście było, że bardziej wierzyli lub chcieli wierzyć opiekunom księżnej, którzy porównywali ją do wzburzonych szaleńców zamkniętych w izolatkach. Wydawało się, że nie ma dla niej ucieczki. Że szczególnie w bólu i zapomnieniu.

Jednak właśnie tam, zdruzgotana i poniżona, przeżyła oświecenie. Naraz przypomniała sobie, jak pierwszy raz towarzyszyła kajzerowi Wilhelmowi II i cesarskiej świcie w łowach na jelenie. Przypomniała sobie podniecenie, jakie czuła w momencie, gdy trafione przez ojca zwierzęta padały na ziemię. Dygotały, jakby z trudem uchodziły z nich małe i niedoskonałe zwierzęce dusze. Jedna za drugą. Jeleń za jeleniem. Towarzystwo cmokało z uznaniem, gdy oceniało potem, gdzie zwierzęta zostały trafione, czy sprawdził się kaliber broni. Można było umoczyć ręce w farbie, w jeleniej krwi. Potem zwierzęta leżały pokotem, martwe pozowały do zdjęcia na chwałę cesarza. Na miejscu zostawał czasem pamiątkowy kamień z inicjałem kajzera i napisem typu „Jego Wysokość Cesarz Niemiec i Król Prus ustrzelił w tym miejscu kapitalnego rogowca”.

Księżna uświadomiła sobie, że może być albo takim rogowcem, albo myśliwym. Po tym, co zrobili z nią mąż i rodzice, czuła się już jak ranny jelenie. Lecz wtedy, w jej własnej Wieży Szaleńców, odnalazła w sobie siłę i od dawna tajoną bezwzględność. Kajzer Wilhelm II rządził i zabijał, choć lewą rękę – zwicniętą i uszkodzoną podczas porodu – miał wyraźnie krótszą, jakby dziecięcą. To kalectwo, ból i psychiczna udręka jednak nie przeszkodziły mu w sprawowaniu

władzy, a także w decydowaniu o życiu i śmierci innych. Również księżna, choć poturbowana, miała teraz zamiar panować nad innymi. Decydować o tym, czy i jak będą jeszcze żyć. Zamierzała położyć pokotem wszystkich wrogów. Miała jeszcze sporo pieniędzy, a one otwierały na tym świecie mnóstwo drzwi. Wystarczyło tylko wydostać się na zewnątrz. Miała też wciąż przepiękne ciało: jasne, gładkie i bez skazy, jak porcelana. Niejeden mężczyzna gotów byłby dlań stracić głowę i zabijać.

Kogoś takiego znalazła w Allenbergu. Był to Profesor, jak go przezywano – podstarzały pracownik prosektorium, niedoszły chirurg i niespełniony filozof. Pomógł jej udać wewnętrzną przemianę. Wydawało się wszystkim, że spokorniała. Z czasem pozwolono jej odwiedzać czytelnię, chodzić na przedstawienia i koncerty, bywać w kaplicy. W tej ostatniej wcale się nie modliła, mogła tam bez skrępowania rozmawiać z Profesorem i rozpalać obietnicami jego zmysły. Jako że złagodzone rygory, jakim podlegała, zaproponował jej ucieczkę przez pomieszczenia gospodarcze: kuchnię, pralnię lub stajnię. Lecz księżna chciała prawdziwej wolności, nie ciągłego ukrywania się. Jako zbieg nie miałyby szansy odzyskać dzieci.

Wtedy Profesor zainscenizował wypadek w pawilonie księżnej. Gdy Baden przebywała z innymi pacjentkami na sali balowej, Profesor doprowadził do awarii instalacji od oświetlenia gazowego. Pielęgniarka, sanitariusz i lekarz w jej pawilonie, wyjątkowe kanalie, zatruli się gazem. Potem pawilon stanął w płomieniach. Nie przeżył nikt. Baden uważała, że to najmniejsza z kar, na jakie zasłużyli jej oprawcy.

Nowy doktor był bardziej przychylny Baden, a dziwny wypadek trzeba było zatuszować dla zachowania renomy ośrodka. Dlatego księżna, która wyglądała na spokorniałą i zbierała coraz lepsze opinie, po kolejnym roku opuściła Wieżę Szaleńców. Niby ze spuszczoną głową, a tak naprawdę z umysłem przeżartym nienawiścią i gniewem.

Z czasem ruszył za nią Profesor: zakochany bez pamięci, przywiązany jak kulawy pies do pana okazującego mu odrobinę czułości. Przydał się, bo wzięła się już za karanie szantażystów, którzy zamienili jej życie w piekło. Profesor okazał się bardzo pomocny przy zadawaniu bólu. Wiedział o nim prawie tyle, co ona.

– Lubisz się bawić, wiedzmo? Nie wystarczyło ci to polowanie, potrzebujesz tortur? – wysapał posiniaczony Gerhard. Wisiał na łańcuchach przy zimnej

kamiennej ścianie, z rękami i nogami w kajdanach. Patrzył z nienawiścią i rozpaczą na czarną postać, która stała nad nim w towarzystwie dwóch oprawców z pochodniami.

– To jest nic w porównaniu z tym, co ty i reszta zrobiliście mnie i mojej rodzinie – odparła spokojnie Baden. Tyle razy mu to powtarzała, a on wciąż nie rozumiał.

– Wyjawilem ci wszystko.

– Dla mnie to jednak za mało.

Tak, dowiedziała się wielu rzeczy. Że podczas orgii na zamku Gerhard z aparatem fotograficznym ukrył się za wielkim weneckim lustrem, a dziwka przywabiała tam kolejnych dworzan. Zresztą nie tylko księżnej zrobił zdjęcia podczas orgii, ale „tak się złożyło”, że akurat jej fotografie wybrali z Ziegem, by zaszantażować wszystkich, bo były „najbardziej obiecujące”. Księżę Baden zapłacił, ile trzeba. Pewnie dopłacili do tego także inni przestraszeni uczestnicy orgii. „I to wszystko” – podkreślał Gerhard, jednakże to nie było „wszystko” dla księżnej. Bo przecież to jej zdjęcia rozeszły się po towarzystwie. Reszta dworu ocaliła swoją reputację, nawet mąż zachował swoją pozycję, tylko ona była skończona.

– Dla mnie twoje wyznanie to za mało – powtórzyła Baden. – Zresztą powtórzyłeś tylko, co wyśpiewał Ziege, nim cię zdradził. Chyba rozumiesz, że jak jest wina, to musi być i kara. Odstraszaająca.

– Dlaczego po prostu mnie nie zabijesz? – jęczał Gerhard. – To też dla ciebie za mało? Włóżysz mnie do żelaznej dziewicy? Masz taką w tych swoich lochach?

– Żelazna dziewica to przeżytek. Mam coś znacznie lepszego za to, że mnie ukrzyżowaliście. – Kobieta pogłaskała więźnia po twarzy swoimi pięknymi długimi palcami, o paznokciach przyciętych tak krótko, że niemal do krwi. W odpowiedzi Gerhard splunął jej w twarz. A przynajmniej spróbował. Plwocina zatrzymała się na woalce, która skrywała księżną.

Profesor już zamierzał się, by w odwecie wymierzyć bezczelnemu więźniowi kilka ciosów, ale kobieta go powstrzymała.

– Stój. On musi jeszcze pożyć. Cała w tym zabawa.

– Więc co dalej? – wysapał więzień. – Obedrzesz mnie ze skóry? A może nabijesz na pal? Przecież lubisz zabawy w tych częściach...

– Za dużo gadasz. – Tym razem sama uderzyła Gerharda w twarz.

– Wyrwiesz mi język, suko? – wymamrotał więzień, gdy doszedł do siebie.

Nie odpowiedziała. Machnęła na swoich ludzi i wyszli z celi, nie zwracając już uwagi na wycie Gerharda. Z każdą godziną bardziej żałował, że nie zdechł tam w śniegu razem ze starym durniem, który wciągnął go w aferę z szantażem. Teraz mógł sobie krzyczeć do woli. I tak nikt go nie usłyszy, mury zamczyska stłumią wszystko.

– Więc co z nim zrobimy, wasza wysokość? – spytał mężczyzna obok Profesora: młodszy, z widoczną blizną na szyi. – Przecież nie może tam gnić w nieskończoność, aż go szczury zjedzą.

– Wiem, Karsten – odparła krótko. Wiedziała, że nie ma aż tyle czasu.

Profesor podpowiedział jej, jaki rodzaj egzekucji byłby odpowiedni dla zdrajcy i szantażysty. Wymyślił ją prawie dwa i pół tysiąca lat wcześniej pewien perski król jako karę za obrazę swego majestatu. Kaźń tę nazywano skazaniem „na łodzie”.

Należy położyć szantażystę na dnie łódki zacumowanej na stawie. Potem nikiemnik zostaje przykryty druga łódką, nieco mniejszą i ze specjalnymi wycięciami – tak, aby na zewnątrz wystawały mu głowa, ręce i stopy. W tej pozycji, wystawiony na słońce, jest obficie karmiony. Gdyby odmówił, kaci zaczęliby wbijać szpilki w jego gałki oczne. Po każdym posiłku skazaniec jest pojony i oblewany po twarzy mieszanką mleka i miodu. To przyciąga chmary insektów. A gdy najedzony i opity nędznik zaczyna wypróżniać się pod siebie w łodzi, jego odchody stają się dodatkową zachętą dla wszelkich najohydniejszych stworzeń. Ich roje pożerają jego ciało żywcem. Zaczynają się w nim namnażać. Puchnie od nich jak bania. Wreszcie umiera w bólu i smrodzie. Tak jak powinni kończyć wywrotowcy i szantażyści.

Księżna Baden dałaby się przekonać Profesorowi, jednak skazanie więźnia „na łodzie” nie wchodziło w grę z przyczyn czysto technicznych. Wprawdzie przy zamku znajdowała się dawna fosa, zamieniona w staw, a cały teren z daleka ogrodzono, więc nikt nie słyszałby jęków. Był jednak problem nie do rozwiązania. Ta kara wymagała słońca, kilku lub kilkunastu dni lata. Tymczasem był środek zimy. Staw od dawna oblodzony, insekty wymarły, skazaniec zdechłby po prostu z zimna.

Została jej inna możliwość podpowiedziana przez Profesora, równie okrutna i egzotyczna.

– Podniosłeś rękę na rodzinę cesarską – oznajmiła Gerhardowi Baden. – Na dodatek zrobiłeś to z niskich pobudek. Jak człowiek niecywilizowany. Więc dostaniesz karę wymierzaną w świecie niecywilizowanym. Tam, gdzie dzicy biegają jeszcze z dzidami za lwami, a wrogom wykluwają oczy, wycinają przyrodzenie i wypruwają flaki. Spotka cię śmierć w muślinach.

„Brzmi pięknie” – pomyślał więzień, jakby chciał choć na moment odeprzeć myśl, że to już. Teraz. Że nie przybędzie żadna pomoc, że księżna się nie opamięta, a on za chwilę odejdzie z tego świata.

– Wiem, co sobie myślisz – wyszeptał mu Profesor do ucha. – Myślisz sobie, że „śmierć w muślinach” brzmi pięknie. I że nie będzie bolało. Ale mylisz się. Gdybyś wysunął nos ze swej śmierdzącej nory w Königsbergu i zainteresował się światem dokoła, znalazłbyś opowieści Włochów z ich wojny w Abisynii. I porzuciłbyś nadzieję, że twój koniec będzie piękny.

Nim zdołał ich przekląć, Profesor i Karsten zakneblowali Gerharda. Potem odpięli go od łańcuchów i położyli – wciąż w kajdanach na rękach i nogach – na drewnianym stole. Tam owinęli go ciasno jak mumię w parę warstw muślinowych bandaży, które wcześniej Profesor nasączył woskiem. Wolne pozostawiono Gerhardowi tylko nogi i głowę.

Tak dziwacznie wyglądającego więźnia zsunęli ze stołu i popędzili w stronę wyjścia z celi. Wspinał się mozolnie po schodach, zostawiając za sobą krople i plamy wosku. Wreszcie wyszedł na zewnątrz, na świeże powietrze. Pchnęli go na wewnętrzny dziedziniec zamku i rzucili na kolana. Dziwna rzecz: była zima, a dziedziniec dokładnie oczyszczono ze śniegu, posypano piaskiem i solą.

Odwrócili Gerharda w stronę przylegającego do murów występu – czegoś w rodzaju ryzalitu, tyle że wychodzącego na wewnętrzny dziedziniec. W oknie, ze świecą lampą w dłoni stała już księżna. Twarz miała odsłoniętą. Jej oczy były jak węgle, usta karminowe, cera gładka jak marmur.

Skazaniec patrzył na nią bezradnie.

Dała sygnał. Oprawcy zaszli owiniętego jak mumia więźnia od tyłu i przyłożyli ogień do bandaży. Potem szybko uciekli w stronę występu.

Dopiero czując, jak plecy stają mu w ogniu, skazaniec wreszcie zrozumiał, co się dzieje. Rozpaczliwie walczył. Rzucił się na ziemię i próbował ugasić ogień w piasku. Na próżno, już nie tylko plecy, ale też klatkę piersiową i brzuch Gerharda

zajęły płomienie. Teraz było jasne, dlaczego ktoś poświęcił czas na dokładne odśnieżenie dziedzińca.

Mężczyzna podniósł się i miotał, daremnie szukając ratunku. Odbijał się od ścian zamku, murów, zatrzaśniętych okiennic i zamkniętych bram. Szukał studni, gotów wskoczyć na jej dno. Wreszcie znów osunął się na kolana. Nie miał już sił walczyć.

Gerhard palił się jak świeca, wysokim płomieniem bijącym w czarne zimowe niebo. W powietrzu mieszały się zapachy wosku i spalonego mięsa. Wreszcie trup padł na ziemię, zgorzały i czarny od głowy do ud. To był koniec.

Księżna nie opuściła ani chwili tej egzekucji. Nie była jednak zadowolona.

– Zapomnieliście zdjąć mu knebel – powiedziała na koniec swoim ludziom, nie odrywając wzroku od trupa leżącego na zamkowym dziedzińcu.

## ROZDZIAŁ 4

Nic nie wyszło tak jak trzeba. Miejscowi z archipelagu nie chcieli oddawać ziemi, nie chcieli pracować, a badający ich życie Kubary – chociaż przybity biedą – nie godził się, by tubylcami manipulować. Leon wiedział, że naukowiec w końcu się podda, tak jak wielokrotnie czynił już w swoim życiu, gdy ulegał presji ludzi i wydarzeń. Leon nie chciał mieć w tym udziału, ale sam także dostał rozkazy z góry. W razie kłopotów powinien zmusić Kubarego, by ten przycisnął tubylców. W imię interesów, w imię kajzera.

Leonowi mignęły przed oczami cienie autochtonów, w jego uszy wdarły się odgłosy strzałów z broni wojsk kolonialnych. To musiało się tak skończyć. Z wisielcami dyndającymi na mangowcach, nad już wykopanymi grobami. A przecież tego nie chciał!

To był koszmar. Koszmar zamiast spokojnych snów, jakie miewał w dzieciństwie, marząc na Mazurach o morskich podróżach na koniec świata. Wszystko się pokręciło, popsuło, skomplikowało. Tyle rzeczy musiał zrobić wbrew sobie...

Obudził się.

W izbie było zimno jak w psiarni, a on cały się spocił. Wypełniona gęsim pierzem, zateęchła pościel po rodzicach też zrobiła się cała mokra. Leon spojrział na zegarek, jednakże nie mógł dojrzeć godziny. Na zewnątrz było zbyt ciemno, księżyc w chmurach. Lecz Leon nie potrzebował czasomierza, żeby wiedzieć, że – niezależnie od tego, która jest godzina – tej nocy już nie zaśnie. Może następnej, gdy dotrze do siostry. Może przy niej znajdzie trochę spokoju.

Lecz był jeszcze jeden problem. Ciężyła mu skrzynia. Ta ze strychu, którą ostatecznie umieścił w miejscowym oddziale Reichsbanku. Obarczona była ciężarem trudnych do zniesienia wspomnień. Nazajutrz będzie musiał ją ze sobą zabrać do pociągu, na własnych muskularnych plecach, chociaż wolałby zdać się na służbę. Służących jednak nie miał. Dogadał się z Rochem, starym sąsiadem



(porządny człowiek, pamiętał go jeszcze z dzieciństwa), że ten podwiezie go na dworzec furmanką, po drodze zgarną także depozyt Leona z banku na Bahnhofstrasse. Leon wyobrażał już sobie minę, jaką zrobi Roch, gdy zobaczy skrzynię. Pewnie w życiu nie był w banku! A z bankowymi depozytami kojarzą mu się tylko bogacze w willach na Sybbie, których namnożyło się niedaleko chałup kołodziejów, szewców, bednarzy i innych lichych chat krytych strzechą.

\*\*\*

O eleganckiej willi marzyła panna Schellong. Lecz nie mogła sobie na nią pozwolić. „Jej” kamienica, jak o niej mówiła, była przecież własnością kogoś innego – miejscowego browarnika, który zainwestował w budownictwo. Ona zajmowała tylko jedno mieszkanie, i to niewielkie. Gdzie tu sprawiedliwość? Przecież była współwłaścicielką i kierowniczką przedszkola, która zapewniała zabawę, edukację i bezpieczeństwo najmłodszym Niemcom, przyszłości Cesarstwa. I tylko tyle z tego miała. Nic nie było tak jak trzeba.

„Ale będę miała porządną willę” – powtarzała sobie. „Może nie jutro, ale za parę lat. Nie dzięki urodzie i nie dzięki mężczyznom, lecz dzięki własnemu rozumowi i polityce. Ona na mnie czeka. A ja czekam na to, kim dzięki polityce się stanę”. Wierzyła głęboko, że ruch narodowy ma przyszłość, a ona sama stanie się jego prominentną przedstawicielką. To nic, że kobiety nie miały – jeszcze – praw wyborczych. Stanowiły część narodu, były matkami narodu, w końcu zostaną usłyszane.

Wpierw jednak Marta musiała odbyć podróż. Na Święta. W inne miejsce niż zwykle – wcale nie do rodziny w Königsbergu. Tam musiałyby wybrać się nie z rewolwerem i flakonem kwasu, a z dwoma rewolwerami i butelką trucizny.

Bo nic nie poszło tak jak trzeba.

To, że zima trzymała mocno w drugiej połowie grudnia, stało się już normą. To, że uprzątnąć śnieg na ulicach nie było łatwo – także. Lecz to, że niemieckie koleje wciąż nie mogły sobie poradzić ze śnieżną aurą w Prusach, choć problem pojawiał się rok za rokiem, stało się już irytujące!

Nieraz bywało, że pociąg jadący z Königsbergu do Lyck utknął w śniegu w okolicach Alt Jucha<sup>[21]</sup> i należało kilka godzin oczyszczać tory. Ba, nawet na wiosnę zdarzało się, że do Lyck przez parę dni nie mógł dojechać żaden pociąg ze

stolicy Prus Wschodnich. Königsberg zresztą również bywał mocno przysypany śniegiem i metropolia licząca sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi – piętnaście razy więcej niż Lyck – nie umiała sobie z tym poradzić.

– Byle się nie skończyło jak w 1886 roku z pociągiem do Johannisburga<sup>[22]</sup> – mówił niejeden pasażer do drugiego, ponieważ wydarzenia sprzed trzynastu lat stały się już legendą. Wspomniany skład wjechał pod Baitkowen<sup>[23]</sup> w zamieć. Utknął w śniegu tak głębokim, że na zewnątrz wystawał tylko komin lokomotywy. Nijak nie szło odkopać wagonów. Pięciu nieszczęsnych pasażerów chciało nawet pomóc kolejarzom, ale i pięćdziesięciu chłopu nie dałoby tam rady. W efekcie dopiero po dziesięciu godzinach pociąg został uwolniony z lodowej pułapki, a pasażerowie – dygocący już z zimna, a przy tym z kiszkami grającymi marsza z głodu – mogli się wreszcie ogrzać. Z tym, że nie u celu podróży, lecz u jej początku! Pociąg bowiem nie ruszył wcale do Johannisburga, jak zakładał plan, lecz cofnął się do Lyck. Zwały śniegu, z którymi musiałby się zmierzyć, okazały się zbyt potężne, by ryzykować dalszą podróż na zachód.

Podjęcie podróży kolejowej 22 grudnia 1899 roku było więc obarczone pewnym ryzykiem, oględnie mówiąc. Kto wie, jakie pogodowe zimowe anomalie mogą zcaić się po drodze? A jednak dworzec kolejowy w Lyck – długi piętrowy budynek kryty czerwoną dachówką, teraz zupełnie przykrytą kołdrą śniegu – był przepelniony ludźmi koczującymi z powodu narastających opóźnień. Jedni czekali na odjazd, odłożony o kilka godzin. Inni oczekiwali na przyjazd znajomych na święta Bożego Narodzenia – tu spóźnienie mogło być jeszcze większe, w zależności od tego, z jak daleka przybywali goście. Najgorzej mieli, rzecz jasna, ci podróżni, którzy czekali na przesiadkę. Im czas dłuższy się niemiłosiernie, a rozrywek na dworcu było jak na lekarstwo. W hallu mogli co najwyżej kupić gazetę. Po książkę, mapę regionu lub konkretnego miasta, karty do pasjansa, miniaturowe szachy albo coś mocniejszego do napełnienia piersiówki przed drogą musieli pofatygować się poza stację.

Sadowski krążył z córką i przeklinał pod nosem pogodę i kolejarzy. Mała rozmawiała z Bellą, ale było tylko kwestią czasu, kiedy znudzi się i zacznie marudzić. Ojciec uznał, że najlepiej kupić jej jakąś zabawkę, ale takowego sklepu na dworcu w Lyck nie zauważył.

– Nic tu nie jest jak trzeba – warknął.

Niedaleko kas minęli całkiem sporą choinkę, udekorowaną malowanymi drewnianymi figurkami, szklanymi bombkami i kolorowymi kartonowymi łańcuchami.

– Ale duża! – zachwyciła się Miłka. – Kiedy my będziemy mieli taką?

– Może w następne święta, kochanie – skłamał. Od śmierci żony nie dekorował choinki, nie był w stanie. Wolał też, by Miłka tego nie robiła, bo to tylko rozbudziłoby wspomnienia. A wtedy będzie jak zwykle: płacz, dziwne rozmowy z Bellą i nieprzespane noce.

Tu też nic nie poszło jak trzeba. Jeszcze chwila i Miłka urządziłaby scenę przy dworcowej choince, więc Sadowski musiał szybko znaleźć jej inny obiekt zainteresowania.

– O rety, patrz tam. – Wziął dziewczynkę delikatnie za rękę. – Spójrz, co tutaj się dzieje.

W hallu, w pudłach i paczkach czekały towary i prezenty wysyłane gdzieś w świat. Było też parę toreb z korespondencją.

– Spójrz, wszystkie są bacznie pilnowane. Jeszcze tego by brakowało, żeby jakiś sprytny złodziejasek ulotnił się z cenną przesyłką, korzystając z zamieszania. I ktoś w Berlinie nie dostałby wymarzonego prezentu z Mazur! – zaśmiał się Sadowski na tyle przekonująco, że Miłka też zaczęła chichotać.

Przez budynek dworca bezustannie przechodziły rozgorączkowane służby oczyszczające tory ze śniegu, utyłłani w smarze i węgłu fachowcy z parowozowni, a nawet fiakrzy. Czekali ze swoimi dorożkami na przyjazd opóźnionych pociągów, by zaoferować znużonym „szybki i tani” transport dorożką do jednego z hoteli. W rzeczywistości – jeśli tylko nabrali przekonania, że mają do czynienia z podróżnymi, którzy wcześniej nie byli w Lyck – częstokroć wozili ich okrężną drogą i za podwójną stawkę. Doradzali przy tym hotele i pensjonaty, z którymi pozostawali w dobrej komitywie i gdzie dostawali nielichy procent od ściągniętych klientów. Nieuczciwi fiakrzy gotowi byli wozić nieświadomych przybyszy nawet do „Kronprinza” – hotelu, do którego dawało się dojść piechotą w parę minut (aczkolwiek tam akurat niedawno był pożar, więc trwał remont).

Jednak tego dnia wielu dorożkarzy znajdowało się na skraju załamania. Lepszy zarobek mieliby pod kościołem przy Hauptstrasse albo pod pobliskimi kasynami garnizonowymi. Zawsze przecież trafi się jakiś kurs do wesołej willi na Sybbę.

– Kiedy do diaska podstawią ten pociąg? – westchnął Kramer, zerkając to na własny czasomierz, to na dworcowy zegar. W ośnieżonym kapeluszu naciągniętym na czoło kopał cygaro w drzwiach stacji kolejowej. Odliczał dymek za dymkiem, sekunda za sekundą, płatek śniegu za płatkiem.

– A pan szanowny dokąd się wybiera? – spytał mężczyzna w mundurze, wyglądający na kontrolera.

– Do Rastenburga – odparł.

– O, to będzie pan miał niespodziankę!

– Doprawdy? Czyżby zima znów zaskoczyła kolejarzy? – zaniepokoił się Kramer.

– No, wie pan – kontroler wyglądał na urażonego – na zimę lepiej nie planować podróży w interesach.

– Ja nie w interesach jadę, do diaska. Jestem pastorem! – mruknął Kramer.

Kontroler spojrział na niego równie zaskoczony jak wcześniej inżynier rozprawiający o wieży ciśnień. Duchowny, do tego palacz, niepotrafiący utrzymać języka za zębami? Jaki przykład daje swym parafianom? Jakim może być dla nich przewodnikiem duchowym? Mimo to kontroler postanowił być grzeczny i profesjonalny. Poskromił złość i uśmiechnął się szeroko.

– To niebiosa nad panem czuwają, pastorze. Owa niespodzianka, o której wspominałem, to całkiem nowy skład, jeszcze na trasie do Rastenburga nie używany. Eksperymentalny, jak to mówią.

– Wspaniale! – odparł Kramer z lekkim przekąsem. – Ale czy już jest podstawiony?

– Będzie niebawem. Miłej podróży życzę.

Istotnie, nie minęło pięć minut, a na stacji oznajmiono, że pociąg czeka na podróżnych udających się przez Lötzen<sup>[24]</sup> i Rastenburg do Korschchen<sup>[25]</sup>, z ewentualnym zamiarem kontynuowania podróży z jednej strony do Allenstein<sup>[26]</sup> lub z drugiej do Bartenstein<sup>[27]</sup>, Preussisch Eylau i Königsbergu.

Kiedy śpieszący się do pociągu pasażerowie minęli wagony towarowy i pocztowy, ze zdziwieniem zauważyli, co na nich czeka. Miał kontroler rację. To był wagon pasażerski, jakiego jeszcze w Lyck nie widziano. Testowano ten model od niedawna, zwano go boczniakiem. Z poziomego peronu wspinało się bezpośrednio do konkretnych przedziałów, bez przechodzenia przez korytarz.

Akurat Kramer przyjął to beznamiętnie. Wagon jak wagon. Niespodzianka, jak zapowiadał kontroler, czy nie – dla Kramera było to bez znaczenia. Co innego Sadowski. Każda nowa, nieznana sytuacja oznaczała potencjalne nowe problemy. Gdzie jest toaleta i jak do niej się dostać? Podczas drogi Miłka na pewno będzie chciała z niej skorzystać. W końcu to dziecko! Sadowski pokręcił głową. Nic dzisiaj nie było jak trzeba. Niech no tylko spotka kontrolera!

Podobnie zaniepokojona była panna Schellong. Do jej przedziału zbliżało się trzech starszych panów. Źle to wróżyło. Nic nie szło tak jak trzeba.

I wtedy nagle pojawił się małpolud ze skrzynią. Starsi panowie poszli dalej.

\*\*\*

Pasażerów był ledwie tuzin. Zajęli w wagonie cztery przedziały, aczkolwiek dość nierównomiernie. I, jak się niebawem okazało, dość pechowo.

W pierwszym z dwóch przedziałów graniczących z toaletą rozsiadł się Sadowski z Miłką oraz trzy grubo okutane panie z koszykami, wyglądające jak typowe kumoszki. Już od samego wejścia zaczęły zachwycać się dziewczynką. Ta odpowiadała niechętnie, zajęta rozczesywaniem włosów Belli. Aby jednak uniknąć niepotrzebnych scen i dziecięcych łez, Sadowski podszedł do kumoszek i szeptem wyjaśnił im sytuację. Na wieść, że dziewczynka straciła matkę, jedna z kobiet zaczęła głośno lamentować – chociaż przecież przed chwilą była proszona właśnie o to, by tego nie robić! Na szczęście zaraz ugryzła się w język. Ale już do końca podróży wesołe dotąd kumoszki spoglądały na Miłkę z mieszaniną współczucia i troski.

W drugim z przedziałów mających przejście do łazienki siedziała Marta Schellong, otoczona licznymi walizkami i pakunkami, z którymi – na szczęście – pomogli jej się uporać bagażowi na stacji. Trudno było wyruszyć w podróż do innego miasta z jednym tylko kapeluszem. To, co na głowie, nie wystarczy! Z samymi więc pudłami na kapelusze zrobił się już niezły galimatias. Panna Schellong zagnieździła się na siedzeniu między nimi niczym kokoszka na grzędzie.

Takie też skojarzenia miał Leon, gdy wspinał się do przedziału, jedną ręką trzymając podrózną torbę, a drugą podpierając skrzynię opartą na barku. Na schodkach do przedziału lekko się zachwiał, ale utrzymał równowagę. Uśmiechnął

się do współpasażerki jakby przeprasząco. Nie chciałby wystraszyć takiej damy jakimś nagłym ekwilibrystycznym upadkiem. Zwłaszcza że skrzynia mogłaby przygnieść jedno z jej kolorowych pudeł, a może nawet uderzyłaby w zimowe buciki przypominające kozaczki.

Marta nie odpowiedziała na uśmiech Leona. Tym niemniej ich spojrzenia się skrzyżowały. Marynarz w mig rozpoznał piękną twarz blondynki, którą dzień wcześniej widział zaczytaną na Nowym Skwerze, z nosem nad gazetą. Czy jego panna Schellong rozpoznała? Wciąż pewnie wyglądał jej na dzikusa, aczkolwiek prezentował się w sposób bardziej cywilizowany niż wtedy w parku, gdy miał na sobie wysoką futrzaną czapę i podziurawione palto. Tym razem włożył swój najlepszy, a zarazem jedyny reprezentacyjny, strój. Czapkę znaną jako *deerstalker* (a rozślawioną przez postać Sherlocka Holmesa), płaszcz z kołnierzem z karakułów i wysokie buty oficerskie, które wygrał kiedyś w karty.

Cóż jednak z tego, że strój zadbany, skoro każda rzecz z innej parafii. Czapka charakterystyczna dla Wysp Brytyjskich. Płaszcz też rodem z Zachodu. Buty zaś bez wątplenia były zdobyczne, wojskowe, a nie kupione w eleganckim sklepie czy zamówione u szewca. Na dodatek Leon był nieogolony, spod czapki sterczały mu kłaki włosów, a z całej jego postaci wciąż nie wywietrzała woń taniego piwa i machorki. Gdy panna Schellong dodała do tego jego olbrzymią posturę, łapy jak bochny chleba i ruchy godne słonia w składzie porcelany, na usta cisnęło się jej ponownie tylko jedno określenie: małpolud. Małpolud jak się patrzy. Przedstawiciel niższej rasy. Osobnik, który powinien zostać skazany na służbę innym i dostać zakaz rozmnażania się, by swych cech nie przekazywał kolejnym obywatelom Cesarstwa Niemieckiego. Jego krwi zdecydowanie trzeba było się z Niemiec pozbyć.

Fakt, że piękna blondynka mu się przyglądała, choć bez uśmiechu, Leon wziął jednak za dobrą monetę. „Od czegoś trzeba zacząć” – pomyślał. Byli w przedziale sami, więc miał szerokie pole do popisu.

W gorszej sytuacji znalazł się Kramer, ale zdał sobie z tego sprawę dopiero po sprawdzeniu biletów przez kontrolera (który notabene zajmował ostatni przedział wagonu – samotnie, jakby wszyscy byli źli na opóźnienie i nie chcieli mieć nic do czynienia z przedstawicielami pruskiej kolei). Naprzeciw niego siedziało trzech starszawych dżentelmenów z sumiastymi wąsami. Tak na własne życzenie

ściśniętych, że Kramer najpierw nazwał ich w głowie Grupą Laokoona, a potem jeszcze złośliwiej: trójcą nieświętą.

Palili papierosy i cały czas się spierali. O koleje i drogi w Prusach Wschodnich, a zwłaszcza na Mazurach. Jeden z wásaczy utrzymywał, że koleje to największy wynalazek od czasu prochu i trzeba ich budować jak najwięcej.

– Jak pisał nieodżałowany Toeppen, kolej to dla Mazur życiodajne źródło, które zapewni im wyjście z izolacji gospodarczej i duchowej, złączy z resztą Niemiec – ekscytował się wásacz po lewej.

– Nikt temu nie przeczy, tyle że słowa historyka sprzed trzydziestu lat nijak się mają do sytuacji dzisiaj i do tego, co budować obecnie – hamował go wásacz po prawej.

– Moim zdaniem czas na dojazd z Lyck do mniejszych miejscowości, a to zapewni kolej wąskotorowa. Jest projekt, żeby poprowadzić ją przez Sypittken<sup>[28]</sup> na Sawadden<sup>[29]</sup> z jednej strony i Kallinowen<sup>[30]</sup> – odparł mu entuzjasta kolei.

– Aha, czyli chodzi o to, żeby dotrzeć do mniejszych miejscowości i gospodarstw? A tak naprawdę do rozrzuconych po wsiach majątków junkrów i innych bogaczy. Mamy zafundować im darmowy transport zbiorów koleją? Zgoda, ale niech mają w tym udział, niech to współfinansują jak trzeba, a nie liczą tylko na rząd, czyli na pieniądze od nas wszystkich – zaznaczył sceptyk.

– Ale przecież to będzie z pożytkiem dla nas wszystkich, tak czy inaczej!

– Z pożytkiem dla nas wszystkich to będzie rozbudowa utwardzonych szos i dróg wodnych. To tańsze niż koleje. Nowoczesne dylizanse i promy zapewnią transport do najmniejszych wiosek, nawet tych zabitych dechami. I to realnie się przełoży na wzrost produkcji, zasobności i znaczenia całej naszej prowincji.

Środkowy wásacz siedział bez słowa po środku, jakby nieobecny. Jedyne, co robił, to obracał w palcach główkę jakiejś ozdobnej szpili wbitej w kołnierz pałta. Kramerowi przyszło do głowy, że stary albo tak dogłębnie rozważa argumenty obu stron, albo jest głuchy. Innego wytłumaczenia nie było. Coś go tknęło, by to sprawdzić. Jak się okazało, diabeł go podkusił...

– Przepraszam panów bardzo – odezwał się Kramer. – Pozwolę sobie przerwać, bo panów dyskusja i argumenty są dla mnie niezwykle ciekawe. Mam jednak wrażenie, że także panów współtowarzysz jest fachowcem w tej dziedzinie i ma coś interesującego do powiedzenia.

– Helmut? – zdziwił się wąsacz z lewej. – No właśnie, co tak milczysz?

– Kręcisz tylko tą szpilką i kręcisz – dodał drugi wąsacz. – Nie kręć tyle, bo ją zgubisz. A można by było przehandlować ją za piwo.

Helmut tymczasem spojrział głęboko w oczy Kramerowi, po czym odezwał się smutnym tonem. Czyli jednak nie był głuchy.

– Sam pan widzi, jakie mam życie z moimi braćmi. Zawsze wszystko wiedzą lepiej, nawet wbrew faktom. Będą do upadłego im zaprzeczać. Na przykład ta szpilka... – Stary wskazał na ozdobę z kołnierza. – Dostaje się takie po ukończeniu gimnazjum w Lyck. Są złożone, a na czubku mają, jeśli dobrze się przypatrzeć, wizerunek księcia Albrechta Hohenzollerna. Z nas trzech tylko ja poszedłem do gimnazjum. Moi bracia uznali, że taka odznaka to wszystko, co z tej szkoły można wynieść. Więc woleli wałkonić się albo pracować dla innych za grosze.

– Za grosze! Akurat! Co ty tam wiesz! Głupiejesz na starość, bracie – zakotłowało się w Grupie Laokoona czy też w trójcy nieświętej. Aż przykro było na to patrzeć, więc Kramer znów próbował przejąć inicjatywę.

– Ja jednak jestem bardzo ciekawy, jakie zdanie ma pan Helmut na temat rozwoju regionu. Lepsze drogi żelazne czy ziemne i wodne?

Skłóceni wąsacze z lewej i prawej na moment ucichli, jakby spodziewali się za chwilę usłyszeć werdykt w pojedynku, który stoczyli nie na pięści, a na argumenty i krzyki.

– Cóż mam rzec... – odezwał się Helmut z miną dziecka z ośleń ławki wywołanego do tablicy. – Im szybsze drogi, tym szybciej ludzie będą stąd uciekać do wielkich miast.

– Bzdura! Odwrotnie... Właśnie brak dobrego transportu to powód, dla którego wolą bardziej cywilizowane rejony Niemiec – przekrzykiwali go bracia.

– Dobrze, niech wam będzie. To skupię się na tym, co lepsze: kolej czy drogi – pokiwał głową Helmut. – Pamiętam, jak trzydzieści lat budowano trasę do Lyck. Ile to było trzeba się namęczyć z terenem, chociażby pod Alt Jucha. Tam same bagna i torfowiska, należało je dobrze utwardzać kamieniami, żwirem i ziemią. Co z tego, że wokół pięknie i pełno jezior, skoro harówka niesamowicie wyczerpująca, zmudna, skomplikowana i kosztowna. Nieraz bywało, że nasyp kolejowy, z wielkim trudem zbudowany, nagle się zapadał i prace trzeba było powtarzać.



A przecież to nie wszystko. Przy kolejnych trasach trzeba i mosty żelazne stawiać, i mosty zwodzone planować. Jakież to wszystko potężne koszty!

– No i? – Kramer chciał już usłyszeć werdykt, podobnie jak pozostali dwaj wążacze z trójcy nieświętej.

– No i ja bym chyba ostrożnie podchodził do kolejnych wydatków na koleje – oznajmił Helmut.

W przedziale podniósł się taki wrzask, że aż zaniepokoił pasażerów w sąsiedztwie.

Marta Schellong mimowolnie spojrzała na małpoluda w swoim przedziale, chociaż unikała tego od samego początku podróży – wcześniej czytała gazetę, potem wodziła wzrokiem za zimowymi krajobrazami, mijanymi za oknem. Obejrzała też sobie przez szybę dworzec w Lötzen, na którym wysiadła z ich pociągu grupa rozgadanych starszych pań. Nikt nowy nie wsiadł, być może przez śnieżycę. Lecz czy chciałyby jeszcze dodatkowego towarzystwa w przedziale? Jeden włochaty troglodyta wystarczał.

Na nagły hałas za ścianą panna Schellong zareagowała odruchowo nerwowym dygnięciem. Nie życzyła sobie żadnej bójki ani pijatyki w pociągu, to nie na jej głowę.

Leon uśmiechnął się krzywo i zaraz uspokoił (jak mu się wydawało) współpasażerkę:

– Pani się nie boi, przy mnie nic pani nie grozi! O ile mi wiadomo, żadni czerwonoskórzy na Mazurach nie krążą i na pociągi nie napadają jak na Dzikim Zachodzie. A na pewno nie zimą. Czytuje pani Karola Maya?

Jednak nawet na tak kulturalne pytanie panna Schellong nie zareagowała. Bo cóż z tego, że małpolud umiał czytać? Po jakąż mierną literaturę sięgał! Tak właśnie dawały się ogłupiać rasy niższe – opowieściami godnymi nastoletnich chłopców. Poprawiła nerwowo włosy, które wchodziły jej do oczu spod kapelusza.

Żeby jednak nie pozostawić małpoluda w stanie zawieszenia, czekającego na jakąkolwiek odpowiedź z jej strony, dygnęła przepaszająco, wstała i ruszyła w stronę toalety, dzielonej z sąsiednim przedziałem. Na szczęście łazienka nie była zajęta.

Marta weszła do środka, dokładnie zamknęła drzwi z obu stron, a na metalowym zlewie postawiła torebkę. Wyciągnęła z niej niewielkie metalowe

puzderko, które spoczywało obok rewolweru i fiolki z kwasem. Wewnątrz znajdowały się pigułki. Sądząc po anglojęzycznym napisie na puzderku, były to tabletki do ssania z kokainą – wspaniałą medyczną nowinką. Przepisał je pannie Schellong lekarz specjalista. Dostała te pigułki, aby nie traciła głosu podczas długotrwałych zajęć z dziećmi, co ostatnio zdarzało się coraz częściej. Tabletki pomagały zresztą nie tylko na głos – sprawiały, że Marta czuła się odprężona i zdecydowanie mniej przejmowała się tym wszystkim, co dzieje się dookoła. Czasem nawet ich nie ssała, tylko od razu połykała.

Przyjęła kilka pigułek i czekając, aż zaczną działać, powoli poprawiała kapelusz. Jednakże nic z tego nie wychodziło. Ponieważ – aby wyglądał na głowie idealnie – musiała wcześniej poprawić włosy. Kilka blond kosmyków, które spadały Marcie na czoło i wchodziły w oczy, nie dawało jej spokoju. Zdjęła więc najpierw kapelusz, a potem zaczęła rozpuszczać i upinać na nowo niesforne pasma włosów. Źle to szło, bo łazienka była mała jak dla dziecka. Na dodatek przeszkadzało Marcie grube futro. Musiała je zdjąć, bo zrobiło się gorąco. Chciała otworzyć okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza, ale nie dała rady. Poluzowała kokardę pod szyją, rozpięła kilka guzików koszuli.

Wreszcie zrezygnowana oparła się o drzwi. I wtedy zaczęły działać tabletki. Panna Schellong w końcu poczuła się rozluźniona. Zdenerwowanie minęło jak ręką odjął.

Od strony sąsiedniego przedziału rozległo się pukanie do drzwi łazienki. Panna Schellong usłyszała jakiś dziecinny głosik. A może tylko jej się wydawało? Było tak błogo, czy ktoś musiał jej przeszkadzać?

Osuwała się przy drzwiach, coraz niżej i niżej. Wydała przy tym z siebie radosny pomruk, przypominający wycie. Czuła, że jej ciało opanował ciepły płomień, docierający do najintymniejszych nawet zakamarków. Ogarnęła ją utajona euforia.

Kiedy wagon podskoczył mocniej na torach, Martę również poderwało w górę. Jednak dopiero, gdy pociąg raptownie zahamował, na dobre zmieniła pozycję.

– Jezus Maria! – krzyknęła i runęła jak długa, uderzając głową w drzwi, zza których wciąż dochodził dziwny dziecinny głos.

Ktoś zaczął łomotać w drzwi także od strony jej przedziału.

– Czyżby małpolud? – Zaśmiała się głośno i euforycznie, ale jej śmiech znowu zabrzmiał jak wycie wilka. Czepiając się firanki zwisającej po bokach okna, Marta

podniosła się. Potem zaczęła mozolnie gmerać przy zamku drzwi. Straciła już orientację, z której strony weszła. Podniesione głosy dochodziły z lewa i prawa.

– Może coś jej się stało? – usłyszała dziewczęcy głos, ale chyba nie zrozumiała tych słów.

Potem w jednej chwili łazienka stanęła otworem z obu stron. Marta otworzyła drzwi do – jak się okazało – przedziału, w którym przebywał jakiś mężczyzna z dzieckiem. Zaś za plecami panny Schellong drzwi do łazienki wyważył małpolud z jej przedziału.

Niezły galimatias.

Zwłaszcza w oczach Sadowskiego. Biorąc pod uwagę stan, w jakim znajdowała się panna Schellong, mógł sobie pomyśleć, że albo wielkolud ją gonił, albo para baraszkowała przed chwilą w łazience. Raczej to pierwsze, aczkolwiek... Ojciec miał ochotę zasłonić Miłce oczy, jednak dziewczynka wymknęła mu się z rąk i krążyła już z Bellą wokół kobiety, dziwnie się jej przyglądając.

– Czy pani jest duchem? – spytała mała.

– Na pewno nie potrzebuje pani pomocy? – dopytywał Leon.

– Niechże pani usiądzie. – Podskoczył do kobiety Sadowski, jakby nie chciał dopuścić, by do damy zbliżył się tajemniczy wielkolud z sąsiedztwa.

Wtedy usłyszeli zza okna wagonu, że dalej już nie pojedą.

## ROZDZIAŁ 5

Jak ma żyć matka rozdzielona ze swoimi dziećmi? Jak może nie oszaleć? Gdy tylko księżna Baden wróciła z ośrodka w Allenbergu, postanowiła je odnaleźć – nawet wbrew złożonej mężowi obietnicy. Na Wielkanoc 1897 roku goniła swoje dzieci po całym Niederschlesien<sup>[31]</sup>, po którym krążyły z ojcem, zwiedzając zamki i kościoły, góry i doliny. Eryczek miał dziewięć lat, Krystynka – siedem. Przez jedną trzecią swego życia nie widziały już matki, a z każdym miesiącem zapominały o niej coraz bardziej. Dlatego księżna niczego nie pragnęła bardziej, niż im się przypomnieć. Przecież każde dziecko musi mieć matkę. Powinno wiedzieć, że ona istnieje, nawet jeśli jest gdzieś daleko. I dziecko musi wiedzieć, że matka je kocha najbardziej na świecie. Myśli o nim przez cały czas i nosi pod sercem przez całe życie – nie tylko wtedy, gdy jest brzemienna.

Księżna krążyła za dziećmi, rzecz jasna, incognito, przebrana za owdowiałą mieszczkę. Już gdy widziała maluchy z daleka, serce zaczynało jej szybciej bić. Im bardziej się zbliżała, tym mocniej drżała. W pewnym momencie bała się nawet, że gdy stanie z nimi oko w oko, nie będzie mogła wydusić ani słowa, po prostu zemdleje z wrażenia.

Moment próby nadszedł, gdy mąż zabrał dzieci w Góry Olbrzymie<sup>[32]</sup>. Odwiedzał tam niesławnego cesarskiego szambelana Leberechta von Kotze. On także został uwikłany w skandal, przez który księżna utraciła swoją pozycję i przywileje. Niczego mu nie udowodniono, a wręcz przeciwnie. Adwersarzy wyzywał na ubitą ziemię, jednego wysłał nawet do nieba. Teraz odpoczywał w swej górskiej posiadłości – po krótkiej karze uwięzienia w twierdzy za udział w nielegalnym pojedynku i zabicie wysoko urodzonego przeciwnika, z której to odsiadki został zwolniony na mocy cesarskiego ułaskawienia. Do rezydencji von Kotzego oczywiście księżna nie miała szansy się dostać. Zatrzymała się jednak w pobliżu i gdy pewnego dnia były szambelan zabrał jej męża i dzieci na wyprawę w góry, podążyła za nimi. Z długim korowodem innych wędrowców –

uprawiających coś, co Anglicy od kilkudziesięciu lat określali jako *tourism* – podziwiali okolice urokliwego Brückenberg.

Grupka, którą śledziła Baden, poruszała się – jak w dawnych czasach – lektykami. W pierwszej von Kotze konferował z mężem księżnej, w drugiej Eryczek i Krystynka wysłuchiwali wyjaśnień i bająn miejscowego przewodnika. Opowiadał im, jak powstały te góry (czy faktycznie to kopce grobowe olbrzymów, po których zamieszkały tam karły?), lecz dzieci bardziej zainteresowały się legendami o potężnym Duchu Gór Rūbezahlu<sup>[33]</sup>. Zwłaszcza że już sam jego wygląd rozbudzał dziecięcą wyobraźnię: orla głowa z rogami jelenia, lwi korpus z długim ogonem i nogi kozła z istic diabelskimi kopytami.

– Czy ten Rūbezahl zjada ludzi jak lew? – spytała Krystynka siwego jak gołąbek przewodnika.

– Nie bądź głupia! – Szturchnął ją Eryczek. – Przecież ma tylko tułów jak lew. Głowę ma orła. Nie połknąłby człowieka!

Już nawet takie skrawki dosłyszanych rozmów sprawiały, że po policzkach księżnej spływały łzy. Wiedziała, co robi, gdy nakładała na głowę żałobny wdowi welon.

Była gotowa wędrować tak za swoimi dziećmi na skraj świata. Wysłuchiwać najbardziej niedorzecznych opowieści i najbardziej dziecinnych pytań. Wsłuchiwać się w ich głosiki, których dźwięku została pozbawiona, a które kiedyś witały ją co rano. Wtedy, przed laty, chyba nie potrafiła do końca docenić szczęścia, jakie jej dawały. Wyznawała wówczas starą zasadę, że dzieci powinny być wśród dorosłych niewidzialne i niesłyszalne. Dziś Baden zakatrupiłaby wszystkich dorosłych, byle znów mieć swoje dzieci przy boku.

Lektyki zatrzymały się przy największej miejscowej atrakcji architektonicznej: osobliwym drewnianym kościele. Ten średniowieczny zabytek, wzniesiony z sosnowych bali bez użycia jednego nawet gwoźdźca, sprowadzony został ze śnieżnego norweskiego Vang, gdzie groziło mu postępujące niszczenie. Długą drogą morską i lądową, przez Stettin i Berlin, prawie osiemsetletnia świątynia trafiła w Góry Olbrzymie, gdzie otoczono ją kultem i zainteresowaniem. Zabezpieczono też przed nieobliczalną pogodą, zwłaszcza wiatrami od strony Schneekoppe<sup>[34]</sup>, wznosząc obok leciwego kościółka kamienną wieżę i dodając krużganki.

Przewodnik opowiadał i opowiadał, lecz słuchały go głównie dzieci, bo von Kotze i mąż księżnej wciąż zajęci byli własnymi dyskusjami – ani chybi o polityce, skandalu i perypetiach byłego szambelana. Pewnie nawet pojawił się w ich rozmowach wątek nieszczęsnej arystokratki. Baden na to nie zważała. Widziała tylko Eryczka i Krystynkę. Była tak blisko dzieci, że niemal mogła wziąć je na ręce.

„Dlaczego Eryczek nie jest zapięty pod szyją? Jeszcze się zaziębi. A Krystynka? Jest cała spocona, a czapeczka prawie zsunęła się jej na szyję. Nie mogą tak chodzić. Powietrze jest ostre, zimne” – przeszło przez głowę księżnej.

Poczuła, że pocą się jej dłonie.

Dzieci rozglądały się, szukając potworów, o których wspomniał im siwy przewodnik. Na kobietę w czerni nawet nie zwróciły uwagi. Chciały się bawić. Miały odszukać w kościele smocze paszcze, bestię przypominającą lwa, wikingów o węzowych językach i skrzydlate monstra. Te pierwsze maluchy odnalazły bez trudu: smocze kształty, niczym z dawnych łodzi wikińskich, ozdabiały dach świątyni. Kolejnych dziwadeł Eryczek i Krystynka wypatrywali wokół drzwi, wśród rzeźbionych dekoracji z płataniny węzów i roślin. W pogoni za sylwetkami kolejnych bohaterów i potworów wymienianych przez przewodnika, dzieci rozbiegły się po kościele.

Kobieta w czerni ruszyła za nimi.

Rozejrzała się za maluchami po świątyni. Nie było ich ani przed ołtarzem, ani w ławach, nie skryły się też za kolumnami. Usłyszała ich śmiech jakby zza ściany. Zrozumiała, że musiały kręcić się po zewnętrznym korytarzu świątyni. Baden szybko minęła jakichś obcych ludzi, którzy też zaczęli zwiedzać zabytek, cofnęła się do wejścia i skręciła w korytarz. Był cały w drewnie, ciasny, ale dobrze oświetlony przez ozdobne okienka z grubego szkła.

Dziecięca sylwetka mignęła i zniknęła na zakręcie.

Księżna przyśpieszyła, wręcz zaczęła biec. Lecz gdy dotarła do zakrętu, dzieci już tam nie było. Znikały za kolejnym zakrętem. Chciała krzyknąć za nimi, lecz na szczęście ugryzła się w język. Tymczasem dzieci zawróciły. Biegły wprost na nią, krzycząc z radości.

Rozpoznały ją?

Baden pochyliła się, odsłoniła twarz i rozchyliła ręce. Wzruszenie odebrało jej głos.

– Papa! Papa nas goni – krzyknęły dzieciaki, przeciskając się obok niej. Minęły matkę w biegu jak kogoś zupełnie obcego.

Księżną niemal sparaliżowało. „Jak mogły mnie nie rozpoznać?”. Chwilę później z jej oczu buchnęły łzy. Poczwała, jak pieką ją policzki. Coraz mocniej.

To mąż. Spoliczkował ją.

– Co tu robisz, głupia dziwko? Mało zapłaciłem za twoje błędy? – wycodził, chwytając Baden za twarz. Miażdżył jej szczękę jak w imadle. Nie mogła wydusić z siebie nawet słowa usprawiedliwienia. Ledwie mogła oddychać.

– Jedno moje słowo, a wrócisz do wariatów... – zaczął, lecz nie skończył. Szarpnął za woalkę, zasłaniając księżnej twarz. To dlatego, że korytarzem znów biegły zasapane i roześmiane dzieci, po zrobieniu kolejnego okrążenia.

– Wynoś się stąd. Jedź na grób matki. Wiesz, że zmarła? Zagłodziła się ze smutku – szepnął jadowicie.

Księżna nie wiedziała. Nie miała wcześniej skąd się dowiedzieć. Gazety o tym nie pisały. Stała jak słup soli.

Tymczasem moment później nienawistny wyraz twarzy męża zmienił się nie do poznania. Rozpogodził się jak na zawołanie. Zaczął bawić się z dziećmi. Księżna nigdy go takim nie widziała. Zrobił ze swoich długich wąsów kły i udawał, że chce pożreć Eryczka i Krystynkę. Dokazywał, jakby był ich rówieśnikiem, a nie ojcem.

Nie mogła na to patrzeć. Wybiegła z kościoła z płaczem.

Przy wieży schwyciły ją jakieś dłonie. To był Leberecht von Kotze. Poznał ją.

– Cokolwiek sobie myślisz, to nie była moja wina – szepnął. – Nie ma dnia, żebym nie żałował tego, co ciebie spotkało.

– Śmiem wątpić – syknęła.

– Cesarz. Tylko on może ci pomóc... – dodał.

– Tak? A myślałam, że lekarz!

Wyrwała się von Kozemu i ruszyła przed siebie, łkając. Już się nie odwróciła. Tym niemniej słowa von Kozego na moment przywróciły jej nadzieję. Nie mogła liczyć na rodzinę, ale co innego kajzer.

Dlatego wiosną 1897 roku księżna podjęła ostatnią próbę dotarcia do cesarza i zawalczenia o swoje dzieci. Była opuszczona, odtrącona i sponiewierana, lecz przecież nie pozbawiona zupełnie kontaktów, koneksji, a nawet sympatii części

dworskiej arystokracji. Wiedziała, że jak co roku w tym czasie Wilhelm II będzie krążyć po lasach i polować. Niczym drapieżnik, który wyczuł raną zwierzynę. To była chyba jedyna jego pasja. Jedyna rzecz, która go napędzała – oczywiście poza pragnieniem, by Cesarstwo stało się największym mocarstwem świata. I może poza chęcią, by kiedyś zrewanżować się angielskiemu chłopcu, który w czasach nastoletnich dał mu w nos na plaży gdzieś w Devon. Wtedy Wiluś nie zdążył porządnie się odpłacić – przez zaskoczenie, maniery i swoją cholerną lewą rękę tkniętą niedowładem.

Księżna wiedziała, że Wilhelm może pojechać albo do Rominten<sup>[35]</sup> w Prusach Dolnych, albo do Prökelwitz<sup>[36]</sup> w Prusach Górnych. Kochał pruskie lasy, a z myślą o kajzerze stawiano tam domki myśliwskie, w których bawił całymi tygodniami ze swoją świtą i miejscowymi arystokratami. I to coraz chętniej. W roku 1895 spędził na łowach (nie licząc dojazdu) czterdzieści dni. Rok później – pięćdziesiąt siedem. A wtedy, gdy księżna postanowiła się dostać przed jego oblicze, aż sześćdziesiąt sześć dni.

Powiadano, że ustrzelił w pruskich lasach setki rogaczy. Z godną podziwu dokładnością i sumiennością cesarscy urzędnicy odnotowywali każdy łup. Uwieczniali je specjalnymi słupami i kamieniami z odpowiednimi napisami, które numerowali i nanosili na mapę. Czasem księżna zastanawiała się, ile taka buchalteria pochłania czasu i jak ważny jest w dworskiej hierarchii dostojnik, który nią się zajmuje. Na pewno miał lepszą pozycję niż kiedykolwiek ona, porcelanowa marionetka w rękach mężczyzn.

Kajzer gromadził przez lata najwspanialsze poroża zastrzelonych jeleni. Ich gipsowe kopie ofiarowywał zaś gospodarzom udanych łowów; w ten sposób zbiór kilkudziesięciu eksponatów zgromadził graf zu Dohna z Prökelwitz. Ten to umiał przypodobać się Wilusiowi. Na potrzeby cesarza pociągnął do swych dóbr linię kolejową i zbudował dworzec w staronorweskim średniowiecznym stylu (przypominał świątynię przewiezioną z Vang w Góry Olbrzymie). Ten urokliwy drewniany domek – o kształcie podkowy, z wysoką cebulastą wieżyczką i spadzistymi dachami – nazwano później Cesarskim Pawilonem.

Za takie „drobne” gesty kajzer odpłacał się swoim klakierom i towarzyszom zabaw specyficznymi zaszczytami. Reaktywował powołany niegdyś przez swego ojca Zakon Białego Jelenia. Oficjalnie to elitarne grono zaszczepiać miało najszlachetniejsze tradycje łowieckie, w praktyce stanowiło po prostu



arystokratyczny męski klub myśliwski. Prawie każdy kabotyn z dworu chciał do niego należeć, jednak liczba członków ograniczona była tylko do dwudziestu sześciu, wliczając samego Wilusia. Luksusową honorową odznakę – przedstawiającą pięknego jelenia z krzyżem wyrastającym między porożem, zawieszzonego na kokardzie zdobionej liściem dębu i koroną – przyznawano podczas dość szczególnej „uroczystości”. Przyjmowany do zakonu musiał uklęknąć na krześle, po czym opowiedzieć jakąś pikantną anegdotę. Jeśli się spodobała, kajzer klepał go po tyłku płazem szabli i wręczał naszyjnik z jelenich zębów. Ot, męska zabawa.

Cesarz przyjechał do pięknej posiadłości Dohnów w Schlobitten<sup>[37]</sup> pod koniec maja. Nie tracąc zbyt wiele czasu na podziwianie miejscowej kolekcji tabakier i fajek, już dzień później ruszył do Prökelwitz. Gdy po drodze mijął Preussisch Holland<sup>[38]</sup>, tłumy zgotowały mu owacyjne przyjęcie. Miasto udekorowano bramami powitalnymi, ludzie rzucali i sypali kwiaty, a cesarz uśmiechał się w otwartym powozie i machał do wiwatujących. Największy bukiet, wielka jelenia głowa wykonana z róż, trafił do powozu za sprawą księżnej Baden. Dołączony był do niego bilet z błaganiem o audiencję. Nie mogła przecież tak po prostu przedrzeć się do władcy. Jeszcze wzięliby ją za wariatkę i odstawili z powrotem do zamkniętego zakładu dla obłąkanych.

Zdawała sobie sprawę, że Wilhelm może bileciku nie zauważyć albo go zignorować. Bukiet miał jednak tylko służyć za pretekst, dla którego zamierzała pojawić się nazajutrz nieopodal domku myśliwskiego w Prökelwitz. Rok wcześniej Wiluś ustrzelił tam ze swoim zakonem dwadzieścia osiem rogaczy i jednego orła. Na pewno nabrał apetytu na więcej. Wstał jak zawsze po trzeciej rano i spałaszował pożywne śniadanie: chrupiące bułeczki, pieczeń ze smażonymi ziemniakami, a na deser jabłecznik, popity kubkiem kawy. Potem ruszył w las otwartym powozem, ze sporą świtą uzbrojoną w dubeltówki.

Tam, przy leśnym trakcie czekała pokornie księżna. Stała z jelenią głową z róż – identyczną jak ta, którą wcześniej ofiarowała kajzerowi w Preussisch Holland. Widziała, że cesarz ją dostrzegł. Widziała, że zauważyła ją również cesarska świta i czekała na rozkazy. „Mogą mnie i zabić z fuzji, co mi tam” – pomyślała. „Nic już nie mam do stracenia”.

Powóz się zatrzymał. Potem do księżnej podjechał cesarski łowczy z dwoma myśliwymi. Nie powiedzieli ani słowa i nie dali jej otworzyć ust. Jeden chwycił

księżną w pół, poderwał z ziemi, przełożył w pół przez konia i zabrał w las. Wyglądał niczym jakiś Indianin porywający cudzą squaw. Żegnały ich głośne śmiechy. Różanego jelenia rozjechał powóz. Potem Baden dowiedziała się, że łowy Wilusiowi się nie udały, trofeów było dużo mniej niż rok wcześniej. Księżna lubiła sobie powtarzać, że to przez nią. Przez ów incydent, który wywołała.

Jeździec, nieznany jej młody myśliwy, porzucił ją blisko głównej drogi do Prökelwitz. Nie powiedział nic. Nie rzucił żadnej groźby, żadnego wyzwiska. Na koniec nawet lekko dygnął, jakby się jej uklonił. „Masz szczęście. Inaczej, po takim upokorzeniu, musiałabym cię zabić” – pomyślała, otrzępując suknię i płaszcz.

Tak jej nadzieje zaczęły ustępować miejsca żądzy krwawego odwetu.

Parę miesięcy później pojechała za cesarskim klubem łowieckim do Rominten. Wilhelm zatrzymał się tam w kolejnym drewnianym pałacyku myśliwskim, zbudowanym dla niego przez uznanych norweskich architektów. Nie, księżna nie próbowała już dopaść tam kajzera. Wiedziała, że się jej nie uda. Nie znajdzie go w środku lasu i nie przypadnie mu do stóp, błagając o to, by mogła widywać swoje dzieci. Nie wślizgnie się do jego gabinetu: nie wyjdzie przez piec, nie ukryje się za biblioteczką z książkami, nie przyczai się pod stołem – takie rzeczy mogły się udać tylko w romansach napisanych przez autorów obdarzonych dużą fantazją i brakiem krytycznego zmysłu. Dworku kajzera, połączonego z podobnym również drewnianym pałacykiem cesarzowej, pilnie strzeżono. Owszem, słyszała, że kajzer lubi chadzać na samotne spacerki, podczas których rozmawia nawet z przypadkowo spotkanymi chłopami. Lecz jak przewidzieć, gdzie go nogi poniosą? Włóczenie się samopas po rominckich lasach było wykluczone: księżna zupełnie ich nie знаła, a nikt nie śmiał jej pomóc.

Musiała porzucić pierwotny plan. Zrozpaczona wyznaczyła sobie inny cel. Postanowiła zastrzelić swojego męża. Skoro ich dzieci nie mogły mieć rodzonej matki, to niech ojca też zostaną pozbawione. Zwłaszcza takiego. „Gotów jeszcze sprowadzić im do domu inną kobietę, jakąś gęś z Turyngii albo Bawarii. Na to nie mogę pozwolić” – powtarzała sobie.

Obok rezydencji cesarskiej w Rominten znajdowała się kaplica patrona myśliwych świętego Huberta. Powstała kilka lat po dworku, księżna wcześniej jej nie widziała. Podobnie jak dwór myśliwski, wzniesiona została w stylu średniowiecznych norweskich świątyń. Była mniej strzeżona od rezydencji, więc to tam kobieta postanowiła się przyczaić. Spodziewała się, że Wiluś

z towarzystwem wracać będzie wieczorem. Nie to jednak było najważniejsze. Oto dowiedziała się, że jej mąż, w ostatnim czasie mający opinię świętoszka, zwykł przed snem chadzać do kościoła. Może to był jakiś rodzaj pokuty, a może przegrał zakład lub dostał taki rozkaz od samego cesarza – kto go tam wie. Tak czy inaczej, wystarczyło poczekać, a w odpowiednim momencie wyjąć broń i strzelić.

Jak obmyśliła, tak zrobiła. Stała wśród drzew, niedaleko wejścia do kaplicy. Przebrana w męski strój, schowana wśród bujnej zieleni, była doskonale zakamuflowana.

Mąż faktycznie się pojawił. Księżna ścisnęła w dłoniach sztucer. Chciała wycelować z niego do męża jak do zwierza, a potem nacisnąć spust i widzieć, jak z jego serca tryska farba.

Lecz sprawa się skomplikowała, bo małżonek nie pojawił się sam. Towarzyszyło mu kilku innych mężczyzn. W tym jeden, który ewidentnie miał schowaną lewą rękę. Kajzer! Księżna zagryzła wargi. Była gotowa umrzeć, ale w razie niepowodzenia są losy gorsze od śmierci. Przypomniała sobie pobyt w Wieży Szaleńców...

I wtedy poczuła rękę na ramieniu. Gdy się odwróciła, jakaś męska dłoń zacisnęła się na jej ustach, by księżna nie wydała żadnego dźwięku. Zapadł już zmrok, ale poznała, kto zacz. Ten młody myśliwy, który wiosną wywiózł ją z puszczy niczym porwaną squaw. Pociągnął ją w głąb zagajnika. Opierała się, ale był wystarczająco silny, by narzucić swą wolę.

Przynajmniej wtedy.

Gwałtem czy nie, Karl – bo tak miał na imię – ją uratował. Potem to on został jej sługą. Tamtego dnia zamiast zabić męża (a przynajmniej tego spróbować), księżna zyskała mężczyznę, który stał się jej oddany bardziej, niż kiedykolwiek wydawał się jej ślubny małżonek. Przekonał ją, że ani śmierć męża, ani nawet porwanie dzieci (co też sobie roіła) nic jej nie dadzą. Będzie musiała uciekać, mając przeciw sobie całą potęgę Cesarstwa. Karl namówił Baden, by skupiła się na szantażystach. Należy odszukać ich i sprawdzić, czy nie mają większej wiedzy o dworskich skandalach lub kolejnych zdjęć. Czegokolwiek, co pomogłoby jej wpłynąć na dwór cesarski i odzyskać dzieci. Jeśli nie, zostanie księżnej tylko brutalny odwet.

To także dzięki Karlowi dołączył do Baden jego ponury, małomówny brat Karsten, wieszczący koniec świata – zgniętego i zepsutego, dążącego do rewolucji

lub apokalipsy. I to również Karl odszukał dla niej Profesora, tylko czekającego na sygnał od swej pani i gotowego rzucić się dla niej w ogień.

Tak zebrała wokół siebie grupę mężczyzn, którzy stali się jej własnym Zakonem Białego Jelenia – Zakonem Baden. Dzięki nim mogła na poważnie myśleć o tym, by dopaść bydlaków, którzy ją pograżyli w otchłani. Zasada była prosta. Ona stała na piedestale, a mężczyźni w zamian za służbę dopuszczani byli do jej łoża, o którym tyle wcześniej usłyszeli za sprawą skandalu i o którym tyle fantazjowali. Służyli wiernie jak psy, więc pewnie było – ich zdaniem – warto.

Księżna Baden nigdy nie mogła w pełni zrozumieć mężczyzn. Pojmowała, jak funkcjonują i co na nich działa. Korzystała z tego na każdym kroku. Ale naprawdę zrozumieć ich nie potrafiła. „To musi być niższy gatunek” – mówiła sobie.

Karl nie był inny. Też służył jak pies. Jednak tyle mu zawdzięczała, że zasłużył na specjalne traktowanie i na szczególne miejsce w jej pamięci. Bo gdy myślała o nim w zimnym mazurskim zamku w grudniu 1899 roku, Karl już od roku nie dawał znaku życia. A ona nie miała pojęcia dlaczego.

## ROZDZIAŁ 6

Pociąg stał w polu. A w zasadzie w środku lasu. Postój się przedłużał, aż w końcu padły złowróżbne słowa: „Dalej już nie pojedziemy”. Wtedy garstka pasażerów, która wybrała się w podróż tego feralnego dnia przez Mazury, wyległa z wagonu.

– Co właściwie się stało? – spytał Kramer, odruchowo przeszukując kieszenie w poszukiwaniu cygar. Czuł, że potrzebuje zastrzyku energii. – Gdzie się podział konduktor?

– No i masz swoją kolej – powiedział tymczasem wąsaty wróg dróg żelaznych do swoich braci. Po fukaniu pod nosami i pohukiwaniach można było podejrzewać, że zaraz zaczną się między nimi kolejna kłótnia.

Tymczasem Marta Schellong już prawie doszła do siebie. Miłka pokazywała jej swoją lalkę i opowiadała o Belli, zaś Leon i Sadowski patrzyli to na pannę, to na siebie.

– Może lepiej niech pan na razie się nie zbliża. – Sadowski wziął Leona na stronę.

– Jak to? – zdziwił się marynarz.

– No tak. Nie wiem, co między państwem zaszło, ale...

– A co niby miało zajść?! – Teraz Leon już się obruszył. – Usłyszałem, że kobieta krzyczy w łazience i najwyraźniej upadła, więc ruszyłem jej na pomoc. Co też pan sugeruje?

– Tak jej pan pomógł, że uciekła przez drugie drzwi – syknął Sadowski przez zaciśnięte zęby.

„Aha – pomyślał Leon – kroi się tu większa afera, lepiej uważać”.

– Posłuchaj pan. – Tym razem to marynarz syknął do Sadowskiego. – Coś się panu przewidziało. Chciałem tylko pomóc. Nie chcę żadnych kłopotów.

– Po prostu niech pan się do niej nie zbliża. Chyba widać, że ona się boi? – odparł Sadowski.

– Mnie?

– A kogo innego.

– Nie zauważyłem – mruknął Leon. – Ja damy traktuję zawsze z szacunkiem...

– To niech teraz da jej pan dojść do siebie – przerwał Sadowski. – Aha, i do mojej córki też proszę się nie zbliżać. Ona też się pana boi.

– Zaraz, zaraz! To już cały świat mnie się boi? – nie wytrzymał Leon. – A cóż takiego zrobiłem panu dziecku.

– Wystraszył ją pan wczoraj.

– Wczoraj?

– Tak, w Lyck. W fotoplastykonie – wytłumaczył Sadowski, a Leon uświadomił sobie, że rzeczywiście widział jakiegoś ojca z córką w zakładzie na Bahnhofstrasse i nawet do małej coś zagadał. – Miłka mówi, że był pan inaczej ubrany, ale krążył nad panem... hm... strach.

– Krążył nade mną strach? Co to znaczy?

– Jakby duch. Nieważne. – Sadowski uświadomił sobie, że powiedział za dużo. – Po prostu proszę nie wywoływać w niej niepotrzebnych lęków. To nieszczęśliwe dziecko, dużo przeszło.

Leon uznał, że nie będzie już bardziej wnikał w tę sprawę. Zostawił całą trójkę, z której wszyscy zdawali mu się niezbyt zdrowi na umyśle, i pomaszerował na czoło składu. Postanowił odnaleźć konduktora.

– Więc ile jeszcze tak naprawdę to potrwa? – rzucił do niego, gdy ten się pojawił w polu widzenia.

– Jak pan widzi. – Mundurowy z kwaśną miną wskazał na tory.

Przed rozgrzaną lokomotywą leżał pokotem powalony rząd drzew. Trzy sporawe dęby, które runęły na tory ze skarpy. Leżały tak na długości może nawet dwudziestu metrów, korzeniami do góry.

– Ale pech. – Pokiwał głową umorusany maszynista, który dołączył do rozmowy razem z kopącym cygaro Kramerem. – Za bardzo się rozrosły, skarpa nie wytrzymała, śnieżna czapa też zrobiła swoje. To musiało się zdarzyć niedawno. Jeszcze wczoraj przejeżdżało się tędy bez problemu.

– Nie da się przejechać, nie da się tego przesunąć, tu trzeba byłoby całej brygady – westchnął maszynista.

– To ją wezwijcie, do diaska! – Kramer puścił kóleczo z dymu. – Chętnie was wspomogę modlitwą.

– He? Przydałyby się bardziej ręce – mruknął maszynista.

– Jestem pastorem. – Kramer się zaciągnął. – Niech każdy robi to, w czym jest najlepszy.

Tymczasem do grupy mężczyzn dołączyła też trójca nieświęta.

– Wezwiecie kogoś, czy zawracacie do Lyck? – spytał trzeźwo Helmut i wskazał w górę na pojawiające się znów płatki śniegu. – Jak złapie tu nas jakaś zawieja, to pewnie szczeźniemy.

– Zawracać do Lyck? – Leon aż podskoczył. – Nie ma mowy!

– Mnie też gonią terminy – odparł Kramer.

– Pamiętajcie panowie, że są z nami kobieta i dziecko – odparł konduktor. Zostawił grupę mężczyzn, by porozmawiać z panną Schellong i Sadowskimi, którzy zajmowali się nią, jakby była chora albo ucierpiała w wypadku.

Zapadła chwila krępującego milczenia.

– Moim zdaniem nic tu już nie poradzimy, a robi się późno – odezwał się maszynista, ocierając twarz śniegiem. Przypatrując się mu, Leon stwierdził, że wyglądał na lekko skacowanego. Sam wiedział coś o tym. I znał wielu palaczy na okrętach.

– Dobrze, żeś pan wyhamował i nie wpadł na te pniaki. Moglibyśmy się wykoleić i dopiero by było – pochwalił marynarz.

– No, na szczęście była tu dobra widoczność. – Maszynista uśmiechnął się skromnie.

– Tu, czyli gdzie? Gdzie my właściwie jesteśmy? – Kramer robił się poirytowany. – Daleko mamy do tego Rastenburga?

Na to pytanie jakby tylko czekali wąsacze z Grupy Laokoona, którzy chwilowo przestali na siebie burczeć.

– Znamy dobrze te rejony. To Alliance Wald<sup>[39]</sup>, tuż za Grosse Verschmint See<sup>[40]</sup> i mniejszymi jeziorami. Chadzaliśmy tu nieraz na grzyby. Mamy znajomych na wschód stąd, na gospodarstwie w Martenheim<sup>[41]</sup>. To nie tak daleko, zimą będzie z godzina drogi piechotą.

– To jakieś odludzie! – zirytował się Kramer.

Maszynista tylko bezradnie wzruszył ramionami.

– Las, jeziora, wieś godzina drogi stąd... A co z bagażami?! – zirytował się Kramer. Zaciśnął zęby na cygarze tak mocno, że niemal je przegryzł.

– Strasznie pan nerwowy jak na pastora – westchnął maszynista.

– Wiem, wszyscy mi to mówią. – Kramer dmuchnął mu dymem w twarz. – Ale już Jezus powiedział, że nie przyszedł, by przynieść na ziemię pokój, lecz miecz.

– Pan raczej przyniosłeś cygara! – odparł maszynista, zaczynając odmachiwać się od dymu.

– A co, chcesz pan jedno?

– Ten Martenheim to przy jakiejś większej drodze leży? – wtrącił się Leon.

– No... Powiedzmy. Można tak powiedzieć. – Trzej wążacze kiwnęli głowami.

– A ile stamtąd do Rastenburga?

– O, gdybyśmy stąd szli do Martenheim godzinę, to stamtąd pięć razy dalej...

Na te słowa Leon tylko machnął ręką. To w ogóle nie wchodziło w grę. Nie sądził, żeby w takiej wiosce dało się złapać dyliżans, a nie będzie maszerował pięć godzin w śniegu ze skrzynią i walizką.

– Acz Martenheim to leży w odwrotnym kierunku. Wspomnieliśmy o nim, bo znajomych tam mamy – kontynuowali niezmordowanie trzej starszaki. – W stronę Rastenburga to bliżej byłoby ruszyć na północ, do Pohiebels<sup>[42]</sup>.

– I ile czasu to zajmie? – spytał Leon, ale bez większej nadziei w głosie.

– Dojść do Pohiebels, do drogi, tak w śniegu i przez las, z bagażami, to pewnie z pół godzinki. A stamtąd jeszcze z osiem razy tyle...

– Coś tu się nie zgadza – wtrącił się Kramer, zaczynając liczyć na palcach. A Leon znów machnął ręką. Kompletnie pogubił się w tych rachubach. Wynikało z nich jedno: przed nocą do Rastenburga się nie dostanie. A dotrze tam w ogóle, o ile po drodze wilki go nie zjedzą.

Wtedy z odsieczą przybył konduktor.

– Ależ mamy szczęście – oznajmił z szerokim uśmiechem.

– I to lubię. – Kramer wzniósł oczy ku niebu, jakby spełniły się jego modlitwy. – Jest w pobliżu jakaś brygada drwali? Zajmą się tymi drzewami i pociąg ruszy do Rastenburga?

– Nie do końca – chrząknął konduktor. – Pociąg ruszy z powrotem do Lyck.



– Gdzie?! Nie ma mowy! – Kramer prawie chwycił mundurowego za karmany, ale Leon i maszynista w porę go zatrzymali.

– Daj pan spokój, to napaść na funkcjonariusza – szepnął mu Leon. Wiedział, bo sam trafił kiedyś do aresztu za złożenie skóry pijanemu kolejarzowi. Ale to były stare czasy.

– Pociąg ruszy z powrotem do Lyck – powtórzył spokojnie konduktor – ale nie musicie państwo wracać z nami.

– A co?! Mamy tu zamarznąć? – znów wyskoczył Kramer. Źle znosił zimno. Marzył o pieczonej golonce i grzonym piwie, tak jak ostatnio.

– W emocjach nawet nie zauważyliście panowie, że ktoś przybył nam z odsieczą. – Konduktor odwrócił się i wskazał na chłopca, który stał z tyłu przy wagonie towarowym z rodziną Sadowskich i panną Schellong. – Był tu w lesie furmanką pracownik z pobliskiego dworu w Eichmedien<sup>[43]</sup>. Może was zabrać do wsi. To kawałeczek na południe stąd. Jest tam przystanek kolei wąskotorowej prowadzącej do Rastenburga.

– Czyli dojedziemy do Rastenburga koleją, tyle że inną drogą? – upewnił się Kramer.

– Tak. Z Eichmedien.

– A kiedy będzie najbliższy pociąg? – dopytywał Kramer.

– Tego niestety chłop nie wie.

– A pan?

– Ja niestety też nie pomogę w tym względzie.

– Jak to? – Kramer błyskawicznie poczerwieniał ze złości. – Nie zapisujecie gdzieś takich rzeczy? Nie macie rozkładów jazdy?

– Tamta linia to inne przedsiębiorstwo – odparł całkiem spokojnie konduktor, jakby nie uważał swej niewiedzy za nic niestosownego. – My znamy nasze rozkłady. Podobnie nie wiemy, kiedy pojawia się tutaj ten człowiek z furmanką.

– Bardzo śmieszne – pokiwał głową Kramer.

– Szanowni panowie pasażerowie – kontynuował konduktor. – Jako kierownik tego pociągu oznajmiam, że w ciągu kwadransa wraca on do Lyck. Albo jedzicie państwo z nami, albo zdajecie się na hojną propozycję wspomnianego gospodarza. W takim przypadku proszę o wyłożenie bagaży.

– Dobra, dobra, proszę mi tylko podać swoje nazwisko – przerwał kolejarzowi Kramer – żebym wiedział, kogo pochwalić w liście do pruskich kolei, którym zajmę się zaraz po dotarciu na miejsce.

– Weber, proszę pana. Zygmunt Weber.

Leon już nie słuchał. Wiedział, że dalsze kłótnie nie mają sensu. Zawrócił do wagonu, by zabrać ze środka swoje rzeczy. Za nim pomaszerowało też trzech wąsaczy.

– Ciekawe, czy się wszyscy zmieścimy na tej furmance – rzucił do Helmuta.

– Nas nie trzeba liczyć – odparł jeden z braci, zanim Helmut otworzył usta.

– Jak to?

– My przejdziemy się piechotą do Martenheim, odwiedzimy dawno niewidzianych znajomych. Nie śpieszy nam się.

– O tej porze? Dwa dni przed wigilią? – zdziwił się Leon. – A to będą mieli niespodziankę.

– Oj, będą. – Wąsacze się zaśmiali. Najwyraźniej byli już w tym wieku, że z wieloma konwenansami dali sobie spokój.

W ten sposób na furmance, która pojechać miała do Eichmedien, wylądowała tylko piątka pasażerów: panna Schellong, Sadowski z córką, Kramer i Leon. Woźnica, o imieniu Gustaw, wyglądał na bardzo z siebie dumnego. Zwłaszcza że obok niego siedziała na skrzyni – pełniącej funkcję kozła – piękna blondynka. Za ich plecami na drabinkach, stanowiących burty furmanki, zasiedli pozostali pasażerowie. Pośrodku piętrzyły się ich bagaże. Na samym dnie umieszczono ciężką skrzynkę Leona. Gdy ją kładziono, woźnica spojrzał na marynarza i jego mięśnie z respektem. Potem egzotyczną skrzynię przywaliły mniejsze walizy i kuferki podróżne. Panna Schellong czasem odwracała się z kozła, by zerknąć, czy wiatr nie zwiął z fury jej pudeł na kapelusze. Gustaw uspokajał, żeby się nie martwiła, bo przecież i tak nikt ich w lesie nie ukradnie.

W drodze przez ów Alliance Wald<sup>[44]</sup>, na straszliwych wertepach, woźnica gadał i gadał. Nie przestawał mówić. Wręcz nie dawał dojść nikomu innemu do głosu. Był to kawałeczek drogi, ale, jak podkreślał Gustaw, i tak trzy-cztery razy krótszy niż trasa do Rastenburga.

– A nie mógłby nas pan zawieść od razu tam? – zdołał przerwać jego monolog Kramer.

– Znaczy do Rastenburga? – spytał Gustaw.

– Nie inaczej.

– Paaaanie, daj pan pokój. Nie wiem, czy ta fura by tam w ogóle dojechała. Nie mam pojęcia, co może się dziać na drodze przy tej pogodzie – odparł woźnica. – Zresztą... Nawet, gdybym się odważył, nie mógłbym państwa tam zawieźć. Mam jeszcze swoją robotę do wykonania w Eichmedien, a święta za pasem.

Pasażerowie pokiwali głowami. Wtedy Gustaw gładko zmienił temat. Najpierw nawiązał do tegorocznej zimy, by potem przejść do rodzajów drzew w Alliance Wald. Im bliżej byli celu, z tym większą emfazą chwalił piękno Eichmedien oraz dokonania miejscowej rodziny arystokratycznej von Redecker. Nie omieszkał też wspomnieć o patriotyzmie mieszkańców, którzy właśnie w tym roku położyli we wsi kamień na cześć kanclerza Bismarcka. Ten ostatni wątek akurat zainteresował Kramera. Tyle że Gustaw nie dopuścił go do głosu, bo przeszedł już do kolejnego wątku. Zaczął rozplýwać się w zachwytach nad zaletami kolei, która dotarła do Eichmedien wraz z otwarciem przystanku wąskotorówki w maju ubiegłego roku. Dla kilkuset dusz w miasteczku było to takie wydarzenie jak planowane otwarcie metra w Paryżu.

– Ale pan dużo mówi – odezwała się cienkim głosem Miłka, ku zdziwieniu pozostałych pasażerów. – Pan się nauczył tego wszystkiego na pamięć?

Pasażerowie zachichotali. Po chwili dołączył do nich Gustaw, śmiejąc się tak tubalnie, że siedząca obok płochliwa panna Schellong aż podskoczyła.

Uśmiechy wciąż towarzyszyły pasażerom, gdy dotarli wreszcie na przystanek kolejowy w Eichmedien. Skromny, bo skromny – nie było tam oczywiście żadnej hali dworcowej, tylko daszek z ławką – ale najważniejsze, że działał. Tory też wydawały się w dobrym stanie. Gdy Leon z Kramerem podbiegli pod daszek, by sprawdzić przybitą do deski informację z rozkładem jazdy, uśmiechy jednak zamarły im na ustach. Okazało się, że dzisiejszy pociąg już odjechał dwie godziny temu, a kolejny będzie dopiero nazajutrz!

– No to dzisiaj naprawdę nigdzie już nie pojedziemy – oznajmił Kramer przygnębionemu towarzystwu. Gustaw nie odezwał się ani słowem. Nagle jakby zapomniał języka w gębie. Chyba było mu głupio. Unikał pełnych wyrzutów spojrzeń swoich pasażerów. Bo co teraz mają począć? Spadł z pozycji bohatera, który uratował eleganckie towarzystwo, niczym z kozła na bruk.

– Niech no ja tylko napiszę do władz kolei. – Kramer znów uniósł się gniewem. – Ten diabelny kierownik pociągu! Nie zagrzeje już miejsca na takim odpowiedzialnym stanowisku! Pozwolił nas tu zabrać, chociaż nie mieliśmy żadnych szans zdążyć na pociąg z Eichmedien do Rastenburga. Skład odjechał pół godziny przed tym, jak w ogóle stanęliśmy w polu przez te drzewa na torach! A ten, pożałuj Boże, kierownik oddał nas w ręce chłopca, który nie miał pojęcia o rozkładzie jazdy...

– Niech się pastor tak nie piekli. To nie uchodzi – mruknął Sadowski, głaszcząc po głowie córkę, jakby ją również chciał uspokoić (chociaż nie wyglądała na zaniepokojoną, a co najwyżej na zmęczoną).

– Co nie uchodzi? – oburzył się Kramer. – Słuszny gniew jest zabroniony?

– Nic nam to nie da – przerwał mu Leon. – Pytanie, co dalej począć. Ściemnia się, a przecież nie będziemy nocować na przystanku kolejowym.

– Macie tu jakiś hotel, panie Gustawie? Już zmierzcha – spytała Schellong.

– No, jest zajazd Hoffmanna, ale o tej porze roku nieczynny, nikogo tam nie ma. – Chłop podrapał się po głowie. – Może dałoby się coś zorganizować w szkole albo na plebanii...

– Cóż takiego chcesz organizować, Gustawie? – odezwał się naraz męski głos. Zza drzew wynurzył się elegancki mężczyzna na koniu. Jechał powoli, nieśpiesznie, jak na spacerze. Przy tym nic nie robił sobie z zimy, głowę miał gołą. Wiatr rozwiewał mu przydługie szpakowate włosy, upodabniając mężczyznę do Beethovena z obrazu Stieler<sup>[45]</sup>. Wyglądał jak ktoś, kto w Eichmedien jest ważny.

Gustaw pokłonił się przybyszowi i w kilku zdaniach wytłumaczył, co zaszło.

– Pozwolę sobie przedstawić się. – Jeździec przerwał słowotok woźnicy, gdy już uzyskał niezbędne informacje. – Nazywam się Wirth i jestem zarządcą miejscowego majątku pod nieobecność baronostwa von Redeckerów.

Marta Schellong zerknęła na mężczyznę jakby życzliwiej, a ten wyraźnie to zauważył. Przez jego inteligentną twarz przebiegł przebłysk uśmiechu.

– Baronostwo von Redecker upoważnili mnie, bym w ramach swej plenipotencji nie szczędził pomocy przybyszom, którzy zawitają w te strony – kontynuował. – Zapraszam więc państwa do pałacu w Eichmedien. Zapewniam, że spędzicie tam noc spokojniej i wygodniej niż w szkole czy na plebanii.

– Bardzo to z pańskiej strony szlachetne, nie chcielibyśmy jednak sprawiać kłopotu – odparła panna Schellong, jakby miała jakieś obiekcje i przestała martwić się o los pudeł z kapeluszami.

– Nie przyjmę odmowy – dodał Wirth, a reszta podróżnych nie zamierzała wcale protestować.

– Będziemy spać w pałacu? – spytała Miłka ojca, wyraźnie zachwycona.

– Hm... Nie spodziewaj się Bóg wie czego. To nie Bawaria i nie pałace króla Ludwika – odpowiedział jej cicho ojciec, tak żeby Wirth nie usłyszał.

Ruszyli w drogę. Kiedy mijali kolejne gospodarstwa, kościół i kamień ustawiony na cześć kanclerza Bismarcka, tym razem to Wirth nie przestawał mówić. W odróżnieniu jednak od pozbawionego ogłady Gustawa dawał sobie zadawać pytania i chętnie na nie odpowiadał.

– Nigdy wcześniej tu nie byłem. To stara osada? – spytał Kramer.

– Owszem, jeszcze z czasów krzyżackich.

– A był tu jakiś zamek zakonny? – zainteresował się Sadowski, którego jakby już świerbiły palce, by wziąć szkicownik i zacząć rysować.

– Z tego co mi wiadomo, stała tu w pobliżu warownia, jednak niestety nic po niej nie przetrwało. Chociaż niektórzy rozpowiadają legendy o tunelach, które miały łączyć ją z tutejszym kościołem, a może i nawet z pałacem. Lecz to ostatnie jest zgoła niemożliwe, bo dwór stanął wiele wieków później.

– Ale kościółek jest pokrzyżacki? – dopytywał Sadowski.

– Tego do końca nie wiadomo. Ale jeśli zajdzie pan tam się pomodlić, to zobaczy gotycki portal z czasów rycerzy zakonnych. A i niektóre drzewa wokół świątyni mogą pamiętać ich czasy.

– No i to przejście, przejście, panie... – wtrącił nagle Gustaw, lecz Wirth momentalnie zgromił go spojrzeniem. Sadowski to zauważył, lecz postanowił dyskretnie przemilczeć. Takich obiekcji nie miała jednak panna Schellong.

– Więc jednak jest w kościele jakieś tajemnicze przejście? – spytała z uśmiechem. Jej Wirth nie odmówił odpowiedzi.

– Ludzie tak gadają, bo za ołtarzem było dojście do studni na zewnątrz i zejście do krypty. Lecz nic w tym tajnego. Poza tym w czasach reformacji wnętrze kościoła bardzo przemeblowano na potrzeby nowej liturgii, niektóre elementy zasłonięto, a to niezła pożywka dla wyobraźni, sama pani rozumie.

– Oj, rozumiem. Co dzień widzę kogoś zaczytanego w „Kluczu do bardzo ważnych tajemnic” albo w innej tego typu literaturze – odrzekła z przekąsem.

– „Klucz do bardzo ważnych tajemnic”, powiada pani? Niejakiego Turowskiego? Poznałem kiedyś starszego pana, który dokładnie wiedział, jak powstała ta popularna literatura. Jeździł dużo po Prusach, poznał różne wersje tej książki, zmieniane w kolejnych pokoleniach i przez następujących po sobie wydawców. To temat godny, doprawdy, rozprawki naukowej – uśmiechnął się Wirth.

– Wierzę – pokiwała głową Schellong, jednakże zagadnienia już nie drążyła.

– Ale z kamieniem na cześć zmarłego kanclerza mieszkańcy nie zwlekali – zmienił temat Kramer, wskazując na lekko ośnieżony głąz z napisem i datą 1899, który mijali na rozstaju dróg. – Widać, że mieszkają tu patrioci.

– A i owszem.

– Może rodzina von Redecker chciałaby ufundować coś jeszcze bardziej imponującego – podchwycił Kramer z nadzieją, że zaraz nawiąże do swej idée fixe, czyli wznoszenia Wież Bismarcka.

– Proszę mi wybaczyć, ale trudno mi mówić za nich – odparł Wirth wymijająco.

– Dziedzice zmarłego pana są młodzi, większość czasu spędzają w Berlinie i na dalekich podróżach.

Wątek wojaży mógłby podchwycić Leon, ale nie zwykł puszczać wodzy językowi w tak eleganckim towarzystwie. Wolał raczej obserwować ludzi na uliczkach. Wyglądało na to, że mijali jakiś zakład produkcyjny.

– Czy to jakaś fabryczka? – spytał Wirtha, gdy zapadła cisza.

– Och, oczywiście. I to nie byle jaka – podchwycił zarządca. – Od dwustu lat działa tutaj manufaktura ceramiczna. Za pierwszych właścicieli, von Hoverbecków, wyrabiano tu cegły, przede wszystkim do budowy i rozbudowy pałacu. Teraz próbuje się też wyrabiać piece kaflowe, a nawet zastawy fajansowe. Zna pan się na tym?

– Nic a nic – odparł Leon.

Wirth tymczasem zatrzymał się przy kobietach wychodzących z manufaktury i zamienił z nimi kilka zdań. Chyba były to polecenia, bo Mazurki pokiwały szybko głowami, a potem pobiegły przez śnieg w stronę – jak można sądzić – pałacu.

– Przepraszam, ale musiałem wydać parę rozkazów, żebyście mieli państwo gdzie się u nas ugościć. Nikogo się nie spodziewaliśmy, służba pozwalniana do

domów na przygotowania do świąt, sami rozumiecie... Ale obiecuję, że zanim państwo dojedziecie i wyciągniecie bagaże – Wirth wskazał na wóz Gustawa – pokoje będą już gotowe.

– Wspaniale! – Jako pierwsza zaklaskała w ręce Miłka, jakby już nie mogła doczekać się wizyty w pałacu, by poczuć się tam jak księżniczka.

– O czym to wcześniej mówiliśmy? – poskrobał się po głowie Wirth.

– Wymienił pan jakiś inny ród... – odezwał się znowu Sadowski.

– Tak, von Hoverbecków – powtórzył Wirth. – To oni zbudowali pałac ponad dwieście lat temu. Dostali ten majątek od wielkiego elektora za pomoc w zrzuconiu przez Prusy polskiego jarzma. Zobaczycie jeszcze w pałacu wiele pamiątek, kafelków, rycin i wzorów na tapetach noszących ich herb z trzema ptakami. A oto i sam pałac przed nami, za bramą, spójrzcie. – Wskazał dłonią na gmach wyłaniający się zza drzew. Kształtny, klasycystyczny dwukondygnacyjny pałacyk z czteropłociowym dachem i wysokim frontonem. Cały jasny, dodatkowo przykryty śnieżną czapą i obwieszony lodowymi sopłami, wyglądał całkiem bajkowo.

– Aaaaaale ładny – ni to zakrzyknęła, ni ziewnęła Miłka, a Sadowski uśmiechnął się i przytulił dziewczynkę. Wykrzywił się do niej w uśmiechu także Leon, odsłaniając nierówny rząd zębów, ale ojciec dziecka zgromił go spojrzeniem, jakby wielkolud znów chciał nastraszyć małą.

– Za czasów Hoverbecków pod tym frontonem zobaczylibyśmy tajemniczy, choć znamienny, napis – opowiadał Wirth. – „Zgromadzenie obłudników zostanie spustoszone, a ogień strawi namioty przekupstwa”.

– To z Biblii? – rzucił Kramer.

– No chyba powinien pastor wiedzieć – zdziwił się Sadowski. – To z księgi Hioba.

– Doprawdy? – zmarszczył brwi Kramer.

– Von Hoverbeck był człowiekiem żyjącym skromnie, wręcz po purytańsku. Chciał też uchodzić za sprawiedliwego sędziego wśród swych poddanych. Stąd ten napis – wyjaśnił Wirth.

– Dlaczego zniknął? Dziś ta zasada już nie obowiązuje? – zdziwiła się Schellong.

– Cóż. Budynek jest dość szykowny. Napis kłuł w oczy. Niektórzy zaczęli mówić, że ten pałac to „namiot przekupstwa”, a sami von Hoverbeckowie są obłudnikami.

Zwłaszcza, że w służbie elektorskiej nie cofali się przed porwaniami i przekupstwem. Von Redeckerowie są inni. To prawi i pracowici ludzie. Wiem, bo służę im od lat.

– A co z von Hoverbeckami? Nawet duchy po nich nie zostały? – zapytała pół żartem Marta.

– Hm... Na duchy tu trzeba uważać, ale nie są to zjawy Hoverbecków – odparł Wirth, i to bez cienia uśmiechu. Zabrzmiał całkiem poważnie.

Sadowski mimowolnie spojrział na Miłkę, która szepnęła coś do ucha swojej nieodłącznej Belli.



## ROZDZIAŁ 7

To stało się po nocnej egzekucji. Rankiem, gdy księżna Baden przejrzała na lewe oko. Posklejane. Lekko zaropiałe. Trochę zapuchnięte. Od czytania. Od snu.

Otworzyła je z wyraźną niechęcią. Zerknęła w okno swej ascetycznej komnaty na zamku w Barten<sup>[46]</sup>. Podobno takie spojrzenie gwarantuje, że natychmiast zapomnisz, o czym śniłeś. Nieprawda. A księżna śniła o śmierci Karła. Bo przecież musiał umrzeć, skoro ślad po nim zaginął. Chyba od niej nie uciekł?

Promienie grudniowego słońca wpadały do środka jej pokoju długimi smugami. Wszystko wydawało się nierzeczywiste, także śmierć Karła. Zwłaszcza ta, o której śniła. W nocnym koszmarze najpierw dopadły go psy. Potem życie Karła zakończyła śmierć w muślinach. Czyli to wszystko, na co księżna skazała innych. Miała wyrzuty sumienia?

Drgnęła prawa powieka. Otworzenie drugiego oka nie przyniosło jednak kobiecie olśnienia. Dało jednak spokój i pewność, że to, co wciąż tkwiło w jej głowie, było tylko nocnymi majakami. W realnym świecie wszystko znajdowało się na swoim miejscu: to księżna była katem, nie ofiarą. Sprawy mogły toczyć się zgodnie z jej planem. A Karl? W końcu księżna się dowie, co z nim się stało. Na wszystko przyjdzie czas.

Wstała. Przeciągnęła się. Spojrzała na siebie w lustrze. Dawno nie wyglądała tak... skromnie. Zwykła traktować swój wygląd i ciało czysto instrumentalnie, ale tym razem było inaczej. Miała na sobie długą i sztywną koszulę nocną. Zapinaną pod samą szyję, z długimi rękawami. Koszula była gruba i ciężka, dobra na zimę i na czas żałoby. Włosy Baden miała rozpuszczone, jak żałobnica. Tyle że na żałobę nie miała czasu.

Musiała działać, jeśli chciała zrealizować swoje zamierzenia. Nie mogła się zatrzymywać, zamęczać kolejnymi rozterkami. Miała po prostu do wykonania zadanie. Misję. Zemsta i dzieci – to było najważniejsze. Wszystko temu podporządkowała. Każdego dnia każdy miesiąc i każda kość jej o tym

przypominały. Przy każdym oddechu każda myśl. Zwycięstwo musiało mieć jednak swoją cenę. Przyzwyczała się do tego. Inni ją przyzwyczaili. Świat dookoła. Woląca żyć w rozdarciu i napięciu, niż wycofać się i przegrać. Każdy tydzień, nawet dzień oznaczał dla niej rosnące ryzyko, ale nie myślała, żeby zrezygnować.

Również Karl, który towarzyszył jej przez tyle nocy, był tylko narzędziem w planach księżnej. Teraz przepadł, ale pozostali inni mężczyźni z Zakonu – gotowi nawet mordować dla swej pani. Była sprytna, wyrachowana, zimna, przygotowana na wszystko. Na wygraną i na najgorsze. Nawet na śmierć, bo ta byłaby lepsza od Wieży Szaleńców. Tyle że księżna nie miała zamiaru dać się zabić. Miała wrażenie, że raz już umarła – i starczy. Narodziła się na nowo jako ktoś znacznie silniejszy niż przedtem.

Powtarzała sobie to wszystko, ale przecież przychodziły chwile zwątpienia. Przez ostatni miesiąc bywało, że spacerowała lub jeździła konno przez miejscowość pod zamkiem. Wśród chałup, gdzie ludzie kochali się i nienawidzili, wychowywali dzieci i upijali się. Obserwowała ich zza swojego woalu, tak przyziemnych i małych – jakby nieświadomych swego mało ekscytującego życia, wiodącego do przewidywalnego gorzkiego finału w mogile – a jednocześnie budzących taką jej zazdrość. O losie! Zazdrość! Ona im zazdrościła...

Czasem chodziła pod basztami zamku, wokół których wirowały ptaki. Co dzień rano u podnóża kręciła się grupa służących i parobków przybywających do pracy u podnóża rezydencji. Tego dnia żadne z nich nawet się nie domyślało, jakie piekielne sceny odbyły się nocą na dziedzińcu. Spalony trup Gerharda już dawno został obciążony kamieniami i wrzucony do stawu. Jej ludzie o to zadbali.

Oko księżnej czasem zatrzymywało się na twarzach i sylwetkach służących. Nie budzili jej emocji, nie przyśpieszali biegu jej krwi. Byli Baden zupełnie obojętni. Zbyt dobrze poznała ludzi – bogatych i biednych, arystokratów i gorzej urodzonych – by się kimkolwiek przejmować. Każdy miał jakąś tajemnicę, ale rzadko sam ją ujawniał. Czasem trzeba było chwili podniecenia, by wyszły te ukryte pragnienia. Czasem zaś to tragedia odkrywała prawdę o człowieku. Nieraz widziała, jak ci, którzy wcześniej szydzili z Opatrzności, w obliczu niebezpieczeństwa błagali Boga o pomoc. Ona nie miała zamiaru szukać ocalenia w chmurach. Sama była swoim wybawieniem.

W dzieciństwie wychowywano ją według świątłych zasad: „Nic ponad miarę”, „Nie czyn tego, co potępiasz u innych”, „Znaj właściwą chwilę”, „Nie wzbogacaj się

w niewłaściwy sposób”. To reguły, jakich ją kiedyś uczyli pedagodzy. Sentencje, które miały przyświecać jej życiu. Ale to były tylko słowa, lekcje filozofów. Szybko zorientowała się, że członkowie jej najbliższej rodziny – matka, ojciec, starsze rodzeństwo – dawno o tych zasadach zapomnieli. Więc dlaczego ona miałaby się do nich stosować? Dlatego przez lata traktowała życie jak wielkie kasyno. Jednego dnia szczęście mogło uśmiechnąć się do ciebie, innego natomiast ty siałeś, a plon zbierał kto inny. Teraz, gdy doświadczona przez los widziała bogactwa jej dawnych znajomych, serca księżnej nie zżerała zawiść ani zazdrość, choć wiecznie wykrzywione usta mogłyby to sugerować. To była jedynie pełna żółci pogarda dla tych, którzy niczego tak naprawdę nie osiągnęli, a ośmielają się uważać za panów świata.

Tak łatwo było ich strącić ze szczytu!

Była kiedyś jedną z nich. Luksusowym zwierzątkiem w świecie przepychu, intryg i interesów. Dającym miłosne uniesienia tym, których obserwowała z zainteresowaniem, niczym gospodarz badający chore zwierzę albo dziecko oglądające pracę mrówek w mrowisku. Teraz to się zmieniło. Stała się drapieżnikiem. I zawsze już nim pozostanie.

Lecz nawet drapieżcy potrzebują chwili wytchnienia. Wciąż w koszuli nocnej, wciąż pozbawiona energii, westchnęła. Rozprostowała kości. Zebrała myśli. Ogarnęła przeszłość, teraźniejszość i przyszłość. Od czasu opuszczenia Wieży Szaleńców i nieudanych wypraw z błaganiami do kajzera wiedziała, że jeśli chce coś osiągnąć, musi dokładnie wszystko planować i ściśle trzymać się stworzonego konceptu. Nie tylko wykorzystywać jak najlepiej swoje zdolności i umiejętności swoich zabijaków z Zakonu, ale także – a może nawet przede wszystkim – ludzkie słabości. Lęki. Uczucia.

Nabrała w tym wprawy. Gdyby mąż księżnej wiedział, co teraz wyprawia jego ślubna, byłoby z nią krucho! Użyłby wszystkich wpływów, by ją odnaleźć i zamknąć w zakładzie dla niepoczytalnych na zawsze. Lecz ona już nie dałaby się pochwycić. Nie kolejny raz. Po prostu wzięłaby nogi za pas. Zapadłaby się pod ziemię. Przekupiła prześladowców i uciekła. Kupiła sobie gdzieś bezpieczeństwo, wywalczyła miejsce do życia albo chociaż legowisko – jak w tym zamku, wydzierzawionym na zimę od właścicieli, którzy nigdy nie zdołali pokochać mroźnej aury w Prusach Wschodnich.

Tak czy owak, księżna musiała uważać. Znała takich, co tracili marzenia. Którzy tracili złudzenia. Sama była niejedną raz na skraju rozpacz, bliska targnięcia się na własne życie. Lecz miała świadomość, że byli też tacy, którzy popełniali błąd, trwając przy swoich marzeniach, nawet wbrew faktom. Pomimo niekorzystnych okoliczności, pechowych splotów wydarzeń, własnych niedoskonałości i błędów. Ona nie mogła sobie na to pozwolić.

Kobieta wzdrygnęła się i spojrzała na kufer stojący w rogu komnaty. Nie zaglądała do jego wnętrza. Nawet do niego za bardzo się nie zbliżała. Wystarczyło, że na kufer zerknęła. To, co od niego biło, było zbyt nieznośne. Zapach Karła. Miała do niego słabość.

Usiadła przy stole i wyciągnęła z szuflady zwitek papierów. Były tam imiona, linie, symbole, daty. Zaczęła coś skrobać na kartkach wiecznym piórem. Co jakiś czas przerywała i podnosiła głowę. Zwracała oczy ku górze, jak podczas modlitwy. Przez moment nieruchoma, mamrotała coś beznamiętnie. Jak to ona. Skupiona na celu. Bezwzględnie go realizująca.

Większość nazwisk na jej liście była już skreślona. Jedno było zakreślone. Być może najważniejsze. Ostateczny trop i – kto wie – może ostateczna droga do odzyskania przez księżną dzieci?

Jej wielki plan narodził się, gdy Karl uratował ją przed popełnieniem straszliwego głupstwa w Rominten. Ten piękny młody szlachcic przekonał ją, że musi rozwiązywać swoje problemy systematycznie, krok po kroku. Najpierw powinna ustalić, przez kogo znalazła się w kłopotach. Przecież w orgii na cesarskim zameczku pod Berlinem uczestniczyło wiele osób. Dlaczego to ją potraktowano najsurowiej? Ano dlatego, że do prasy wyciekły jej prawdziwe zdjęcia z frywolnych zabaw, a nie tylko barwne listy od szantażystów i sugestywne fotomontaże. Policja oczywiście nic nie ustaliła (przynajmniej oficjalnie), sprawie ukrecono łeb (szantażystów opłacono), a księżna została kozłem ofiarnym (jej reputacja była już nie do uratowania).

Karl i jego małomówny brat Karsten rozumieli rozpacz Baden, bo sami niedawno stracili matkę. Rozumieli, czym jest takie rozstanie – ostateczne, na zawsze. Także dlatego chcieli pomóc księżnej. Przeprowadzili własne śledztwo. Ustalili pewne fakty, które potwierdziło późniejsze polowanie na szantażystów. Po pierwsze na kompromitujących zdjęciach księżna dogadzała sobie tylko z pewną prostytutką, mężczyźni znajdowali się poza kadrem. Ta kurewka, uczestnicząca

w zabawach arystokratów, zniknęła krótko po feralnym dniu orgii. Po drugie zdjęcia najwyraźniej wykonano z jednego miejsca i jednym aparatem. Musiał je zrobić fachowiec. To także on mógł wysłać kompromitujące listy, bo użyte sformułowania wskazywały, że szantażysta widział sceny orgii z pewnego dystansu. Po trzecie aby ustawić i zamaskować aparat we wspomnianym miejscu, potrzebna była współpraca kogoś z myśliwskiego dworu. W okresie między orgią a wybuchem afery tylko jeden dość doświadczony służący z dworu pożegnał się z pracą. Karl i Karsten wpadli na jego trop w Bawarii, gdzie żył na zaskakująco wysokim poziomie. Skąd miał pieniądze, wydawało się oczywiste.

Dalej sprawa była prosta. Kurewka znikła, ale nie zapadła się pod ziemię. Miała koleżanki po fachu, sublokatorki. Ziarnko do ziarnka, Karl i Karsten ustalili więcej niż policja. Dowiedzieli się, kim była. Dziwkę nazywano Irminą Mazurką. Pochodziła z Prus Wschodnich, z Lyck. Należało ją tam odnaleźć. Podjął się tego Karl, zimą 1898 roku.

Tymczasem Karsten przyglądał się byłemu służącemu, sześćdziesięcioletniemu Erwinowi Ziege. Nie było łatwo odnaleźć go w Bawarii, bo zostawił żonę i szlał się z kochankami. Często zmieniał miejsce zamieszkania i mimo dość podeszłego już, wydawało się, wieku, wędrował całymi tygodniami po górskich kurortach. W pensjonatach chętnie zmieniał nazwiska, jakby wiedział, że ktoś może go szukać.

Nim Karsten odnalazł Ziegego, nagle zniknął Karl. Sprawa się skomplikowała. Karsten porzucił trop Ziegego i pojechał do Lyck szukać brata. Nie znalazł tam po nim ani śladu. Nie trafił też na Irminę Mazurkę. Wtedy księżna kazała mu wracać do Bawarii, szukać starego kamerdynera. Szczęśliwie gdzieś w Alpach Ziegemu przytrafiła się kontuzja stopy i trafił na dłużej do Monachium. Stary jakby stracił czujność: zatrzymał się w dobrym hotelu, pod własnym nazwiskiem. To go zgubiło. Tam wreszcie dopadł go i przycisnął Karsten.

Stary oczywiście wszystkiemu zaprzeczał. Łgał jak z nut. Jednak widząc naprzeciw swojego nosa wylot lufy rewolweru, Ziege już mniej oszczędnie gospodarował prawdą. Przyznał się do zorganizowania spisku – razem z prostytutką Irminą i młodym fotografem Gerhardem Schreiberem. Zapewniał, że była to tylko jego inicjatywa, do której przekonał resztę. Wydał wszystkie posiadane jeszcze zdjęcia. Zgodził się też „wystawić” Karstenowi fotografa, który powinien mieć ich więcej. Stary sądził, że dzięki temu uratuje swoje życie. Jakież

był zdziwiony, gdy w Königsbergu także jego potraktowali eterem, a potem zabrali na śmiertelne polowanie.

Ostatnim etapem śledztwa było przesłuchanie Gerharda. Potwierdził przebieg wydarzeń podany już przez Ziegego. Potwierdził personalia Irminy Mazurki. Zeznał też, że zniszczył wszystkie inne zdjęcia i negatywy. Miał jednak wrażenie, że prostytutka wzięła sobie „na pamiątkę” coś ważnego, lecz co dokładnie – nie wiedział. Nie naciskał jej, bo żywił do kobiety pewne uczucia, zresztą nieodwzajemnione.

„Słodki mężczyzna” – pomyślała księżna. „Jednym niszczył życie dla pieniędzy, innym chciał zapewnić bezpieczeństwo, bo okazał się romantykiem. Gnida”.

Przestała pisać. Zamknęła przemęczone oczy.

Irmina Mazurka. Ta dziewczyna z zabawy na zamku. Jakże była urocza. Baden nigdy nie podejrzewała, że piórko może sprawiać większy ból niż pejcz – tuż po tym, jak przyniosło przyjemność nie do opisanego. Za granicą ekstazy kryła się tortura.

Przypomniały się jej jęki, krzyki i melodia w tle. Ta fortepianowa melodia odtwarzana z fonografu. Raz za razem, raz za razem. Byli jak zahipnotyzowani.

Jaka szkoda, że nie ma tu muzyki. Żadnego dźwięku, żadnego instrumentu, żadnego śpiewu. Księżna mogła je tylko odnaleźć we własnej głowie. Tak bardzo brakowało odrobiny muzyki. Kiedyś było jej tak dużo wokół Baden! I nagle... usłyszała ją we własnej głowie. Zaczęła śpiewać. Jednym pociągnięciem zrzuciła z siebie nocną koszulę. Uwolnione ciało zaczęło rytmicznie się poruszać. Tańczyć. Najpierw powoli, potem szybciej. Coraz szybciej. Wirowała. Wirowała.

Wreszcie padła na ziemię. Wyczerpana. Z wywróconymi oczami. Naga, na kłęczkach, zbliżyła się do stolika. Ściągnęła świeżo zapisaną kartkę papieru. Zaczęła ją drzeć na kawałki. Na kawałeczki. Drobniejsze i drobniejsze. Prędeż i prędeż. Potem poplamionymi tuszem palcami wpychała całe ich garście w usta. Gryzła i przetykała.

Była mistrzynią przeżycia. Stała się nią. Ale czasem tak bardzo tego nienawidziła.

Przez godzinę leżała na podłodze, póki nogi nie zdrętwiały jej z zimna. Niemal wpadła w stupor. Czyżby traciła rozum?

W powietrzu wciąż unosił się zapach Karla. Ze skrzyni, w której od prawie roku księżna trzymała jego nieużywane już rzeczy. Czasem wdychała tę woń przed nocnymi wizytami innych mężczyzn. Dzisiaj miał przyjść Karsten. Nie pachniał jak brat. Jednak po tym, jak Ziege prawie rozplatał mu gardło podczas polowania, Karstenowi należało się trochę czułości. I tak robił się coraz bardziej małomówny. Był oddany Baden, ale martwił go także los brata.

Rok po zniknięciu Karla Karsten i księżna mieli w końcu dowiedzieć się czegoś nowego. W drodze do Barten był już ktoś, kto na zlecenie Zakonu przetrząsnął Lyck, by znaleźć trop zaginionych – i Karla, i Irminy. A kiedy już ją dorwą... Może księżna ukarze ją jak niegdysiejszych zamachowców, którzy porywali się na koronowane głowy. Żywcem palono skazanemu rękę, którą podniósł na pomazańca bożego. Wyrywano mu sutki, na rany lano wrzący olej i smołę. Na koniec zaś rozrywano końmi. Tak, na dziedzińcu w Barten bez trudu dałoby się rozerwać kogoś czwórką koni – po jednym na każdą kończynę skazanej.

Karsten uważał, że wszystkie te egzekucje, wymyślane przez Profesora i Baden, nie mają sensu. „To tortury, w zamyśle mające odstraszać. Lecz my zabijamy po cichu, a zwłoki zakopujemy lub topimy. Kogo więc odstraszają?” – pytał. Jakby nie rozumiał, jak satysfakcjonujące może być oglądanie cierpienia wrogów i zemsta na dawnych krzywdzicielach.

A może księżna jednak przesadzała? Przecież Irmina Mazurka nie dokonała zamachu na głowę państwa. Była tylko kurewką i szantażystką. Może kara powinna uwzględniać właśnie jej zawód? Baden przypomniała sobie ową skandaliczną noc spędzoną z Irminą w cesarskim zameczku. Przypomniała sobie grę wstępną z miotełką z puszystych ptasich piórek. Może powinna załaskotać tę dziwkę na śmierć? Będzie cierpieć od nie dającego się powstrzymać śmiechu, tak jak kiedyś księżna – z bólu. Będzie się trzęsła w epileptycznym tańcu, tak jak Baden trzęsła się w lodowatych kąpielach w domu dla obłąkanych. Będzie się dusić z pianą na ustach, tak jak księżna dusiła się przywiązana do łóżka, przyciśnięta przez sanitariusza gwałciciela. Będzie marzyła, by połknąć język i zakończyć swe cierpienia.

I nie dostanie szansy na zemstę.

## ROZDZIAŁ 8

Pasażerowie mieli rozgościć się w pokojach w parterowej części dworu.

– Niech pani uważa na schodach – stwierdził poważnym tonem Wirth, osobiście pomagając pannie Schellong przy bagażach. – Kiedyś tu się rozegrała niełicha tragedia.

– Mianowicie? – Marta zatrzepotała rzęsami.

– Przed laty trafił tu pod dach ranny oficer. Tak rozkochał w sobie miejscową pannę, że gdy odjeżdżał, ta rzuciła się z okna na schody. Od tamtej pory widać na stopniach ślad jej serca. Proszę tylko spojrzeć. – Wskazał jej palcem trójkątny kształt.

– Trochę nieprawdopodobna ta historia – postanowiła zażartować panna Schellong. – Biedaczka musiała mieć naprawdę twarde serce, żeby odbiło się w kamieniu.

Wirth zrozumiał żart, aczkolwiek dalszej wymiany zdań już nie było, ponieważ nadciągnęli pozostali goście, między którymi biegał usłużnie Gustaw. Wziął się nawet za pomaganie Leonowi, ale potężnie zbudowany marynarz zaraz go odpędził. Kramer spojrział na woźnicę z ukosa, jakby to jego winił za opóźnienie jednego pociągu i ich spóźnienie na inny w Eichmedien, zatem i jemu chłop nie odważył się zaproponować pomocy przy kuferku. Wziął się więc za bagaż Sadowskich.

– Dziękuję, damy sobie radę. Mamy tylko jedną walizę – usłyszał Gustaw, więc i tu jego pomoc się nie przydała. Wtedy Wirth kazał mu odstawić do pokoju bagaże panny Schellong. Było ich tyle, że rąk nie starczało. Niektóre pudła ważyły niewiele więcej niż pióra kapeluszy, które znajdowały się wewnątrz, ale ich gabaryty utrudniały noszenie. Gustaw wyglądał z pakunkami jak cyrkowy akrobata, a może nawet klaun – bo raz omal widowiskowo nie wywinął orła, potknąwszy się w samym progu pałacu.



Goście nie zdążyli się nawet przyjrzeć utrzymanemu w jasnych kolorach i oszczędnie ozdobionemu holowi dworu. Na piętro wiodły z niego symetrycznie położone dwie klatki schodowe – z lewej i prawej strony. Pomiedzy nimi znajdował się korytarz prowadzący prawdopodobnie do salonu, w tej chwili zamkniętego lustrzanymi drzwiami o białych framugach. Wirth prowadził gości po kolei do pokoi umieszczonych w ciasnawych korytarzach odchodzących z boku holu.

– Myślę, że niebawem dostrzeżecie państwo niezwykłą urodę tego pałacu – zachwalał zarządca. – Budynek wymaga wprawdzie pewnej modernizacji, a mówiąc wprost, wykonania nowoczesnych instalacji: gazowej, wodociągowej i kanalizacyjnej. I zostanie ona niedługo przeprowadzona, lecz i bez tego pałac jest jednym z najbardziej urokliwych w regionie. Zdaniem wielu ustępuje tylko dawnemu pałacowi Dönhoffów w Gross Wolfsdorf<sup>[47]</sup>, rezydencji Eulenburgów w Prassen<sup>[48]</sup> i oczywiście siedzibie Lehndorffów w Steinort<sup>[49]</sup>.

– A co z zu Dohnami? – spytał zasapany Kramer.

– Z grafami zu Dohna? – zdziwił się Wirth. – Pan chyba z daleka? Oni mają swoje pałace dalej na zachód, w Oberlandzie<sup>[50]</sup>, nie w naszym regionie. Owszem jedna grafini zu Dohna rządziła się kiedyś w Gross Wolfsdorf, ale to już przeszłość... Tak czy owak, w imieniu baronostwa von Redeckerów witam w Schloss Eichmedien. Proszę się rozgościć na pokojach.

Panna Schellong nie oczekiwała po swoim pokoju zbyt dużo. I słusznie. Był urządzony, tak jak się spodziewała, w stylu myśliwskim. Na ścianach wisiały poroża i obrazy z jeleniami na rykowisku. Na nocnym stoliku i półkach szafy stało kilka wystraszonych wypchanych leśnych stworów. Nawet na dywanie dawało się zauważyć jakieś myśliwskie elementy: geometryczne kształty przypominające rogi. Martę zdziwiło tylko, że łóżko pozbawione było łowieckich motywów – przecież ramę można było zrobić z kości lub czaszek mieszkańców lasu.

Jako początkująca jaroszka panna Schellong przyjęła ten wystój z ironią i obrzydzeniem. Jednak jako wyznawczyni volkizmu nie mogła go tak do końca krytykować. Las, polowanie, walka o przetrwanie, krew, odwaga i hart ducha – to wszystko były drogi do doskonalenia się germańskiej rasy i potwierdzania jej przewagi nad innymi.

Postawiła więc na złoty środek: zasłoniła co bardziej przyprawiające ją o mdłości wypchane zwierzaki swoimi pudłami. Na rogach jakiegoś jelenia powiesiła swój

płaszcz. Potem na moment przysiadła na świeżej pościeli rozłożonej na łóżku, po czym podeszła do miednicy z wodą. Była ciepła. Widać, że kobiety z manufaktury przyłożyły się do zadania zleconego przez Wirtha i przygotowały zawczasu wszystko, co trzeba.

Przyjemnie było pomyśleć, że ktoś o to zadbał, jednak panna Schellong nie miała zamiaru zapomnieć także o kwestiach związanych z bezpieczeństwem. W końcu była na jakiejś głuszy! Zaczęła więc rozglądać się za odpowiednim miejscem, w którym, idąc spać, mogłaby na wszelki wypadek umieścić swój pistolet. Szuflada przy stoliku nocnym wydawała się najprostszym i najbardziej logicznym rozwiązaniem. Ale czy sięgnie tam w razie potrzeby wystarczająco szybko? Może jednak najlepiej położyć pistolet pod poduszką? Kiedyś już tak spała, chociaż bała się, czy w nocy przypadkowo nie wypali z broni. Takich problemów nie miał pan Kramer. On był oczarowany swoim pokoikiem, bo chociaż malutki, to pomieścił wszystkie rzeczy, na których najbardziej mu zależało: rozgrzany piec, karafkę z nalewką, popielniczkę, biblioteczkę z dziełami o treści patriotycznej, religijnej i historycznej, a na ścianach portrety kilku ostatnich cesarzy i kanclerzy. „Może to jednak jest dobre miejsce na Wieżę Bismarcka?” – pomyślał. „Zarówno miejscowa rodzina, jak i ludność wsi nastawiona jest bardzo patriotycznie. Ten kamień w wiosce, umieszczony na cześć kanclerza tuż po jego śmierci, najdobitniej o tym świadczy”. Kramerowi przyszło do głowy, że może jednak nie będzie żałował problemu z pociągami i tego, że trafił na noc do dworu w Eichmedien.

Tylko nie wiadomo dlaczego, zaczął zdejmować obrazki ze ścian i sprawdzać, co jest pod spodem. Jakby bał się, że w ścianie umieszczono judasza, przez który będzie obserwowany. Dopiero gdy sprawdził ostatniego kanclerza czy cesarza, Kramer otworzył swój podróżny kuferek. Wyjął z niego plik dokumentów i kilka zwitków banknotów, które machinalnie przeliczył.

Z kolei wygląd pokoju Sadowskich bardzo rozczarował małą Miłkę. Dziewczynka spodziewała się kryształowych żyrandoli, luster i wazonów, szklanych stołów, szaf i łóżka z puchową pierzyną sięgającą pod sufit. Jak w baśni. Tymczasem pokój niewiele się różnił od izb w jej domu. Tyle że było zimniej i ojciec zaraz zaczął sprawdzać, czy kafłowy piec pod ścianą jest wystarczająco dobrze nagrany. Wyglądało na to, że dopiero w nim napalono.

– Zobacz, papo, ktoś się pomylił i zostawił pod łóżkiem imbryk – zauważyła nagle Miłka i już się gramoliła, by naprawić błąd, wyciągnąć rzeczony naczynek i postawić na stoliku, gdzie jego miejsce.

– Zostaw to, moje dziecko – westchnął ojciec. – No przecież to nie jest imbryk...

– A co takiego?

– No przecież nocnik!

– Taki dziwny i kolorowy?

– Nie wszyscy mają w domach smutne nocniki. Nie bądź niemądra – odparł ojciec z lekką przyganą w głosie.

Zapadło krótkie milczenie, po którym dziewczynka głośno zapytała Bellę, czy podoba się jej w pokoju. Okazało się, że niezbyt, o czym Miłka nie omieszkała poinformować ojca.

– Bella jest niezadowolona? – zdziwił się. – A dlaczego? Nie zmieści się pod pościelą?

– Nie, Bella nie pójdzie dziś spać – odparła dziewczynka.

– A to dlaczego?

– Musi nas pilnować. Tu są duchy.

Żadnych zjaw nie spodziewał się zobaczyć w innym pokoiku, na parterze dworu, Leon. Dawno nie przebywał w takim eleganckim pomieszczeniu. Z miękkim i czystym łóżkiem, śnieżnobiałą koronkową firanką w oknie, lśniąca boazerią, wypucowanym parkietem. Bał się nawet postawić gdziekolwiek swoją skrzynię, by przypadkiem nie porysować tej luksusowej podłogi. W końcu wykorzystał skórę dzika leżącą w progu pokoju. Przesunął ją pod jedno z okien – z niewiadomych przyczyn zamurowane i częściowo przysłonięte wielkim drewnianym herbem Hoverbecków z trzema kaczkami – i tam postawił skrzynię. Później sprawdził drugie okno, to niezamurowane, tuż obok. Trochę się wykrzywił, gdy zobaczył, jak nisko nad ziemią jest umiejscowione, a potem potrząsnął framugą. Okno było zamknięte na amen. Miało też drewnianą okiennicę, którą łatwo zatrzasać. Jego skrzynka była więc bezpieczna, nikt z zewnątrz do niej się nie dobierze.

Potem Leon, najwyraźniej zadowolony z siebie, skoczył w pościel. Dopiero leżąc na łóżku, zaczął ściągać ubłocone buty. Nie było to najbardziej eleganckie, ale prosty marynarz lubi czasem poczuć się jak panisko albo jak kapitan, jak admirał

nawet. Emerytowany. „Ja na emeryturze też będę miał taki dworek. A pościel będą mi wygrzewać dziewczęta. Każdego dnia inna” – rozmarzył się.

Przerwał dopiero, gdy głośno zaburczało mu w brzuchu.

– No właśnie, pan Wirth mógłby być tak miły i poczęstować nas czymś smacznym, żeby lepiej się spało – mruknął.

Jak się okazało, nie miał długo powodów do narzekań, bo już kwadrans później odezwał się dzwonek i Gustaw zaczął zwoływać gości na kolację. Wielu z nich nie jadło wprawdzie nawet obiadu, ale na ten posiłek było już zdecydowanie za późno. Poza tym zawartość spiżarni dworu w Eichmedien najlepiej nadawała się do przygotowania przez kobiety z wioski zaimprovizowanej kolacji, częściowo na zimno.

W innych okolicznościach Wirth zjadłby wieczerzę zupełnie samotnie. Taką jak – wedle jego wiedzy – zwykł jadać sam kajzer podczas wypadów na łowy. A więc bułeczki z kielbasą lub wędliną, do tego herbata i ciasteczka. Potem spędziłby półtorej godziny na lekturze książek i prasy przy nalewce. Ponoć Wilhelm II cenił truskawkową, lecz w Eichmedien takowej akurat nie było i Wirth wybierał zwykle jeżynową. Kilka kieliszeczków i sen sam przychodził. Nie były go w stanie zmącić ani wycie psów, ani tajemnicze szelesty i stukoty, jakich zawsze pełno w tym leśnym dworze.

Tego wieczora Wirth musiał zmienić swoje utrwalone przez lata rytuały. Kucharka – ściągnięta z własnego domu, oderwana od świątecznych rodzinnych sprawunków i obowiązków – naprędce przygotowała w dworskiej kuchni rzeczy wstępnie przyszykowane już na Boże Narodzenie dla zarządcy dworu. A więc gęsinę podaną na kilka różnych sposobów, parę rodzajów ryb, raki, sałatę warzywną oraz kompot z wiśni. Jako deser musiały wystarczyć suszone owoce i paluszki serowe.

Jadalnia była duża, więc Wirth i pięcioro jego gości bez trudu się w niej pomieścili. Odesłał kucharkę do domu, co przyjęła z wdzięcznością, a resztę obowiązków związanych z kolacją wziął na siebie. Jedną rzecz pozostawił Gustawowi: polewanie alkoholi. A były w Eichmedien i nalewki, i reńskie wina, i koniaki z eksportu, a nawet zwykłe miejscowe piwo. Dla tych, którzy chcieli rozgrzać się czymś innym niż trunki wyskokowe, zaparzano kawę, a w mosiężnym, rosyjskim samowarze czekała na nich herbata. Mała Miłka wyglądała,

jakby nigdy wcześniej nie zetknęła się z takim urządzeniem, i przyglądała mu się jak przyrządowi z instrumentarium alchemika.

Siedzący naprzeciw Leon podjął kolejną próbę przekonania do siebie dziewczynki i zaczął opowiadać, jak w samowarze zaparza się herbatę. Mała słuchała z pewnym zainteresowaniem, jednak gdy przeniosła wzrok z urządzenia na marynarza, na jej małym czółku pojawiła się zmarszczka niepokoju. Zauważył to czujny ojciec i natychmiast włączył się do dyskusji. Spojrzał na Leona z wyrzutem, a potem zaczął przekonywać córeczkę, by najpierw coś zjadła, a dopiero potem napiła się herbaty z tego cudownego urządzenia, które tak przypadło jej do gustu.

– Nie spodziewałem się, że spotka mnie dziś jeszcze coś tak miłego – mlasnął Kramer, objadając się gęsim udźcem. – Niech Bóg panu w dzieciach wynagrodzi, panie Wirth.

– Dziękuję. Będę o tym pamiętał, gdy już znajdę odpowiednią wybrankę – odparł zarządca, a jego wzrok, nie wiadomo czemu, właśnie wtedy skrzyżował się ze wzrokiem panny Schellong.

– Słowa pastora to już prawie błogosławieństwo. – Zaśmiała się. Pamiętała Kramera z wcześniejszego przypadkowego spotkania na ulicy w Lyck i wiedziała, że się nie obrazi.

– Och, pan jest pastorem? – zdziwił się gospodarz, jakby wcześniej ta informacja wcale do niego nie dotarła. – A z jakiej parafii, jeśli mogę zapytać?

– Na razie z żadnej, dopiero jest organizowana. Ja zaś jestem wolny jak ptak – odparł.

– Czyli nie reprezentuje pan głównego nurtu kościoła ewangelickiego w cesarstwie? – zapytał ostrożnie Wirth, jakby chciał sprawdzić, czy jego gość nie jest czasem organizatorem jakiejś dziwacznej sekty, które wyrastały tu i ówdzie w Niemczech.

– Nie nazwałbym tak tego – odparł Kramer. – Lecz naprawdę mniejsza o to. W tej chwili nie tyle szukam owieczek do swej owczarni, co zaangażowałem się w działalność patriotyczną. Mianowicie staram się zorganizować miejscową społeczność w Prusach Wschodnich do wzniesienia sieci pamiątkowych wież na cześć świętej pamięci kanclerza Bismarcka.

– Całym sercem wspieram ten pomysł – wtrąciła panna Schellong, odkładając sztucce, którymi zgrabnie poradziła sobie z całkiem sporą porcją sałatki.

– Cieszę się, wciągnę panią na listę sympatyków tego pomysłu – odparł Kramer.

– A idea, choć szlachetna, jest niełatwa do zrealizowania. Potrzebuję ludzi z otwartą głową i, co tu dużo mówić, z otwartymi portfelami. Samymi dobrymi chęciami takich wież się nie wzniesie.

Po czym w kilku zdaniach Kramer wyłożył główne założenia swojego projektu, wspomniał o wieży zaplanowanej w Drengfurcie i próbach znalezienia odpowiedniego miejsca w Lyck. Zakończył tym, że być może gdzieś między Eichmedien a Rastenburgiem też znalazłoby się miejsce dla takiego monumentu.

– Po pamiątkowym głazie postawionym w Eichmedien na cześć kanclerza Bismarcka sądzę, że patriotyczny żywioł jest w okolicy bardzo silny. Mam szczerą nadzieję, że zarówno pan, jak i baronostwo von Redecker życzliwie podejdziecie do mojego pomysłu – zapalił się Kramer. – Proszę sobie wyobrazić, że w całych Prusach Wschodnich można byłoby wznieść sieć wież tak gęstą, że gdy w noc z 30 kwietnia na 1 maja rozpali się na ich szczycie ogień, widoczne będą na horyzoncie od Lyck, przez Rastenburg i Drengfurth, aż do Königsbergu!

– Dlaczego akurat w noc z 30 kwietnia na 1 maja? – spytał Wirth. – Ona nie ma chyba większego związku z życiorysem kanclerza...

– No, ale to Noc Walpurgii! – rzuciła panna Schellong, jakby obruszona niewiedzą gospodarza.

– Święta noc naszych przodków – pokiwał głową Kramer. – Miała wprawdzie kiedyś bardzo negatywne, bo pogańskie konotacje, zwłaszcza wśród duchowieństwa... Ale w ten sposób można je odczarować, że tak powiem, i wykorzystać dla wzmocnienia naszego ducha. Zresztą, może to być zupełnie inna data.

– Na przykład 18 stycznia, gdy w 1871 roku proklamowano Cesarstwo Niemieckie, będące wszak dzieckiem Żelaznego Kanclerza – zaproponował Wirth.

– Oczywiście – potwierdził Kramer. – Tyle że jestem człowiekiem praktycznym i wiem, że w styczniu, przy pochmurnej pogodzie i opadach, trudno będzie wypatrywać łun na horyzoncie.

– To prawda – przyznał Wirth.

– Tak czy owak, choć data to kwestia o pierwszorzędnym znaczeniu, to jednak można wybrać ją później – kontynuował Kramer. – Teraz najważniejsza jest społeczna mobilizacja. I pieniądze! Wie pan, że aby je zdobyć, sprowadziłem z synem fotoplastykon do Lyck?

Na te słowa wyraźnie drgnął Leon, dotąd smętnie siedzący nad talerzem i kieliszkiem z nalewką. Nagle przypomniał sobie scysję z młodym człowiekiem z fotoplastykonu. „Ach, więc to rodzina tego zwariowanego pastora” – uśmiechnął się lekko. W sumie lubił wariatów, o ile tylko nie sięgają mu do kieszeni i nie sprzedają religijnych banialuk.

– Pan Kramer jest bardzo operatywny – stwierdziła Schellong, jakby chciała przypieczętować tę część rozmowy przy stole. – Obiecuję, że będę agitować za jego pomysłem w towarzystwie nowoczesnych niemieckich kobiet, z którymi regularnie się spotykam.

– Nowoczesnych? – podchwycił Wirth. – To znaczy? Jeździecie panie bicyklami, a nie konno?

– Jeździmy i tak, i tak – odparła Marta. – Chcemy mieć udział we wszystkim. To już nie czasy Krzyżaków, gdy kobiety nie miały w tym państwie nic do powiedzenia.

– Zapomina pani o błogosławionej Dorocie z Gross Montau<sup>[51]</sup>. Nawet wielcy mistrzowie jej się słuchali – ozwał się nagle jakiś głos, niczym z zaświatów. To Sadowski nie mógł się powstrzymać od komentarza, gdy tylko ktoś wspomniał o zakonie krzyżackim.

– Hę? – Pannę Schellong zadziwiły zarówno słowa, jak i to, skąd dobiegły. Sadowski, człowiek o głowie w kształcie jaja, na której osadzono okulary wyglądające jak miniaturowy bocykl, nie wydawał się osobą ciekawą lub mającą cokolwiek interesującego do powiedzenia.

– Mój papa wie wszystko o Krzyżakach! Wszystko! – zawołała Miłka, potrząsając Bellą.

– Ach, to dlatego pytał pan, czy dwór w Eichmedien stoi na pozostałościach warowni rycerzy zakonnych – pokiwał głową Wirth.

– Owszem. To taki mój konik – odparł skromnie Sadowski i spojrzał wymownie na córkę, jak gdyby nakazywał jej milczeć. Dziewczynka pokornie spuściła wzrok

i zajęła się rozczesywaniem włosów Belli, jakby daleko im było jeszcze do perfekcji, choć mała zajmowała się tym kilka godzin dziennie.

– To może zainteresuje pana informacja, że cały czas mamy tu krzyżackich gości? – Wirth sięgnął po filiżankę z kawą z taką miną, jakby już przygotowywał się do dłuższej opowieści.

– Przyjeżdża tu ktoś z tej niemieckiej części zakonu, która nie została zsekularyzowana? A może z Baliwatu Utrechckiego<sup>[52]</sup>? – zaciekawiał się Sadowski.

– Nic podobnego – odparł gospodarz, pociągając łyk gorącego czarnego napoju.  
– Jak już wspominałem, mamy w Eichmedien duchy. I są to głównie duchy krzyżackie!

Sadowski nic nie odparł, tylko spojrzął na Miłkę, która znów podniosła wzrok, jakby było jednak coś ciekawszego niż fryzura Belli.

– Jestem pastorem, ale do informacji o duchach podchodzę ostrożnie. – Kramer rozparł się w krześle z wyrazem twarzy aż nazbyt wiele mówiącym o jego sceptycznym nastawieniu.

– Nam, Niemcom, brakuje częstokroć ducha przodków, ale nie ich duchów – rzuciła panna Schellong z miną godną Sfinksa.

– Zapewniam, że nie jest to tylko czcza gadanina, bajdy rozprowadane przez jakichś zabobonnych chłopów – nie dał się zbić z tropu Wirth. – Oni wierzą w karczmarkę przemienioną przez diabła w kobyłę, którą można czasem spotkać na rozstajach dróg, zwłaszcza podczas mgły. Lecz spotkać gdzieś konia to co innego, niż zobaczyć rycerza w płaszczu, prawda? A wielokrotnie mieliśmy z tym do czynienia w pałacu.

– Pan też? – Panna Schellong uniosła brwi.

– Tak. Kiedy byłem dzieckiem. Lecz proszę nie tłumaczyć tego dziecięcą naiwnością. Potem wysłuchiwałem o podobnych obserwacjach innych ludzi, w tym baronostwa von Redeckerów.

– To niechże pan opowie coś konkretnego o tych duchach – pociągnął go za język Kramer, chociaż nie zmienił ani tonu, ani miny.

– Są dwa miejsca, w których możecie się ich spodziewać. Jedno to poddasze. Tam widuje się na schodach rycerza w płaszczu z czarnym krzyżem i z wielkim psem. Bestią bez głowy.



Po drugiej stronie stołu Miłka westchnęła cicho, ale potem znów spoczął na niej wzrok ojca i momentalnie się uspokoiła.

– Oczywiście nie macie państwo powodu, by wchodzić na poddasze, więc nic wam nie grozi. Co innego drugie miejsce... – ciągnął Wirth. – Może nie powinienem o nim mówić, ale lepiej chyba przygotować państwa na ewentualną dziwną przygodę, niż potem wzywać lekarza, by wyciągał was ze stanu głębokiego oszołomienia.

– Czyli? O czym mówimy? – Tym razem to panna Schellong pociągnęła go za język.

– O studni niedaleko dworu. Przy dębie. Czasem w jej wodzie można wypatrzeć twarz rycerza zakonnego.

– To bardzo ciekawe – stwierdził nagle Sadowski. – Trudno podejrzewać, by takie zjawy pojawiały się w miejscach niezwiązanych z Zakonem. Może więc jednak była tu warownia?

– Może – wzruszył ramionami Wirth.

– Znam trochę podobnych historii – kontynuował Sadowski. – Zwykle takie zjawy czegoś strzegą. Na przykład skarbu. Pozostały w Eichmedien jakieś bogactwa po Krzyżakach?

– Nic mi o tym nie wiadomo – pokręcił głową Wirth.

– Strażnik z bezgłowym psem ewidentnie wygląda, jakby czegoś pilnował – rozochocił się Sadowski. Albo był to efekt drugiego kieliszka koniaku, wypitego na prawie pusty żołądek, albo urzędnik podchwycił swój ulubiony temat i długo nie będzie chciał go zmienić.

– Wybacz pan, ale nie miałem okazji spytać. – Wirth uśmiechnął się, jakby już żałował, że podjął ten wątek.

– Wizerunek w studni też coś musi oznaczać – drążył tymczasem niezmordowanie Sadowski. – Chyba wspominaliście coś panowie o ewentualnym krzyżackim tunelu. Może wiódł przez studnię?

– Kto to wie? – westchnął Wirth, odprowadzając wzrokiem Gustawa, który krążył bez słowa między gośćmi, uzupełniając filiżanki i kieliszki.

– A może to samobójca, który rzucił się do studni? – zastanawiał się głośno Sadowski. – Może...

Przerwała mu Miłka, głośno wybuchając płaczem.

– Panowie, dajcie już spokój. Przecież to dziecko się boi! Wystraszyliście je swoimi bajkami! – podniósł nagle głos Leon. Wszyscy spojrzeli na niego, jakby zaskoczeni, że w ogóle potrafi mówić. Sadowski próbował coś odpowiedzieć, i to niezbyt grzecznie, ale zorientował się, że najpierw powinien uspokoić zapłakaną córeczkę. „Idiota, chyba się napił. A tak troszczył się, by inni nie nastraszyli mu dziecka” – pomyślał Leon.

– Zmieńmy temat – stwierdziła panna Schellong. – Może pan sam coś zaproponuje? – nieoczekiwanie zwróciła się do Leona. Do małpoluda, którym zdawała się tak wzgardzać, a okazał się taki wrażliwy.

– Właśnie – podchwycił Kramer. – Już dawno zauważyłem na pana szyi fragment malunku, to chyba tatuaż? Czyżby był pan marynarzem? Sądząc z pana postury, prawdziwym wilkiem morskim.

– Nikt jeszcze mnie tak nie nazwał. – Leon uśmiechnął się, ukradkiem zerkając na Miłkę. – Ale faktycznie, pływało się trochę po morzach. Miałbym niejedno do opowiedzenia.

Miał cichą nadzieję, że dziewczynka przestanie pochlipywać i zacznie wypytywać o egzotyczne zwierzęta, na przykład o lwy i słonie. Ale może była już z tego pokolenia, które oglądało dzikie stwory w niewoli, w parkach, na wystawach i w ogrodach zoologicznych. W tych czasach nie tylko Berlin, ale nawet Poznań chwalił się własnym zoo. Gdy Leon był w wieku Miłki, mógł oglądać żyrafy i nosorożce tylko na obrazkach.

– Dalej – odezwał się Wirth. – Czekamy, panie...

– Leon – odparł marynarz. – Leon Prus. A właściwie Duży Leon, tak o mnie mówią pół życia.

– No więc, panie Leonie, poprosimy o jakąś historię – nalegał Wirth. – Pewnie wrócił pan niedawno z jakiejś podróży, prosimy o uchylenie rąbka tajemnicy.

– Prosimy – odezwała się wielce łaskawie panna Schellong, a Kramer skwapliwie jej przytaknął. Tylko Sadowski nie brał udziału w naleganiach, bo opowiadał coś swej córeczce na ucho, ona jednak nie przestawała pochlipywać.

Leon nie dał się długo prosić.

– Wróciłem właśnie z Wysp Karolińskich – zaczął i skinął na Gustawa, by chłop podał mu coś mocniejszego.

– Gdzie to jest? – zainteresował się od razu Kramer.

– Na Pacyfiku. Powiedzmy, że nie tak daleko, biorąc pod uwagę europejski sposób myślenia i widzenia mapy świata, od Archipelagu Bismarcka, o którym na pewno pan słyszał – odparł Leon.

– Owszem, słyszałem. I tam też postawimy kiedyś wieżę! – Zatarł ręce Kramer. – Ale proszę kontynuować, proszę.

– No więc Karoliny leżą między naszym Archipelagiem Bismarcka i Hawajami, z których pochodzi ten słynny król<sup>[53]</sup> obieżyświat, co kilkanaście lat temu zwiedzał całą Europę, w tym Kolonię i Poczdam – wyjaśnił Leon.

– Pamiętam z czasów dziecińczych, to była sensacja. Większa niż ten czarny oficer i dyrygent<sup>[54]</sup> w Königsburgu, pupil cesarza... – wtrąciła panna Schellong, ale szybko się wycofała, aby nie przeszkadzać w opowieści marynarza.

– Na Karolinach są większe i mniejsze wyspy. Jedną z ważniejszych jest Yap, znana z olbrzymich kamiennych pieniędzy, nazwanych przez miejscowych *rai*. Pewnie widzieliście państwo kiedyś w prasie, jak wyglądają. To takie wielkie, czasem większe niż człowiek, kamienne dyski z dziurą pośrodku. Do portmonetki ich nie zmieścisz – zażartował, wywołując ogólną wesołość. – Ostatnio spędzałem jednak czas w miejscu jeszcze bardziej osobliwym. To egzotyczna wyspa Ponape<sup>[55]</sup>. Jak tam trafiłem? Nie uwierzylibyście – zawiesił głos i na moment się zamyślił.

We wspomnieniach nasze przeżycia wydają się często wyolbrzymione, prawie nierzeczywiste, niemal zmyślane. Zbyt piękne i zbyt straszne, raz poetyckie, raz przesadzone. I często podziurawione lukami niepamięci. We wspomnieniach...

\*\*\*

Dwubiegunowy wszechświat – błękitny na górze, turkusowy w dole, drżący i połyskliwy – zakłócała tylko ruchliwa sylwetka wcinająca się między bezmiar nieba i wody. Jak motyl frunący w palącym blasku słońca, jak ważka przecinająca płynny jedwab morza. Z jego piany wylaniała się „Syrena” – tak nazywał się ten okręt. Pruła fale dzięki rytmicznym ruchom długich, smukłych wiosł, z torsem spływającym strugami wody i żaglem z trudem próbującym złapać właściwy wiatr. Ta „Syrena” śpiewała pieśń, w której mieszały się dudnienie fal o burtę, szmer płótna, podniesione głosy ludzi i postękiwanie drewna. Kiedyś była piękna, dziś na jej drewnianym ciele pełno było uszkodzeń, często widocznych jedynie z bliska:

dziury ran, blizny łąt, świerzb brudu. Nad wszystkim unosił się wrzask dowódcy, ciskającego wymyślnymi przekleństwami nad głowami spoconych wiosłarzy o przepalanej skórze, śmierdzących kwasem potu zmieszany z solą morza.

Widnokrąg też nie był tak spokojny, jak z początku się wydawało. Owszem – z perspektywy frunącego w poprzek kursu „Syreny” morskiego ptaka, wypatrującego nisko pod powierzchnią wody łatwego żeru – statek wydawał się jedynym elementem naruszającym boski, błękitno-turkusowy bezmiar. Ale gdyby tylko skrzydła poniosły drapieżnego myśliwego wyżej i dalej, okazałoby się, że połać oceanu nie jest tak rozległa. Niedaleko znajdowało się mnóstwo wysepek i atoli. Niektórzy z wiosłujących – ciemnoskórzy i muskularni – dobrze znali te miejsca, byli stąd. Ale to nie oni wydawali polecenia, lecz jasnowłosi biali na pokładzie „Syreny”. Bywało, że miejscowi spojrzeli na nich krzywo i mruzcili coś pod nosem. Jednak krzykacz, będący dowódcą stateczku, tłumaczył pozostałym białym, że wiosłarze po prostu przyzwyczajeni są do innych, własnych łodzi i dlatego marudzą. Albo miał tyle pewności siebie, albo też tak dobrym był aktorem, że na jego pociętej zmarszczkami i bliznami facjacie nie można było dostrzec nawet cienia lęku. Leon, siedzący obok innych Europejczyków, patrzył na wilka morskiego z uznaniem.

I nagle tym błękitno-turkusowym światem zatrzęsło. Nieoczekiwana fala uniosła „Syrenę” wysoko w górę – zapierając dech ludziom na pokładzie – a potem cisnęła w dół, aż zaskrzypiał jej drewniany szkielet. Można było pomyśleć, że cały wszechświat się trząsł. Leon uderzył głową o maszt i stracił przytomność.

Obudziły go narastające krzyki. Odwróciwszy głowę, przerażony śledził, jak nadciąga ogromna fala, powstała po tym, jak zatrzęsła się ziemia. Na „Syrenie” wśród jęków zgrozy wzbił się w górę brutalny wrzask dowódcy. Czy myślał, że zdoła przeciwstawić się żywiołowi? Fala zmiotła ich wszystkich z pokładu, a potem roztrzaskała okręt w drzazgi.

Stracili orientację pomiędzy turkusem a błękitem. Pomiedzy orzeźwiającym chłodem wody, bijącym z głębin jak ciepło od płomienia, a ogniem lejącym się promieniście z nieba słonecznymi strumieniami.

Kiedy kilka wystających ponad taflę morza głów zrozumiało, gdzie znajduje się ląd (a mianowicie, że jest nim wąska bruzda ciągnąca się na horyzoncie), ich oblewane wodą piersi wydały westchnienie ulgi. Dłonie rozbitków wczepiły się jeszcze mocniej, aż do krwi, w kawałki drewna, które pozostały po „Syrenie”.

Mięśnie zaczęły intensywnie pracować, aby stopy jak najszybciej mogły znów poczuć pod sobą twardy grunt. Leon spojrział na pozostałych ocalonych: to byli sami miejscowi. Gdzie podziła się reszta, bogowie raczyli wiedzieć. Może poszli na dno lub zostali porwani przez fale gdzieś daleko. Może wszyscy poza nimi zginęli lub zostali przez żywioł rozproszeni. Lecz tylko na chwilę Leon wrócił myślami do współpasażerów. Zaraz potem skupił się na własnej walce o przeżycie.

Rozbitkowie widzieli brzeg i wiedzieli, że ratunek jest blisko. Wystarczy tylko poruszać kończynami i zachować zimną krew. Wydawało się, że cud ocalenia staje się faktem, kiedy nagle coś odebrało rozbitkom nadzieję na szczęśliwy finał. W niespokojnej pianie i dziwnych bąbelkach przepłynęła obok smrodliwa niby-wyspa, wielka martwa ośmiornica...

Dlaczego trup przegnanego trzęsieniem ziemi kalmara, przerażającego w swym wyglądzie, wynurzył się właśnie obok nich? Dlaczego mając do dyspozycji całe swoje morskie królestwo, którego panem był na głębokościach niedostępnych dla najodważniejszych z nurkujących ludzi, pojawił się właśnie obok rozbitków? To nie wyglądało dobrze, a przecież od zbawczego lądu dzieliło ich już naprawdę niewiele.

I właśnie wtedy, odwróciwszy się na moment, Leon zauważył trójkątne ostrza drapieźników, które przecinając turkus fal, płynęły od strony pełnego morza w kierunku martwego monstrum z głębin oraz ledwie żywych rozbitków z „Syreny”. Do niedawna zaniepokojone trzęsieniem, a teraz podekscytowane zapachem krwi i poruszającymi się ciałami, rekiny szukały mocnych wrażeń.

W starciu z szybkimi jak błyskawice drapieżcami rozbitkowie nie mieliby szans – po kolei wciągani pod wodę i rozrywani. Na powierzchnię wypływałyby tylko ich szczątki. Takie były fakty, więc nogi rozbitków zaczęły panicznie trzepotać w wodzie. Ląd był coraz bliżej, ale masywne szczęki również!

Zdawało się, że sprawa jest beznadziejna, gdy naraz wokół ludzi pojawiły się nowe płetwy. Trochę inne. Płetwy delfinów. „Klekocząc” w swoim dziwnym języku, zwierzęta stworzyły ciasny krąg wokół ludzi. To było jak sen. Poszturchując lekko rozbitków w kierunku wybrzeża, konwojowały ich aż do samej plaży, pozwalając nawet oprzeć się zmęczonym ramionom na ich śliskich, przyjacielskich ciałach. To było niezwykle uczucie – radości, wolności, zaufania.

Rekiny, dezorientowane i zaniepokojone przewagą liczebną delfinów, dały za wygraną. Trzymały się z boku, sprawdzając, czy wybawiciele ludzi jednak nie

odpłyną. Ostatecznie musiały zrezygnować z kolejnego posiłku, bo delfiny oddaliły się dopiero, gdy rozbitkowie szczęśliwie wydostali się z wody.

Zmęczony Leon klęczał na ciemnym piasku, na zmianę modląc się i ciskając wyzwiska. Gdzieś za ocalonymi uderzyła o brzeg przyniesiona przez fale część masztu. Inni rozbitkowie, miejscowi wioślarze, zaopiekowali się obcym. W końcu nie krzyczał na nich, do niczego nie zmuszał. Dzięki nim na tej wyspie ocalenia Leon poznał niejakiego Kubarego. Badacza i podróżnika. Ze współczuciem podszedł on do Leona, bo – jak mówił – sam był kiedyś ofiarą podobnego wypadku na morzu, co drogo go kosztowało.

Poza tym Kubary ucieszył się na wieść, że Leon jest Mazurem. Sam był pół Polakiem, pół Niemcem. Te niejednoznaczne korzenie również ich zbliżyły, aczkolwiek opowiadając o tym w Eichmedien, Leon niespecjalnie podkreślał ów fakt. Za to zaznaczył co innego. Tam na Pacyfiku rozbitek okrętowy spotkał rozbitka życiowego. Marynarz spotkał pasjonata. Jeden wylądował na wyspie przypadkiem, drugi zaś celowo.

Kubary zmienił życie Leona pod wieloma względami. Dzięki Kubaremu Leon więcej dowiedział się o miejscowych – a morska przygoda, jaką przeżył, nabrała niemal mitycznych rozmiarów. Okazało się, że w wierzeniach ludów Pacyfiku bóg-rekin przegrał niegdyś walkę z gigantyczną ośmiornicą, strażniczką raf. Przynależał wtedy nie atakować więcej ludzi. Zwykle dzikie rekiny musiały jednak jakoś przetrwać i ich nie obowiązywała obietnica złożona przez bóstwo. Leon przeżył najwyraźniej dzięki boskiej interwencji, jak mu tłumaczono. Bo w pojawieniu się delfinów też upatrywano jakiegoś mistycznego sensu. Zwierzęta te brali bowiem niektórzy miejscowi za cudownie przemienionych ludzi.

Taki był początek Leona na Karolinach. Gdy usłyszał przy stole w Eichmedien: „prosimy o więcej”, sięgnął po jedną z ostatnich swych przygód. Opowiedział, najpiękniej jak umiał, o miejscu nazywanym Wenecją Pacyfiku, a które dla niego było zarówno urokliwe, jak i mroczne. To Nanmata<sup>[56]</sup> na wyspie Ponape. Kilkadziesiąt wysepek, może nawet ze sto. Częściowo naturalnych, koralowych, częściowo usypanych przez samych Karolińczyków czy też ich przodków. Porośnięte bujną roślinnością i wysokimi palmami, figowcami i chlebowcami, skrywają tajemnicę. Bo na owych oddzielonych kanałami wysepkach wznosi się jakby cytadela. Opuszczone starodawne miasto, zbudowane z ogromnych bazaltowych bloków.

Nikt nie wie, ile ma lat. Miejscowi powiadają, że opuszczono je w niepamiętnych czasach. Sami zapuszczali się w ruiny z rzadka, unikając ich zwłaszcza w nocy. Mówią, że duchy z umarłego miasta będą prześladować każdego, kto naruszy ich spokój, ale przecież nikt z Europejczyków im nie wierzy. Pytanie, ile prawdy jest w innych opowieściach tubylców, którzy swych dziejów nie spisali na żadnym pergaminie, papierze, glinianych tabliczkach, nie wykuli ich w kamieniu. Powiadają oni, że kilkadziesiąt pokoleń temu nad Nanmatał, całą wyspą Ponape i okolicznymi wysepkami panowała dynastia Saudeleurów. Elity, arystokracja owej cywilizacji, mieszkały właśnie w Nanmatał. Ich łodzie pływały kanałami między wysepkami, w specjalnych stawach hodowano żółwie i węgorze. Na zlecenie władców poddani uprawiali ziemię, zbierali orzechy kokosowe, budowali łodzie i transportowali z daleka wielkie, pięcio- i sześcioboczne bazaltowe kolumny na kolejne budowle. Jednak pewnego razu wybuchł bunt i dawnych panów wybito. Ich pałace zarosły, świątynie opustoszały, grobowce niszczały.

Gdy jakieś sześćdziesiąt lat temu przybył na Ponape pierwszy biały – a był to młody Amerykanin irlandzkiego pochodzenia, rozbitek ze statku wielorybniczego – zastał już Nanmatał kompletnie opuszczone. Próbował zgłębiać jego tajemnice, nie wierząc w zabobony miejscowych. Swoje wspomnienia opisał potem w książce, którą wydał po szczęśliwym powrocie do ojczyzny, gdzie występował w cyrku osobliwości jako „wytatuowany człowiek”.

– Jednak prawdę o kamiennym mieście z wysp Pacyfiku odkrył dopiero Kubary, który dotarł na Pacyfik pod koniec lat sześćdziesiątych i spędził tam prawie trzydzieści lat. Miałem przyjemność poznać tego wspaniałego człowieka. Działając z ramienia hamburskiego Muzeum Godeffroya, wykonał tytaniczną pracę na Karolinach. Opisał przyrodę, ludzi, osobliwości, historię. Może czytaliście państwo jego relacje w gazetach? – spytał w tym momencie Leon, rozglądając się po zasłuchanych biesiadnikach, którzy na moment przenieśli się ze śnieżnych Mazur na egzotyczne wyspy Pacyfiku. Kramer pokiwał leniwie głową, aczkolwiek bez przekonania. Reszta czekała na ciąg dalszy opowieści.

Pochwały, które wygłosił później Leon na cześć Kubarego, były może przydługie, ale rzadko kiedy miał okazję, by zadedykować nieżyjącemu znajomemu taką laurkę. Tyle żmudnej pracy kosztowały podróżnika badania, choćby w samym Nanmatał. Sprawdzał nawet głębokość kanałów i to, czy są zarośnięte przez

korallowce. Analizował też, jakim cudem bazaltowa cytadela jeszcze stoi. Okazało się, że ma się całkiem dobrze dzięki specyficznej konstrukcji. Warstwy kolumn zostały na siebie nałożone w sposób krzyżowy, a fundament stanowiły częstokroć bloki korallowca, przyciągnięte z pobliskich raf.

Kubary wskazał również, że cytadela nie jest dziełem, jak chcieli niektórzy, hiszpańskich piratów szwendających się po Pacyfiku. Jednoznacznie dowiódł też – na podstawie znajdujących artefaktów, na przykład ozdób wykonanych z muszli – że poszczególne części Nanmatal powstawały w różnym czasie. W różnych okresach też pogrzebano na jego terenie znamienitych władców.

Kim dokładnie byli ci dawni królowie, nie wiadomo. Wydawało się, że miejscowi wiedzą więcej, niż chcą mówić. Badacze próbowali zbliżyć się do wodzów, którzy wspólnie tworzyli coś pomiędzy radą a tajnym stowarzyszeniem. Wszyscy znali stare rytuały (inne niż te, które odprawiano publicznie, na przykład podczas uroczystych wyścigów wioślarskich), byli zaprzysiężeni i zbierali się kilka razy w roku w pewnym uświęconym miejscu, otoczonym kamiennymi murami. Tam rozmawiali, pili mistyczne napary i składali ofiary bogom. Ponoć pierwszy puchar świętego napoju – zwanego kawą, lecz smakującego inaczej niż ta, którą znamy w Europie – poświęcano bogu, a dwa kolejne: kapłanom. Po tej ofierze udawali się na wysepkę, gdzie miał żyć wielki węgorz morski, uważany za wcielenie boga.

Dla kogoś z zewnątrz wzięcie udziału w tym zgromadzeniu i poznanie jego sekretów było zgoła niemożliwe, groziła za to kara śmierci. Badacze próbowali jednak chociaż zbliżyć się do samych stowarzyszonych. Ci akurat byli dobrze znani i mieli dość charakterystyczny wygląd. Nosili bowiem długie włosy, których nigdy im nie obcinano, lecz jedynie osmalano. To od tej elity Kubary dowiedział się o wielu faktach, niedostępnych i nieznanach.

– Zagadką jednak pozostało, jak przetransportowano owe olbrzymie bazaltowe kolumny, z których powstało Nanmatal. Wydawało się, że potrzebna była do tego jakaś rasa olbrzymów! Ale czyż nie brak wśród nas także i takich, którzy egipskie piramidy biorą za dzieło jakiegoś czarnoksiężnika, choć ich budowa wymagała tylko czasu, pomysłowości i cierpliwości? – zakończył swoją opowieść Leon.

Reszta słuchała, wciąż rozmarzona. Ciszę przerywało tylko trzaskanie drewna w kominku.

– Dziwny ten raj, z którego pan wrócił – odezwała się panna Schellong. Dyskusja nie podążyła jednak już w tym kierunku. Wszystkich opanowała bowiem błoga



senność. Wyglądali, jakby krążyli myślami gdzieś daleko, wpatrzeni w płomienie świec i w migotliwe dekoracje na niewielkiej świątecznej choince, podwieszanej pod sufitem jadalni. Wirth machinalnie bawił się jakimś błyszczącym znaczkiem wpiętym w klapę jego marynarki. Milczał, choć pora już była zaprosić gości do łóżek.

Wtedy Leon, wypiwszy haustem ostatni kieliszek podany przez Gustawa, oznajmił, że wystarczy już chyba jego opowieści. I że czas kończyć wieczerzę, bo wszyscy są pewnie zmęczeni tym niezwykłym dniem, pełnym zaskoczeń.

– Zbliża się północ, szanowni państwo, więc... hm... Kto chce się dobrze wyspać, powinien chyba udać się na spoczynek – oznajmił Wirth, nagle zrywając się z krzesła. – Wprawdzie pociąg do Rastenburga macie państwo dopiero o godzinie czternastej trzydzieści, ale warto wstać rano i obejrzeć jeszcze okolice dworu. Nie mieliście nawet okazji im się przyjrzeć, bo dotarliście już po zmierzchu. A jest tu i gustowny park, i zielony labirynt, i piękna kaplica, i alejka do malowniczej nekropolii nieopodal. Na spacer po śniadaniu w sam raz!

Pierwszy pożegnał się Sadowski. Wziął śpiącą Miłkę na ręce i wyszedł z jadalni. Za nim ruszył Leon, niepostrzeżenie machając do dziewczynki, jakby uparcie chciał się z nią zaprzyjaźnić, nawet wbrew woli jej ojca. Potem wstał od stołu Kramer. Zapytał, czy nie będzie nietaktem, jeśli zapali w pokoju cygaro. W końcu wypatrzył tam trochę zabytkowych rzeczy i nie chciałby, by dym im zaszkodził. Wirth odparł, że nie stanowi to najmniejszego kłopotu, więc zadowolony pastor skinął grzecznie głową i odszedł. Przy stole została już tylko panna Schellong. Podziękowała gospodarzowi za „wspaniały wieczór” i „cudowną gościnę”, po czym dała się odprowadzić Gustawowi do pokoju. Chłopina miał minę, jakby niemal umówił się z elegancką damą na schadzkę.

W jadalni został tylko Wirth. Popatrzył na stół, jakby zastanawiał się, kto to wszystko jutro posprząta, a potem tylko uśmiechnął się lekko. Kwadrans później pogasił z Gustawem wszystkie świece w jadalni.

– Czas na nas, mój stary. – Poklepał po plecach woźnicę, który tak sprawnie odgrywał dzisiaj rolę kelnera i kamerdynera.

Pozostawili świece tylko w korytarzach i holu. W całym pałacu nie było ani jednej lampy naftowej, co najwyżej gazowe – Wirth za bardzo bał się, że jeden nieostrożny ruch i może dojść do wypadku, po którym dwór spłonie jak zapałka. Może po remoncie rezydencji przyjdzie czas na zainstalowanie elektryczności?

Na brak lampy naftowej zwrócił też uwagę Kramer w swoim pokoju. Lecz on temu się nie dziwił. Sam znał kilka historii nieostrożnego obchodzenia się z takimi lampami – zarówno przez piękne panny czy eleganckich kawalerów, jak i przez szanowanych naukowców – które niewesoło się skończyły. „Aczkolwiek świece też nie są bezpieczne. Gdyby tu wybuchł pożar, najbezpieczniej byłoby chyba uciec przez okno” – pomyślał i zaczął nerwowo badać okiennice. Gdy sprawdził, że da się je otworzyć, wyraźnie się uspokoił. Zaciągnął się cygarem, po czym spojrzął na nie, jakby też mogło być potencjalnym źródłem zagrożenia. Szybko wcisnął niedopałek do popielniczki i wygasił.

„Do diaska. Chyba się trochę upiłem”. Podrapał się po głowie. Na koniec zamknął na klucz drzwi do pokoiku – to na zupełnie inny wypadek. Wtedy wreszcie położył się spać.

W pokoju obok Leon zastanawiał się, czy nazbyt nie rozgadał się przy stole. Czy nie powiedział gdzieś o jedno słowo za dużo? W końcu od tego zależała przyszłość – i to nie tylko jego własna. Podszedł pod zamurowane okno i sprawdził, czy nikt nie manipulował przy jego skrzynce. Wyglądało na to, że była nietknięta. Zresztą, kto miałby to zrobić? Duchy? Zaśmiał się.

„Ciekawe, dlaczego to okno jest zamurowane?” – przeszło mu przez myśl. Wychodziło na niewłaściwą stronę, a może dało się przez nie łatwo zajrzeć do pokoju? Czy też w grę wchodzi jakaś kolejna legenda? Mógł o to zapytać Wirtha, ale przecież nie będzie się specjalnie po to wracał do jadalni. Przemysł twarz w zimnej już wodzie w misce koło łóżka i zaczął się rozbierać. Miał ochotę zrzucić wszystko. Rozebrać się do naga. Spać w tej świeżej, pachnącej pościeli – to jak kąpać się w ciepłym południowym morzu.

Marta, wyciągnięta w łóżku, w ciemnym pokoju, też marzyła o czymś ciepłym. Piec był wprawdzie rozgrzany, jednak temperatura na zewnątrz tak spadła, że przez chwilę zastanawiała się nawet, czy nie założyć do łóżka szalu i jednego z kapeluszy! Co za brak smaku i elegancji! W końcu położyła się w koszuli nocnej, jak Pan Bóg przykazał. Przez kilka minut szczykała zębami z zimna, nim w końcu ogrzała się pod pościelą, a jej ciało się uspokoiło. Do poczucia pełnego komfortu brakowało jej tylko dotknięcia ręką rewolweru ukrytego pod poduszką. Gdyby była w domu, wołałaby pewnie gładzić okładkę książki o hrabinie Gamiani, którą chętnie przeglądała przed zaśnięciem. Lecz tu, w obcym miejscu, było inaczej.

Chciała przede wszystkim czuć się bezpiecznie. A broń dawała jej poczucie, że już nikt nigdy jej nie skrzywdzi. Mogła spać spokojnie.

Spokojnie zasypiała też mała Miłka, u boku swojego ojca. Opowiedział jej do snu jakąś bajkę o zwierzątkach z lasu – celowo, żeby nie było żadnych duchów, macoch i cmentarzy. Sam krążył wprawdzie myślami wokół Krzyżaków, tajemniczych średniowiecznych tuneli i zapomnianych skarbów, które przetrwały w ludzkich fantazjach z opowieściami o upiorach w tle, jednak musiał się z tym kryć przed dzieckiem. I przed jej Bellą, która obserwowała wszystko, nawet gdy wydawało się, że Miłka już śpi. Jego córka potrafiła niezłe wymyślać. Lecz przecież nie była kłamczuchą, tylko kruchą małą osobką, która zasługiwała na czułą opiekę i zwykłą dziecienną bajeczkę przed snem. Ojciec nie chciał, by znów miała koszmary.

A jednak to właśnie przeraźliwy krzyk małej Miłki obudził wszystkich rankiem 23 grudnia, tuż po wschodzie Słońca.

Zobaczyła zwłoki.

Zakrwawionego trupa wyglądającego jak upiór.

CZĘŚĆ II:

CZARNE ŚWIĘTA

# ROZDZIAŁ 1

Pomieszczenie było niemal ciemne, rozświetlało je tylko kilka świec. Stały obok fonografu, w którym jakieś sprawne ręce wymieniały co kilka minut woskowe wałki z nagraniami. Płynął z nich kobiecy głos, na zmianę spokojny i histeryczny. Głos jak z zaświatów.

*Kolejnego cudu domu brandenburskiego nie będzie. Kiedyś, za życia naszych pradziadów, weszli do naszego domu ze wschodu żołnierze. Zapach pożogi i mordy unosił się w powietrzu. Zawrócili, bo śmierć zamieniła władców na tronie carskim. Lud pruski przetrwał. Potem za naszych dziadów weszli do naszego domu żołnierze Napoleona. Zapach pożogi i mordy unosił się w powietrzu. Zawrócili, bo z carem w wojnę się wdali i przegrali. Lud pruski przetrwał. Za wnuków naszych znów wejdą ze wschodu żołnierze. Z pożogą i mordem. Cara zabraknie. Nad Königsbergiem uniesie się smród spalenizny. Nie zostanie kamień na kamieniu. Lud pruski nie przetrwa. Chyba że żyć i modlić się będzie podług Pisma.*

Pośród szmerów – bowiem w ciemności ktoś się nagraniu przysłuchiwał – dłonie w rękawiczkach wymieniły wałek.

*Zaczęło się w dzieciństwie, które spędzałam na wsi w Assauen<sup>[57]</sup>. Moja matka przewlekle chorowała, więc codziennie biegałam na mszę świętą, by się za nią pomodlić. Za którymś razem, gdy byłam sama w kościele, usłyszałam tajemniczy głos, mówiący w nieznanym mi języku. Po chwili zaś pokazała mi się wielka światłość. Poczułam się jak we śnie. Wstałam z kolan i wyszłam z kościoła, jednak wszystko dookoła widziałam inaczej. To była stara krzyżacka świątynia, a zdobił ją jakiś złamany krzyż. Na drzwiach wisiała tablica z innym niż nasze pismem. Nawet dzwonnica przed kościołem była inna. Z każdym moim krokiem światłość jednak bladła, aż zgasła. Wtedy zamrugałam, jakbym budziła się ze snu, i świat dookoła znów wyglądał jak przedtem.*

Tu nastąpiła kolejna zmiana wałka z nagraniem.

*Cud się nie zdarzył i moja mama zmarła. Dlatego nie przywiązywałam wielkiej wagi do tego, co stało się w Assauen. Jednak moja dziwna wizja powróciła – i to bardziej*

rozbudowana – w kolejnym miejscu, w Landsbergu<sup>[58]</sup>. Przebieg wydarzeń był zgoła identyczny. Znów głos w nieznanym języku, znów światło. A potem wędrówka w jego niknącym blasku. Znów złamane krzyże, znów nieznanne pismo. Tym razem wyszłam znacznie poza obręb kościoła. Dotarłam aż pod miejscowy hotel, w którym ponoć nocował podczas wojny Napoleon Bonaparte. Także tam zobaczyłam obce napisy i symbole. Chciałam zapytać, co to wszystko znaczy, ale ulice były opustoszałe. Zawróciłam do kościoła i wtedy zobaczyłam, że tę starą gotycką świątynię zdobią od zewnątrz jakieś wielkie malowidła świętych, ale odmienne od naszych.

Nagranie się skończyło. Po chwili włączono następne.

Kiedy przybyłam do Königsbergu, opanowała mnie dziwaczna gorączka. Świat rozmywał się, huczało mi w uszach, to były dźwięki i obrazy końca świata.

Dopiero po kilkunastu latach pozbierałam te wszystkie szczegóły i zrozumiałam. Dziwne krzyże, które widziałam w Assauen i Landbergu, nie były wcale złamane. To były po prostu krzyże wschodnie, z dodatkowymi belkami. Także obce malowidła świętych miały bizantyjski, wschodni rodowód. Nieznany język był podobny do rosyjskiego, choć najbardziej przypominał mi mowę chłopów z Ukrainy. Podobnie z tablicami zapisanymi w tajemniczymi znakami. Była to odmiana cyrylicy, a właściwie jej ukraińska wersja. Tak to zapamiętałam, do takich wniosków doszłam po latach poszukiwań. Kto ma uszy do słuchania, niechaj słucha. I działa, bo czas jest bliski.

Jak to rozumieć? Pewnie inaczej pojmowali to inżynierowie, lekarze i przyrodnicy, należący do Towarzystwa Wotana w Königsbergu, a inaczej mniej wykształceni jego członkowie, którzy nie mieli za sobą studiów. Bo choć pruskie szkoły miały renome, a globus, cyrkiel i mapa wyglądały jednakowo w całych Niemczech, to jednak edukacja w Rastenburgu nie cieszyła się przecież takim uznaniem jak berlińska. Nawet szanowane gimnazjum w Lyck było tylko prowincjonalną szkółką.

Z drugiej strony kto, jak nie pruski lud, mógł żywić większe obawy przed ludami Wschodu? Przecież Prusy były atakowane w przeszłości przez Polaków, Litwinów i Tatarów. Także przez ludy słowiańskie, bałtyjskie i azjatyckie. Sęk w tym, że pruski lud stanowili też Mazurzy. Lojalni wobec Niemiec, ale mający krew niewiele różniącą się od krwi sezonowych robotników z Kongresówki. Protestanci, ale modlący się po polsku. Poddani cesarza, lecz o słowiańskich korzeniach.

Dlatego siwy Mazur – słuchający właśnie słów apokaliptycznej przepowiedni z fonografu, a pamiętający popularny „Klucz do bardzo ważnych tajemnic”

Turowskiego – mógł mieć sprzeczne odczucia. Nie było jednak czasu na rozmyślanie. Za chwilę miał wystąpić z własnym raportem na temat wspomnianego dzieła. Przepowiednie w nim zawarte też budziły ciekawość Towarzystwa Wotana. Jednak, zdaniem referenta, nikt nie powinien w nie wierzyć. Mazur znał bowiem ludzi, którzy wymyślali te przepowiednie, przepisywali, zmieniali i drukowali. Nie stała za nimi żadna wiedza tajemna, tylko przekonanie, że do moralnego postępowania należy nakłaniać ludzi, strasząc małymi katastrofami dnia codziennego i zbliżającą się wielką apokalipsą.

## ROZDZIAŁ 2

Trup leżał pod oknem pokoju zajmowanego przez Sadowskich. Pokrywała go cienka warstwa śniegu, spod której przebijało zsiniałe ciało. Najbardziej intensywny był jednak kolor rozlewający się na twarzy. Obfite strumienie krwi zabarwiły też śnieg pod głową. Wy płynęły z oka, a właściwie z oczodołu, w którym tkwił wielki lodowy sople, częściowo już ukruszony i roztopiony.

– Zobaczyłam to, gdy się obudziłam. Taty nie było w pokoju, więc zaczęłam go szukać. Weszłam na parapet, spojrzałam przez okno i wtedy... – opowiadała rozdygotana Miłka. Uspokoila się dopiero, gdy ojciec wziął ją w ramiona i zrozumiała, że nic już jej nie grozi. W pokoju to pojawiali się, to znikali jacyś ludzie. Sadowscy nawet im się nie przyglądali. Trwali w uścisku, jakby chcieli się wzajem chronić przed całym światem. Złym światem.

Goście dworu krążyli między pokojem Sadowskich a podwórzem, gdzie leżały zwłoki. Tylko Wirth pilnował, by nikt z nadto nie zbliżał się do ciała. Potem scedował ten obowiązek na Gustawa, a sam zajął się koniecznymi formalnościami. Po pierwsze potrzebował dokładnych danych nieboszczyka. Po drugie musiał telegraficznie powiadomić o zgonie na terenie majątku władze powiatowe w Rastenburgu.

Telegram nadał Wirth na pocztę tuż po godzinie dziewiątej. Dochodziło południe, gdy przed dworem pojawił się leciwy powóz. Na koźle siedział zgarbiony młodzieniec o twarzy pełnej piegów i znamion po ospie. W powozie siedziały dwie umęczone podróżą osoby: jasnowłosa, na oko trzydziestoletni mężczyzna oraz lekko siwiejąca już kobieta. Blondyn przedstawił się jako inspektor gospodarczy z powiatu, dr Maksymilian Kunze. Towarzyszyła mu siostra zmarłego, cała w czerni.

– Dobrze, że znalazłem jej adres w dokumentach, które nieboszczyk miał przy sobie, i przesłałem telegraficznie do władz powiatowych. To oszczędzi wielu biurokratycznych kłopotów – pochwalił się Wirth, a stojący obok Kramer



przytaknął. Potem zarządca wręczył Kunzemu wspomniane papiery: była to legitymacja Kaiserliche Marine z załączonym zaświadczeniem, że Leon Prus został zwolniony ze służby z przyczyn zdrowotnych. Na ostatniej stronie dokumentu szczęśliwie znajdowała się adnotacja o bliskich: „Kontakt do rodziny. Siostra I. Prus, Rastenburg, Oberteichstr. 3”. To dzięki temu dopiskowi błyskawicznie odnaleziono siostrę Leona, by mogła udać się na miejsce tragicznego wydarzenia i odebrać ciało brata.

Kobieta w czerni zachwiała się, gdy wysiadała z powozu. Trudno powiedzieć, czy poślizgnęła się, czy zrobiło się jej słabo. Nawet przysłonięta welonem jej twarz była biała jak płótno, co robiło upiorne wrażenie. Wirth z trudem podtrzymał ją, by nie upadła.

– Ingeborga Prus – cicho przedstawiła się kobieta. Potem z trudem wydusiła z siebie prośbę, by zaprowadzić ją do brata. Leżał zaledwie trzydzieści kroków dalej, za rogiem budynku.

– Ależ trzeba mieć pecha – powtarzał Kramer, patrząc to na leżącego marynarza, to na wciąż wiszące pod dachem budynku sople. Tylko kilka było strąconych. „Ciekawe, czy to się skończy sprawą sądową i odszkodowaniem? Biedny pan Wirth może jeszcze mieć kłopoty ze strony von Redeckerów. A taki chciał być gościnnie” – pomyślał pastor przepięknie chrześcijańskim miłosierdziem.

„Ingeborga Prus – pomyślał Sadowski. – Pewnie stara panna, skoro nosi takie samo nazwisko jak zmarły brat. Chyba że nazywał ją siostrą zwyczajowo, a tak naprawdę to jego szwagierka”. Dziwne, jak rozmaite myśli przychodzą jednym ludziom do głowy, podczas gdy inni z bólu i żalu nie potrafią wykrztusić słowa.

Marta Schellong milczała, z bladą twarzą obserwując ludzką tragedię, jaka rozgrywała się na jej oczach. Ingeborga Prus klęczała w śniegu i łkała. Chwyła brata za skostniałą dłoń i ścisnęła raz za razem, jakby chciała przywrócić Leona do życia. Mówiła coś do niego, chyba w dialekcie mazurskim. A może to była modlitwa? Woda z topniejącego sopla lodu spływała po twarzy Leona – wyglądał, jakby zaczął płakać.

Nikt nie śmiał podejść do zrozpaczonej kobiety. Nie było dla niej pocieszenia.

– Czemuś nie zasłonił martwemu twarzy, tak jak prosiłem? – odezwał się Wirth do Gustawa cicho, ale ostrym tonem.

– Przecież ta pani i tak by ją odsłoniła – odparł stary. Wirth tylko machnął ręką. Jakby próżno było tłumaczyć Gustawowi takie niuanse, bo chłopina nie miał za grosz wyczucia.

Tymczasem po pobieżnych oględzinach denata Kunze przysiadł na ławce w parku przy dworze i wypełniał formularze. Okazało się, że był nie tylko inspektorem gospodarczym, lecz także lekarzem sądowym – stąd tytuł doktora. Fakt, że jedna osoba mogła pełnić dwie funkcje, był dla władz powiatowych wielce wygodny. Zwłaszcza, że w tych okolicach nie było wielu urzędników z wyższym wykształceniem. Kunze zaś, obejmując dwie posady, mógł liczyć na awans, prestiż i większe pieniądze. „Wystarczy ciężko pracować” – powtarzał w domu, zwłaszcza w towarzystwie niechętnego mu teścia.

Dziś w Eichmedien papierzyska Kunzego furkotały na wietrze. W pewnej chwili omal nie odleciały. Wypatrzył to czujny Wirth i oczywiście zainterweniował.

– Najserdeczniej przepraszam! Zapraszam do środka, w nasze progi. Przecież nie może pan robić takich rzeczy na podwórku – chwycił Kunzego pod rękę. Ten słabo się bronił.

– Denat jaki jest, każdy widzi. Siostra go rozpoznała. Sprawa jest oczywista – stwierdził tylko.

– Co by nie było, wstyd mi, że nie wprowadziłem pana do domu – przepraszal Wirth tak głośno, by każdy usłyszał, że naprawia swój błąd. – Pan wybaczy, ale nigdy wcześniej... Nigdy wcześniej coś takiego mi się nie przytrafiło. To znaczy nie widziałem takiej przedziwnej śmierci.

Kunze dał się wprowadzić do holu dworu. Usiadł tam na sofie i rozłożył swoje formularze na stoliczku. Kramer, Sadowski i Schellong przyglądali się temu z daleka, raczej dyskretnie. Po chwili podszedł do urzędnika piegowato-pryszczaty woźnica, który go przywiózł pod dwór w Eichmedien. Wymienili kilka słów. Woźnica był ciekaw, ile potrważą procedury.

– Trochę to zajmie. Przynajmniej jeśli o mnie chodzi. Muszę dostarczyć do sądu szczegółowe dane – stwierdził Kunze. – A nie wiem jeszcze, co z siostrą zmarłego.

– To zjawię się za godzinę, panie Kunze. Odwiedzę tu kuma – odparł woźnica, odwrócił się na pięcie i zniknął, najwyraźniej zadowolony.

– Macie w Rastenburgu urzędowego... hm... dorożkarza? – spytał Wirth Kunzego, gdy mężczyzna się oddalił.

– Nieformalnie – odparł lekarz sądowy. – Jest środek zimy, jutro Wigilia, a tu taki przypadek.

– Parszywy przypadek – westchnął Wirth. – Proszę mi wybaczyć słownictwo.

– Ano parszywy – potwierdził urzędnik.

Zapadła krępująca cisza, której nie przerywał nikt z kręcących się w pobliżu gości. Zakłóciło ją dopiero pojawienie się siostry zmarłego.

– Kiedy mogę zabrać ciało brata, żeby spokojnie przygotować je do pochówku? – spytała, ocierając chustką moką od łez twarz.

Mężczyźni spojrzeli po sobie.

– To nie tylko ode mnie zależy – odparł Kunze. Po czym wyjaśnił, że niewątpliwie doszło do wypadku, ale powstaje pytanie, czy Leon Prus lub von Redeckerowie posiadali polisę ubezpieczeniową. Wtedy na miejsce powinien jeszcze przybyć przedstawiciel ubezpieczyciela.

– Pan chyba żartuje – odezwała się zaskakująco chłodnym tonem Ingeborga Prus. – Myślę tylko o zabranii stąd swojego brata. W życiu nie wykupił nigdzie ubezpieczenia, więc nie o czym mówić. Ja zaś nie mam wątpliwości, że tutejszy zarządca w niczym nie przyczynił się do tego wypadku.

– Pani jest jedyną rodziną zmarłego? – dopytał Kunze.

– Owszem – odparła z pewnym wahaniem, którego lekarz sądowy nie omieszkiał odnotować. Podniósł pytająco brew. – To znaczy mamy jeszcze młodszą siostrę, ale od dawna nie utrzymuje z nami kontaktu – dopowiedziała Prus.

– Policja pomogłaby ją odnaleźć. Wystarczy, że poproszę.

– Dajmy sobie spokój z policją – mruknęła Ingeborga i wymownie machnęła dłonią. – Nasza siostra dla nas już nie istnieje, tak jak my nie istnieliśmy dla niej. Nic jej z nami nie łączy. Ja jestem jedyną żyjącą rodziną mojego brata.

– Udzieli mi pani takiego oświadczenia na piśmie?

– Jeśli to potrzebne, a nie jest zbędną biurokracją...

– Przydałoby się. Byłbym wdzięczny – przerwał jej grzecznie Kunze. Nie chciał wysłuchiwać od kolejnej osoby narzekań na urzędniczą biurokrację i zamiłowanie do papierów.

– Dobrze więc – zgodziła się Prus. Potem przeniosła wzrok na Wirtha, który wyglądał, jakby od dłuższego czasu chciał zadać jakieś pytanie.

– Chce pani zobaczyć pokój zajmowany przez brata? – spytał. – Są tam jego rzeczy osobiste.

– Oczywiście. Proszę mnie zaprowadzić – odpowiedziała szybko Prus, a Wirth zaraz zabrał ją do pokoju. Tam zostawił kobietę samą i przymknął drzwi.

– Zaglądał pan tam wcześniej? – nagle wtrącił się do rozmowy Kramer.

– Nie. A niby po co? – wzruszył ramionami Wirth.

– No wie pan, jeśli to był samobójca, mógł zostawić list pożegnalny...

– A to wygląda pańskim zdaniem na samobójstwo?

– Oczywiście, że to niemożliwe – skwitował pomysł Kramera doktor Kunze. – Ale może w pokoju dowiemy się, po co denat wyszedł na zewnątrz o tak wczesnej porze? Swoją drogą Leon Prus został zwolniony z cesarskiej marynarki z przyczyn zdrowotnych. Ciekawe, o co chodziło? Może cierpiał na jakąś posępnice, który która skutkowałą bezsennością, i dlatego snuł się nad ranem pod pałacem? Może w jego bagażu są jakieś dokumenty na ten temat i siostra denata mogłaby to sprawdzić?

– Prowadzi pan tę sprawę niczym oficer śledczy z Berlina. – Wirth uśmiechnął się lekko, stosownie do okoliczności. – Oczywiście ma pan rację. Sprawdźmy to. Siostra na pewno się nie obrazi.

Pomysł wydawał się przedni. Jednak przeszukanie pokoju i bagażu zmarłego nie dostarczyło żadnych nowych informacji. W pomieszczeniu zajmowanym przez Leona nie znaleziono niczego dziwnego. W torbie podróżnej nie było żadnych dokumentów, tylko ubrania. Pozostała stojąca pod ścianą skrzynka. Zamknięta była na kłódkę. Na szczęście klucz do niej leżał w widocznym miejscu, na wieku. Ingeborga Prus spojrzała na obu mężczyzn pytająco, po czym włożyła klucz do kłódki i przekręciła. Puściła bez problemu.

Kobieta podniosła wieko.

Może doktor Kunze – wiedząc, że zmarły był marynarzem – marzył przez chwilę, że w środku ukaza się setki błyszczących monet lub jakieś inne niesamowitości. Jednak zawartość skrzyni była rozczarowująca, chociaż z pewnością egzotyczna. Znajdowało się tam – w papierowym pudle wypchanym sianem – kilka ostro zakończonych kolorowych muszli, niewątpliwie pochodzących z jakichś dalekich mórz. Obok leżał w skrzyni pęknięty na dwie części, położone jedna na drugą, ciężki kamienny dysk. Z tyłu wepchnięto kilka

starych czasopism o tematyce podróżniczej i geograficznej. Całość uzupełniały dwa tomy Biblii – oddzielnie Stary i Nowy Testament – oraz sfatygowane drewniane pudełko z szachami, chyba niekompletnymi.

– Nawet nie wiem, czy to ze sobą zabierać – westchnęła Ingeborga ni to do siebie, ni to do towarzyszących jej mężczyzn.

– Zawsze to jakaś pamiątka – mruknął Kunze, drapiąc się po nosie.

– Co pan nie powie... – odparła niezbyt grzecznie.

– Oferuję w imieniu baronostwa von Redeckerów wszelką pomoc w transporcie – zapewnił Wirth.

– A mówi pan tylko o bagażu, czy także o zwłokach mojego brata? – spytała wprost.

– O wszystkim. – Wirth chrząknął nerwowo.

– Dziękuję. – Skinęła głową.

– Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby zorganizować jakiś wóz do Rastenburga. W dorożce się pani z tym wszystkim nie zmieści, zwłaszcza że i pan Kunze...

– Ale ja nie wybieram się do Rastenburga – przerwała Wirthowi kobieta. – Chcę jechać do Lyck. Tam jest nasz dom rodzinny, tam pochowam Leona.

Zarządca wyglądał na zaskoczonego.

– Proszę wybaczyć, ale to nieco zmienia sytuację – odparł nieco zakłopotany. – To dużo bardziej skomplikowane. W tych okolicznościach oferuję opłacenie podróży pociągiem, to jest wykupienie całego przedziału na pani potrzeby.

– Dziękuję. Przyjmuję i tę propozycję – potwierdziła.

– Szkopuł w tym, że z Eichmedien nie ma bezpośredniego pociągu do Lyck. Musiałaby pani jechać przez Rastenburg, tak czy inaczej. Dzisiejszy pociąg odjeżdża tam za godzinę.

– Niemożliwe, żebym zdążyła.

– Jest jeszcze inne wyjście. Mój człowiek zawiezie panią na stację w Martenheim. Tam złapie pani wieczorny pociąg do Lyck. Wprawdzie wczoraj pociąg zatrzymały powalone drzewa, ale dziś trasa powinna już być przejezdna.

– Słyszałam już o tych problemach od innych osób, które tu goszczą. – Kobieta przerwała wywód Wirtha. – Przecież właśnie z tej przyczyny trafił do Eichmedien mój brat. Mój Boże, kiedy wczoraj pociąg nie dotarł na stację, miałam takie złe

przeczcucie. Wprawdzie obsługa dworcowa zapewniała mnie, że to tylko kłopoty na torach, jakie zimą są częste, ale...

Kobieta ciężko opadła na fotel ustawiony między skrzynią a łóżkiem. Jej wzrok wędrował po pokoju. Obaj mężczyźni milczeli. Cóż mogli powiedzieć? Wirth już chciał opuścić kobietę pod pretekstem pożegnania gości udających się na stację w Eichmedien, gdy usłyszał kolejne pytanie.

– Dlaczego to okno pod herbem jest zamurowane?

– A, to stara sprawa. – Pokiwał głową. – Właściwie legenda.

– Legenda?

– Tak. Ponoć kiedyś mieszkała w tym pałacowym pokoju młoda panna, do szaleństwa zakochana w paniczku pochodzącym z rodu zwaśnionego z jej ojcem. Oczywiście nie było mowy o małżeństwie. Jednak któreś nocy panna po prostu wyskoczyła przez okno do czekającego już kochanka. Wtedy wściekły ojciec kazał zamurować okno. Ponoć zdarza się, że jego duch wraca i puka w tę ścianę, jakby chciał pogodzić się z córką, ale jest już za późno. – Wirth podszedł do ściany i postukał, jakby chciał zademonstrować, w jaki sposób może dać o sobie znać zjawą sprzed wieków.

– Mój brat duchy miał za nic – wyszeptała kobieta znużonym tonem. – Leon nie bał się nikogo i niczego.

– A może zmarły usłyszał takie stukanie i to wywabiło go na zewnątrz? – rzucił nagle Kunze.

– O czymże pan mówi? – spytała Ingeborga, podnosząc wzrok.

– Nic takiego. Zastanawialiśmy się po prostu, po cóż pan Prus wychodził na zewnątrz o tak wczesnej porze? Cierpiał na bezsenność?

– Być może – odparła kobieta. – U nas to rodzinne.

Znów zapadła krępująca cisza.

– Więc jak pani zdecydowała? – spytał Wirth.

– To znaczy? W jakiej sprawie?

– Transportu do Lyck.

– A ile mam czasu, nim pociąg stanie w Martenheim?

Wirth zerknął na swój zegarek kieszonkowy.

– Cztery godziny. Za trzy należałoby stąd wyruszyć – odparł.

– Zatem zgoda – powiedziała cicho. Za nic nie chciałyby pozostawać dłużej w miejscu śmierci brata. – Dziękuję panu.

– Spełniam tylko mój obowiązek. – Wirth dygnął.

– Tak się mówi. Był pan bardzo uczynny, dziękuję. – Kobieta nawet nie próbowała się uśmiechać. – Mam dwie prośby. Czy mogę zostać w pokoju i zebrać rzeczy brata?

– Oczywiście – odparł Wirth. – A druga prośba?

– Czy ktoś mógłby przygotować Leona do drogi?

\*\*\*

Za zgodą Wirtha Sadowski próbował zająć czymś córkę w pałacowym parku. Miłka najbardziej lubiła zabawę w chowanego. Kryła się przed ojcem w labiryncie z żywopłotów, za kamiennymi filarami muru biegnącego przy ogrodzie, a nawet za kaplicą von Redeckerów, która dla małej dziewczynki nie wydawała się grobowcem, a jakimś niewielkim zameczkiem, gdzie mogła być księżniczką. Sadowski wydawał się gotowy na każde głupstwo i na każdy pomysł dziewczynki, byleby nie wracała myślami do szokujących wydarzeń z poranka.

– Ciekawe, gdzie też on wybrał się nad ranem, że dziewczynka obudziła się w pokoju sama – myślał głośno Kramer, obserwując te zabawy Sadowskich. Wyraził swoje wątpliwości na tyle donośnie, by usłyszała je panna Schellong, przechadzająca się obok z zimową parasolką.

– Czy to istotne? – zapytała. – Może zgłodniał i wybrał się do jadalni, by uszczknąć coś z resztek wczorajszej kolacji. A może zaschło mu w gardle?

– Tak, to bardzo możliwe. – Kramer pokiwał głową, ale w jego głosie nie było słychać przekonania.

– Nie sądzi pan chyba, że wszedł na dach i zrzucił sople lodu prosto na biednego marynarza? – spytała Marta Schellong. Bodaj po raz pierwszy pomyślała o Leonie jak o człowieku, a nie małpoludzie.

– Skądże znowu – prychnął Kramer. – Ma też pani fantazję.

– Ale przecież to pan zasiewa jakieś wątpliwości.

– Nic podobnego! Wejść na dach i zrzucić sople lodu! Bagatela! Zadanie godne cyrkowca.

– To się cieszę, że oboje tak uważamy – przyznała panna Schellong.

Nie zakończyło to jednak dyskusji. Jakiś kwadrans później wrócił do niej... zziębnięty Sadowski, uciekający właśnie przed córką ciskającą w niego śnieżnymi pigułkami. Stanął przed Kramerem, spojrzał mu prosto w oczy i stwierdził krótko:

– Byłem przy studni. Chciałem sprawdzić legendę o Krzyżaku. Zadowolony?

Po czym odwrócił się na pięcie i odbiegł, by dalej bawić się z córką.

Kramer i Schellong wymienili spojrzenia ciężkie jak z ołowiu.

– Nie miałem pojęcia, że on nas słyszy – stropił się Kramer.

– Nie grzeszy pan dyskrecją, pastorze – odparła z przekąsem.

– Musze zapalić – stwierdził duchowny i natychmiast zaczął szukać po kieszeniach cygara. Gdy go nie znalazł, zaklął cicho, acz dobitnie. Marta spojrzała na niego ze zgrozą. Pastor jednak tym się nie przejął, lecz spokojnie odmaszerował w stronę schodów pałacu. Gdzieś tam musiało być źródło nikotyny, od której tak się uzależnił. Potrzebował choćby papierosa.

Marta Schellong nie potrzebowała tego dnia tego rodzaju wsparcia. Nie przyjęła żadnej cudownej pigułki. Wciąż miała przed oczami obraz Ingeborgi Prus, klęczącej w śniegu przy bracie. Nie dawało to jej spokoju.

Patrzyła na zapłakaną kobietę w czerni, a gdy ta nieco już doszła do siebie, zamieniły kilka słów. Schellong złożyła jej wyrazy współczucia. Była nawet tak miła, że posunęła się do kłamstwa. Stwierdziła mianowicie, że wprawdzie znała Leona Prusa bardzo krótko, jednak wydał się jej bardzo interesującym człowiekiem, który miał dużo do przekazania, nie tylko z racji odbytych podróży. Na koniec Marta zapytała milczącą żalobnicę, czy mogłaby jej jakoś pomóc.

– Tak – odparła Ingeborga Prus – Proszę mi opowiedzieć o bracie. Jak się poznaliście, co wczoraj robił, co opowiadał?

W innych okolicznościach Marta tylko wywróciłaby oczami, ale w tej sytuacji nie mogła odmówić. Opowiedziała, że podróżowali wspólnie pociągiem i przyszedł jej z pomocą, gdy zacięły się drzwi w łazience. Potem był niezwykle uczynny, gdy przyszło do przenoszenia bagaży.

– Najmilej wspominam jednak wieczór, który pani świętej pamięci brat umilił nam opowieściami o wyspach na Pacyfiku – wyznała i było nawet w tym trochę prawdy. Relacje z egzotycznych wypraw podziałały na jej wyobraźnię. Bowiem



w każdym normalnym człowieku, nieprzywykłym do dalekich eskapad, mogły budzić tęsknotę za przygodą.

– Wyspy na Pacyfiku – powtórzyła w zamyśleniu Ingeborga Prus. – Proszę sobie przypomnieć, co mówił Leon. Mnie już nic nie opowie.

Przez blisko kwadrans Marta opowiadała więc, co zapamiętała o Nanmatal i jej mieszkańcach. A także o tajemnicach wyspy i naukowcach, którzy strawili lata na badaniu tej Wenecji Pacyfiku: o amerykańskim rozbitku wielorybniku i Kubarym, przybyłym z Europy. Schellong opowiadała, a gdy nie mogła już sobie przypomnieć nic więcej, zamilkła. Wtedy Ingeborga Prus, najwyraźniej wzruszona, objęła ją swoją rozmówczynię i cicho podziękowała.

– Nigdy pani tego nie zapomnę – szepnęła. – A teraz proszę wybaczyć. Muszę zabrać swojego brata z tego zimnego miejsca. On kochał tropiki.

Kobieta w czerni odeszła i szybkim krokiem ruszyła w stronę drzwi wejściowych do dworu. Tam, gdzie zarządca rozmawiał z lekarzem sądowym, z którym przyjechała do Eichmedien. Marta zaś od tego czasu spacerowała i spacerowała, rozmyślając.

W takim stanie zawieszenia odnalazł ją Gustaw.

– Szanowna pani już spakowana? Za dwa kwadranse musimy jechać na dworzec, jeśli nie chce pani stracić kolejnego pociągu do Rastenburga – oznajmił.

Do drogi przyszykował się już Kramer i zapakował na wóz Gustawa swoje niewielkie bagaże. Wokół pojazdu kręciła się także rodzinka Sadowskich. Wyglądało na to, że cała grupa czeka tylko na pannę Schellong.

Marta truchtem wbiegła do holu pałacu. Omal nie zderzyła się z Ingeborgą, która wyszła z pokoju brata i rozglądała się za panem Wirthem. Wyglądała na zdezorientowaną.

– Coś się stało? – spytała Schellong.

– Tam w pokoju brata... Słyszać to stukanie!

– Jakie stukanie?

– Duch stuka w okno!

– Co takiego? – Marta nie wierzyła własnym uszom.

– Duch stuka w zamurowane okno! – krzyknęła Ingeborga Prus. Tym razem tak głośno i dobitnie, że usłyszała to nie tylko panna Schellong, lecz także pozostali

goście, stojący na schodach pałacu i szykujący się do drogi.

W tej samej chwili silniejszy podmuch wiatru rozwiał włosy małej Miłki. Z pionową zmarszczką na czole i dziwnym spojrzeniem – jednocześnie badawczym i zalęknionym – też wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Ścisnęła Bellę tak mocno, że lalka aż zaczęła pękać.

Potem połały się łzy. Miłka płakała i za siebie, i za Bellę.

Ingeborga opadła na sofę w holu, jakby zupełnie pozbawiona została sił. W końcu pojawił się Wirth, z pośpiechem niosąc wodę w karafce.

– To pewnie tylko kołatek tak panią wystraszył. Taki robak, coś jak kornik, żyjący w drewnianym herbie Hoverbecków, który wisi na tym zamurowanym oknie. Potrafi nieźle hałasować – wyjaśnił.

– To miejsce przyprawia ludzi o histerię – stwierdził pastor Kramer, ale nikt go nie usłyszał. Nikt nie potrzebował takiego przewodnika duchowego. Sadowski ponownie musiał zająć się córką. Zaś Marta znów postanowiła być dobrą Samarytanką i doskoczyła do sofy, by zadbać o Prus. W końcu to była niemłoda już kobieta. Tak chyba wypadło.

Zapłakana i wystraszona Ingeborga Prus zdjęła z głowy kapelusz z welonem. Dopiero teraz widać było w pełni jej twarz jasną od pudru, bujne włosy przetkane gdzieniegdzie białymi pasemkami oraz duże migdałowe oczy, nad którymi wyrastały grube i ostro zakończone brwi. Marta usłużnie przejęła kapelusz kobiety, potem próbowała nieporadnie chwycić ją za dłoń. Była wåtła i zimna.

Losem siostry denata zainteresował się także doktor Kunze, ale po chwili odszedł, by zebrać personalia i adresy wszystkich hotelowych gości. Były mu potrzebne do protokołu, jaki miał sporządzić po wizycie w Eichmedien i stwierdzeniu zgonu Leona Prusa.

Gdy pastor Kramer załatwił już formalności z urzędnikiem, podszedł do sofy, na której panna Schellong wachlowała – mimo mroźnego zimnego powietrza, bijącego z wejścia do pałacu – oszołomioną siostrę zmarłego. Kramer pomyślał, że to kompletnie bez sensu, jednak nie powiedział ani słowa. Chciał poruszyć dużo ważniejszą kwestię.

– Panno Marto. Nie możemy już dłużej czekać. Zaraz pociąg nam odjedzie i utkniemy tu na kolejny dzień – stwierdził pastor. – Sama pani wie, ile ma

klamotów i ile czasu to zajmuje – dodał dość niegrzecznym tonem. Pierwszy raz zwrócił się do pięknej blondynki w sposób tak obcesowy. Nie pozostała mu dłużna.

– To leć pan do swojego nieba, pastorze – odparła hardo. – Ja zostaję tutaj.

Po Kramerze spłynęło to jak po kaczce. Tylko wzruszył ramionami. Do odjazdu pociągu została mniej niż godzina, więc nie chciał już wdawać się w polajanki.

– Naprawdę, to miejsce przyprawia ludzi o histerię – powtórzył na odchodne.

Gustaw trzasnął biczem. Wóz ruszył, Kramer i Sadowscy odjeżdżali nim z ponurymi minami.

Pół godziny po nich do odjazdu szykowałą się także dorożka Kunzego. On wyglądał na zadowolonego. Wszystkie formalności zostały załatwione. Na dodatek, gdy Ingeborga Prus doszła do siebie, potwierdziła, że nie zamierza wracać do Rastenburga, lecz jedzie do Lyck. Urzędnik nie musiał więc podróżować z ponurą żałobnicą i trumną. Trupa bowiem kilku parobków z Eichmedien zabrało ze śniegu, zawinęło w grube płótno i wpakowało do naprędcie skleconej skrzyni, wypełnionej lodem. Strach pomyśleć, jak taki „bagaż” obciążałby rozklekotaną dorożkę. Mogłaby pęknąć oś i kolejny problem gotowy. A tak, żadnych utrudnień być nie powinno.

Za to chętnie doktor zabrałby ze sobą do Rastenburga Martę Schellong, która wcześniej zrezygnowała z pociągu, by wspomóc siostrę zmarłego.

– Skoro już poszkodowana czuje się lepiej, to zapraszam. W dorożce jest jeszcze trochę miejsca – zaproponował.

– Dziękuję, ale tak łatwo nie zmieniam zdania. – Zgromiła go spojrzeniem, jakby dobrze wiedziała, co sobie uroił. – Odstawię panią Prus do Lyck. Widzi pan tu jakąś inną kobietę, która mogłaby się nią zająć? Moje plany mogą poczekać.

Kunze pokiwał głową, jakby przyjął to do wiadomości. Wyglądał jednak na rozdrażnionego odmową, i to tak jednoznacznie. Jakby dla dodania sobie prestiżu przed piękną panną Schellong, zawołał na Wirtha.

– Niech no pan postrąca te sople. – Doktor wskazał na lodowe ostrza wciąż wiszące z dachu dworu. – Niestety chodzą parami. A nuż jeszcze coś się przydarzy? I co pan wtedy powie von Redeckerom?

Wirth przyznał mu rację i solennie obiecał, że zajmie się soplami. Oczywiście nie miał zamiaru strącać ich sam. Najchętniej obarczyłby tym Gustawa – samotnika bez rodziny, niemającego żadnych obowiązków domowych przed

świętami – ale ten odjechał na dworzec w Eichmedien, a po powrocie czekał go jeszcze dłuższy kurs do Martenheim. Zarządca wezwał więc parobków, którzy wcześniej borykali się ze zmrożonymi zwłokami marynarza. Skoro już trafiła się im dzisiaj taka niecodzienna fucha, to niech zrobią jeszcze coś, czego nigdy wcześniej nie robili.

A tymczasem Wirth zajmie się pięknymi paniami.

## ROZDZIAŁ 3

Sala łoży nie była już tak ciemna jak wtedy, gdy słyhać w niej było dźwięk fonografu. Przez zaciągnięte grube zasłony na oknach przebijało się nieco słonecznego światła. Również świece, choć rzadko rozstawione, dawały blask. Mimo to z trudem dało się wyłowić sylwetki słuchaczy, do których przemawiał człowiek za pulpitem. Jego twarz także znajdowała się w cieniu, jakby miało to sprawić, że temat wykładu stanie się jeszcze bardziej intrygujący.

Opowiadał, że starożytne teksty religijne częstokroć traktują o zaginionych światach. Najciekawszymi z nich wydają się podziemne krainy pod naszymi nogami, odrębne i rządzące się własnymi prawami. Wiodą do nich otchłanie na biegunach, z których woda z oceanów spływa do istnej sieci podziemnych jaskiń. Od wewnątrz oświetla je gorące jądro Ziemi. Wystarczy poczytać prace Merkatora, Kirchera, Eulera, Halleya. Pytanie, czy da się żyć w tych innych światach? A jeśli tak, to czy jest tam jakaś cywilizacja? Prelegent miał wiele do powiedzenia:

*O tajemnicach skrywanych przez jaskinie i olśnieniu, jakie mogą przynieść, pisał w starożytności Platon. I to także ów filozof zachował do naszych czasów legendę o Atlantydzie, jakże różną od judeochrześcijańskich mitologii. To jakby opowieść o wieży Babel i potopie w jednym – ale nie dajmy się zwieść. To historia zupełnie odmienna. Zawiera też tajemnicę: co stało się z Atlantydami? Rozproszyli się po całym globie? A może żyją gdzieś pod naszymi stopami?*

*Już w starożytności sugerowano, że mogli przenieść się pod ziemię i przetrwać tam, kontynuując dzieło swojej cywilizacji. Czy przypatrują się nam z oddali? Dlaczego milczą? Takie pytania zadaje wielu z nas. Lecz może czas sformułować inne. Gdzie szukać ziemskich pozostałości po Atlantydach? Gdzie ich dziedzictwo: biologiczne, intelektualne i techniczne?*

*Madame Bławatska, z londyńskiego Stowarzyszenia Badań Psychologicznych, w swojej „Doktrynie tajemnej” objawiła światu pewne starożytne przekazy. Wynika z nich, że cywilizacja na naszej planecie niszczone była wielokrotnie, zaś z jej najdoskonalszymi pierwotnymi mieszkańcami najwięcej wspólnego mają Ariowie. Czy też Aryjczycy, rasa*

*nordycka, germańska. My, drodzy panowie. Czy możemy zrobić coś poza odkryciem depozytów doskonałości, jakie w nas pozostały? W naszych ciałach i umysłach, w sercach i we krwi?*

*Można próbować dotrzeć – jak chce Bławatska – do tybetańskiej krainy Szambala, może nawet podziemnej, gdzie tajemniczy mistycy przekazują prastarą wiedzę. Wygląda to jednak na pobożne życzenia, a nawet pokrętną metaforę, obrazującą drogę do jakiegoś filozoficznego oświecenia. Czy nie lepiej rozejrzeć się wokół za realnymi pozostałościami i świadectwami? Użyć rozumu, by odkryć prawdę i pogłębić naszą wiedzę?*

*W siedemnastym stuleciu profesor Olof Rudbeck z uniwersytetu w Uppsali ogłosił, że Atlantyda znajdowała się w Skandynawii i stamtąd cywilizacja trafiła do Egiptu, Grecji i Rzymu. Nie ma jednak na to materialnych dowodów. Podobnie jest z hipotezami, wedle których pozostałością po zaginionym kontynencie jest Islandia.*

*I tu dochodzimy do sedna problemu. Wielu badaczy z faktu, że rasa aryjska jest pozostałością po atlantydzkiej, usiłuje wysnuć wniosek, jakoby wyspa ta musiała znajdować się gdzieś na północy. Nic przecież jednak podobnego. Skoro nasi przodkowie byli tak potężni, to byli też w stanie podróżować po całym globie. Już Schlegel i Herder wskazywali na to, że cywilizacja narodziła się w rejonie Indii. Czy mieli rację? Naszym zdaniem należy zapuścić się jeszcze dalej.*

*By tam dotrzeć, musimy przez chwilę przyjrzeć się światu zwierząt. Otóż brytyjscy zoolodzy zwrócili uwagę, że na Madagaskarze żyją małpokształtne zwierzęta zwane lemurami. Ich skamieniałości nie znaleziono ani w pobliskiej Afryce, ani na Bliskim Wschodzie. Odkryto je natomiast w Indiach i Azji Południowo-Wschodniej. Logiczne więc się wydaje, że musiał istnieć tam jakiś ogromny kontynent, rozpięty od Oceanu Indyjskiego po Pacyfik. To mogłoby tłumaczyć powstanie tak osobliwych cywilizacji jak ta, która wzniosła wielkie posągi na Wyspie Wielkanocnej. A także ta, która pobudowała opuszczone miasto Nanmatal w archipelagu Karolinów. Za chwilę wpuścimy nieco więcej światła i przekażę panom zdjęcia. Dziś nad naszym kochanym Königsberg słońce świeci jak latem.*  
*Owca*

*Oglądając te fotografie, zastanówcie się, czy jakaś prymitywna rasa mogła zdobyć się na taki wysiłek?*

*Musimy zrobić wszystko, by poznać budowniczych i ich wszelkie związki z nami: rasowe, mentalne i symboliczne. Jeśli czcili Boga Grzmotu, to chcemy wiedzieć, czy przypominał nordyckiego Thora. Jeśli stawiali megalityczne budowle, to czy przypominały nasze w Europie? Jeśli używali jakiegoś systemu znaków, to czy przywodzą na myśl runy? To*

*kosztowne i pracochłonne zadanie, ale czyż nie jest warte najcięższego wysiłku? A pomocna w tym będzie kolonizacja Deutsch-Neuguinea, obejmująca setki wysp na Pacyfiku. Pozostałości po Lemurii czy raczej Atlantydy. Naszej praojczyzny, jak wierzymy.*

Słuchając tego wykładu, człowiek wychowany nad jeziorami Prus Wschodnich, który znał tylko jedno morze: Bałtyk, mógł się poczuć jak dziecko podczas lektury baśni. Dać się oczarować. A jednak siwy Mazur miał wątpliwości. Może bardziej wykształceni członkowie Towarzystwa Wotana zarzuciliby mu brak szerszych horyzontów, jednak jego życiowe doświadczenie kazało patrzeć podejrzliwie na baśnie dla dorosłych. Ile mogą kosztować czasu i pieniędzy? Czy nie są tylko mrzonkami? Ale siła autorytetu elit, które rządziły Towarzystwem, nie były bez znaczenia. By ogrzać się w ich świetle, trzeba było przyznać się do swej małości i niewiedzy. I klaskać. Bić brawo, aż rozboleją dłonie.

## ROZDZIAŁ 4

Na stację kolejową w Martenheim wyruszył cały sznur pojazdów. Z przodu jechały sanie, w których zasiedli Ingeborga Prus, Marta Schellong i zarządca Wirth. Powoził niezawodny Gustaw. Na koźle obok niego i na dachu piętrzyły się przytroczone bagaże panny Schellong. Za saniami sunął wóz z trumną – a właściwie ze skrzynią z ciałem – wokół której siedziało kilku okutanych parobków. Mieli pomóc na stacji w przeniesieniu zwłok. Zdawało się, że na długo zapamiętają ten dzień tuż przed wigilią, który przyszło im spędzić z umarlakiem.

– Czy nie będzie pani potrzebować żadnej pomocy przy formalnościach pogrzebowych? – odważył się zapytać Wirth. – Może polecić jakichś fachowców w Lyck? Mam tam jeszcze znajomych, kiedyś uczyłem się w tamtejszej szkole.

– Nie, nie trzeba – zaprzeczyła Prus.

– To może w jakiś inny sposób mogę pomóc? Jeśli chodzi o transport z dworca w Lyck? Mogę nadać telegram z Martenheim, by na miejscu czekał już powóz.

– To miłe, dziękuję, ale poradzę sobie – odparła Prus i obejrzała się, jakby chciała sprawdzić, czy wóz z bieda-trumną na pewno podąża za saniami.

– W razie potrzeby, pomogę pani Ingebordze na dworcu – zapewniła Schellong.

– Dziękuję. Myślę, że sobie poradzę. Tyle lat spędziłam w tym mieście... – powtórzyła Ingeborga.

– Dawno pani wyjechała? – zainteresował się Wirth.

– Nie miałam jeszcze wtedy siwych włosów. – Prus uśmiechnęła się blado. – Ale proszę być spokojnym. Wprawdzie nie ma już tam mojej rodziny, ale są znajomi.

– Gdzie się pani zatrzyma? – spytał Marta. – W razie potrzeby służę...

– Dziękuję, nie trzeba – ponownie odmówiła Prus. – Mój brat miał przy sobie klucze do naszego rodzinnego domu. Tam się zatrzymam.

– To gdzieś w centrum miasta?



– Wręcz przeciwnie, na Sybbie. Między takim tamtejszym jeziorkiem a Kleine Sellment. Niedaleko lasów w Barannen.

– Oj, to kawał drogi z dworca – zaniepokoiła się Marta. – Bywałam tam czasami na przejażdżkach.

– Przed moim bratem jeszcze dłuższa podróż – odparła smętnie Prus. – I na jej końcu nikt nie czeka...

Schellong i Wirth spojrzeli na kobietę, wyraźnie skonsternowani.

– Nie jestem zbyt religijna, proszę mi wybaczyć – oświadczyła w odpowiedzi Ingeborga.

– Nie przekonuje pani chrześcijańska wiara? – zainteresowała się panna Schellong.

– Wierzę, że Jezus istniał. Ale te instytucje, które dziś na niego się powołują... Cóż...

– Istniał niewątpliwie – podchwycił Wirth. – I nie mówię tego, bo chcę podejmować jakąś krucjatę przeciw pani. Wręcz przeciwnie. Jezus niewątpliwie istniał, czego dowodzą te zdjęcia w prasie, które pewnie panie widziały.

Obie kobiety spojrzały na niego zdziwione.

– Chodzi mi o zdjęcia całunu z Turynu, wykonane rok temu przez włoskiego fotografa – wytłumaczył Wirth. – Na negatywach widać postać do złudzenia przypominającą Jezusa. Taką jaką znamy z tradycji, z przekazów. Podobnie jest z całym ciałem. Na fotografii widać ślady cięć, ran.

– Jest pan przekonany, że tego całunu nie dało się podrobić? – zapytała ostrożnie panna Schellong. – Dobrze znamy sztuczki papieżstwa.

– Rzecz wygląda na oryginał – odparł Wirth. – Ale co dla mnie najciekawsze, wydaje się, że sam Jezus mało miał cech charakterystycznych dla narodu żydowskiego. W tej sylwetce i twarzy jest coś takiego... naszego.

– Naszego? – zdziwiła się panna Schellong.

– Tak! Nie chce pań zanudzać, ale... Od wieków historycy dyskutują o tym, kim był ojciec Jezusa. Ten biologiczny, że tak powiem, jeśli odrzucimy wiarę w niepotrzebne cuda. – Wirthowi aż rozbłysły oczy, jakby w końcu znalazł odpowiednie audytorium dla swoich zainteresowań. – Może słyszałyście panie o starożytnych przekazach, że Maria z Nazaretu była brzemienna wskutek kontaktów z rzymskim żołnierzem, zwanym Panterą. Za czasów już nam

blizszych również niemiecki biblista Johann Christoph Wagenseil wspominał o żydowskiej tradycji łączącej Jezusa z ojcem o podobnym imieniu. A już całkiem niedawno, bodajże czterdzieści lat temu, w nadreńskim Bingen znaleziono starożytne cmentarzysko, na którym znajdował się nagrobek rzymskiego legionisty z I wieku naszej ery, podpisany – jeśli pamięć mnie nie myli – „Tyberiusz Juliusz Abdes Pantera z Sydonu”. To chyba zamyka sprawę!

Schellong spojrzała na Wirtha z żywym zainteresowaniem. Może łączyło ich więcej niż skłonna była podejrzewać.

– Tylko że... – zwróciła uwagę. – Jeśli ten Pantera pochodził z Sydonu, to był krwi żydowskiej, nie naszej.

– To, że wywodził się z Sydonu, wcale nie znaczy, że był Żydem – odparł Wirth. – Żydzi wiecznie buntowali się przeciw Rzymianom. Ktoś z nich miałby zostać legionistą, i to nie byle jakim? Nie! Myślę, że Pantera był wojskowym z dziada pradziada, a jego przodków przerzucano po całym cesarstwie. Jest mnóstwo prac naukowych dowodzących, że Chrystus był Indoeuropejczykiem, Aryjczykiem, jeśli coś mówią paniom te nazwy.

Marta przytaknęła, a Wirth tym chętniej kontynuował.

– Czyż Żydzi oddaliby własnego pobratymca pod rzymski sąd? Musiał być dla nich kimś obcym. Jego pozytywne cechy osobowości wyraźnie wskazywały na inne pochodzenie. Czy przypadkiem nasz wielki Ryszard Wagner nie porównywał Jezusa do germańskiego Wotana?

– Do Wotana? Nie wiedziałam – zdziwiła się Marta.

– Zdziwi się pani jeszcze bardziej jako jaroszka, bowiem także tę cechę Wagner przypisywał Jezusowi. Spożywanie chleba i wina, a więc roślinnych produktów, jako ciała i krwi podczas Ostatniej Wieczerzy, wyraźnie pokazywało, że chciał przywrócić ludzkości swoistą niewinność.

– Ale przecież pan jaroszem nie jest – przerwała Schellong. – Widziałam, z jakim apetytem pałaszował pan wczoraj gęsinę.

– Owszem. Ale to moja słabość. Któż ich nie ma? – odparł bez mrugnięcia okiem.

– Doskonała rasa, prawdziwi Aryjczycy, mogliby obejść się bez mięsa. Krew przelewaliby tylko na polu walki.

Marta wpatrywała się w niego z coraz większym zainteresowaniem, ale w końcu uświadomiła sobie, że w rozmowie zupełnie nie uczestniczy Ingeborga Prus. Było

to mało eleganckie wobec niej. Spytała więc:

– A co pani sądzi na ten temat?

– Proszę mi wybaczyć, ale nie jestem zapaloną czytelniczką prasy i książek naukowych – powiedziała cicho. – Poza tym... Trochę to dziwny temat w przeddzień Wigilii Bożego Narodzenia, nie sądzicie państwo?

– Wręcz przeciwnie! – zapalił się Wirth. – Temat jak najbardziej na czasie. Trudno o bardziej adekwatny.

– Nie dla kobiety podróżującej z martwym bratem – odparła krótko Prus.

Na to ani Wirth, ani Schellong nie znaleźli już odpowiedzi.

– To, że nie chce mi się wierzyć w szczęśliwe spotkania z bliskimi po tamtej stronie – Ingeborga Prus spojrzała w szarobure grudniowe niebo – nie znaczy, że chętnie naskakiwać będę na tradycję, w której wychowywali nas świętej pamięci dziadkowie i w której pokładali własne nadzieje. To już dla mnie zbyt wiele. Za dużo smutnych i bolesnych rozliczeń na jeden dzień.

Zapadła taka cisza, że słychać było tylko skrzypienie śniegu pod płozami sań.

W takiej atmosferze dojechali do stacji w Martenheim. Tam zgodnie z planem ludzie Wirtha znieśli skrzynię z ciałem Leona oraz jego bagaże, a następnie przygotowali do transportu. Prus podziękowała każdemu z osobna. Znać było, że chętnie dałaby im więcej niż po drobnej monecie, ale zwyczajnie nie było jej na to stać. Czy nie dlatego tak łatwo zgodziła się na propozycję Wirtha, że ten zarezerwuje cały przedział dla niej i przewożonego w lodzie brata? Próbowwała ten niedostatek ukrywać, jednak jej ubiór aż nadto wskazywał, że żyje bardzo skromnie. Jej brat też nie wyglądał na milionera, był bogaty co najwyżej we wspomnienia.

– Na pewno chce pani ze mną jechać? – spytała Prus pannę Schellong, gdy na horyzoncie pojawił się zarys stalowej maszyny z kłębami dymu uchodzącymi z komina. – Może jeszcze pani kontynuować swoją podróż zgodnie z wcześniejszymi zamierzeniami. Ja naprawdę sobie poradzę. Nie chciałabym zabierać czasu, który pragnęła pani spędzić inaczej, poza Lyck.

– Naprawdę, nie ma o czym mówić – przerwała Schellong i pozwoliła sobie na małe kłamstwo, by uspokoić rozmówczynię. – Już w trakcie podróży z Lyck żałowałam w duchu, że wyjechałam. To nie był dobry pomysł.

Marta podreptała jeszcze do budynku dworca – małego domku ze spadzistym dachem, otoczonego drewnianym płotkiem. Rozglądała się tam za telegrafistą, ale nie była w stanie nadać telegramu, bo urzędnicy zbyt zajęci byli Wirthem. Załatwiał z nimi ostatnie formalności związane z przewozem zwłok. Pokazał między innymi zaświadczenie od doktora Kunzego, które wyjaśniało, że transport dotyczy ofiary wypadku i nic nie wskazywało na śmierć wskutek zaraźliwej choroby, która mogłaby zagrozić pasażerom pociągu lub mieszkańcom miasta, będącego celem podróży.

Schellong nie skorzystała więc z telegrafu i ruszyła na peron. Całe szczęście innych pasażerów tego dnia w Martenheim nie było. Pociąg okazał się prawie pusty, więc z załadunkiem bagaży i skrzyń nie było kłopotu.

Ingeborga Prus przed odjazdem mocno uścisnęła dłoń Wirtha.

– Nigdy panu tego nie zapomnę – obiecała.

Kilka zdań z Wirthem wymieniła też panna Schellong. Zagłuszył je głos konduktora informującego, że pociąg do Lyck za chwilę wyruszy w drogę.

Schellong wspięła się do wagonu, a potem rozgościła w przedziale, w którym skwapliwie oddzielono jej bagaż i pudła z kapeluszami od kuferka z pamiątkami Leona Prusa i drewnianej skrzyni z samym zmarłym.

– Proszę do mnie napisać – zawołał na koniec Wirth, gdy Marta pojawiła się jeszcze w oknie. W odpowiedzi piękna pasażerka pomachała mu ręką.

Podróżna w czerni patrzyła tylko na obdrapaną skrzynię.

\*\*\*

Sadowski nie chciał jechać obok Kramera w kolejce wąskotorowej z Eichmedien do Rastenburga. Usiadł jak najdalej od dziwacznego pastora. Kiedy jednak zostawił na moment Miłkę, by się odświeżyć, Kramer sam go odnalazł i wziął na bok.

– No, niechże się pan nie gniewa – powiedział pastor cicho i pojednawczym tonem, jakiego rzadko używał.

– Trudno się nie gniewać po tym, co pan sugerował w Eichmedien. – Sadowski założył ręce, jakby przybierał postawę obronną.

– To znaczy?

– No nie zgrywaj pan naiwnego – Sadowski zgromił Kramera wzrokiem.

- Naprawdę, proszę mi powiedzieć wprost...
  - No przecież zasugerowałeś pan, że mogę mieć jakiś związek ze śmiercią tamtego nieszczęśnika.
  - Ech tam, takie tylko gadanie – wykręcał się Kramer.
  - Ładne mi gadanie – zirytował się Sadowski. – Ale słusznie, wyjaśnijmy to sobie. Naprawdę przyszło panu przez myśl, że mógłbym zabić tego marynarza? Jaki rzekomo miałem motyw?
  - Nie wiem... Hm...
  - No dalej, szczerze – popędzał go Sadowski.
  - Cóż, zwróciłem uwagę, że bardzo starał się pan trzymać go z dala od swojej córki – odparł w końcu zasepiony Kramer.
  - Owszem – przyznał Sadowski.
  - A dlaczego?
  - Odniosłem wrażenie, że za bardzo się nią interesował. Było w tym coś niestosownego – wyjaśnił oględnie Sadowski.
  - Pan uważa... – zaczął Kramer, lecz nie ważył się dokończyć.
  - Marynarz. – Sadowski pokiwał głową. – Marynarz.
  - Czemu tu stoisz, papo? – wtrąciła się zniecierpliwiona Miłka, która na paluszkach zakradła się do obu mężczyzn. Byli tak zajęci rozmową, że dali się dziecku podejść. Obaj wyraźnie się zmieszali. Mieli tylko nadzieję, że dziewczynka nic nie słyszała.
  - Rozmawialiście o tym panu, co umarł? – spytała, jak to dziecko, prosto i bez ogródek.
- Nie odpowiedzieli, wymienili tylko ze sobą wiele mówiące spojrzenia. Jednak Miłka najwyraźniej nawet nie potrzebowała odpowiedzi.
- Bo ja wiem coś, czego nikt nie wie – wyjaśniła z dumą
  - Ale na jaki temat? – Sadowski starał się uśmiechnąć.
  - No na temat tego pana, co umarł.
  - Nie mówmy o tym. – Ojciec chwycił ją za rękę, ale dziewczynka się wyrwała. Będąca oznaką gniewu zmarszczka znów wyskoczyła jej na czoło.
  - Jak ten pan leżał i jak krzyknęłam, to potem zobaczyłam, że błyszczało mu się koło buta coś ze złota. Było widać przez okno, bo jakoś tak zaświeciło słońce. But

czarny, a to złote. A potem, gdy wyszłam ze wszystkimi przed pałac, to tego już nie było – wyjaśniała z poważną miną.

– Przewidziało ci się, córuś. – Ojciec pogładził ją po głowie.

– Może to lód tak mocno błyszczał – dorzucił Kramer.

– Nie! To było złoto! – Dziewczynka tupnęła gniewnie nogą. – To wyglądało jak duża złota igła.

Pociąg zaczął zwalniać. Dojeżdżali do Rastenburga. Na dłuższą rozmowę nie było już czasu. Kramerowi przyszło coś do głowy. Domyślał się już, co mogło leżeć obok nogi Leona Prusa, jednak zostawił tę refleksję dla siebie.

Lecz także Sadowski nie powiedział mu wszystkiego. Nikomu nie mówił całej prawdy o Miłce. Otóż, gdy zobaczyła pierwszy raz Leona Prusa – pod fotoplastykonem w Lyck – to zauważyła nad nim, jak to mówiła, „anioła umarłych”. Pierwszy raz ujrzała go nad własną matką, nim ta zachorowała. Potem nad znajomym Sadowskiego z pracy – mężczyzna faktycznie niedługo potem zmarł na serce. Sadowski tłumaczył sobie, że dziewczynka ma taką przypadłość i trzeba to zaakceptować, podobnie jak rozmowy z Bellą i „niewidzialnymi przyjaciółmi”. Nie wspominał nikomu o „darze” ukochanej córeczki. Boże broń! Gdyby okazał się prawdziwy, Sadowski chciałby go wykorzystać zupełnie inaczej.

\*\*\*

Tymczasem w pociągu do Lyck rozmowa między Martą Schellong i Ingeborgą Prus z początku się nie kleiła. Jakby wyczerpały wszystkie tematy. Schellong patrzyła na lekko siwiejącą kobietę i nagle przyszło jej do głowy, że sama kiedyś też się zestarzeje. Nie byłoby źle, gdyby zachowała tyle urody, co pani Prus, aczkolwiek sama myśl o pojawiających się zmarszczkach i siwych włosach była dla Marty nieznośna. Poczula, że znów ogarnia ją zły nastrój. Istny smutnodur, melancholia. Dłoń Marty sama powędrowała do torebki, w której znajdowało się puzderko z obco brzmiącym napisem na wieczku i pastylkami z kokainą w środku. Z trudem się powstrzymywała.

Wtedy nagle odezwała się Ingeborga Prus.

– W bardzo ciepłych słowach opowiadała mi pani o bracie. I o tym, jak zadziwił was przy stole opowieściami o dalekich wyspach na Pacyfiku.

– Owszem – przytaknęła Marta.

– A jednak żaden z pozostałych panów, może poza zarządcą, nic mi o tym nie wspomniał. Jakby tę opowieść przespali.

– Trudno mi za nich się wypowiadać – odparła Marta. – Może byli zazdrośni. Sami nie potrafili opowiadać w tak zajmujący sposób, nawet jeśli mieli o czym. Mężczyźni to straszni zazdrośnicy.

– Tak. – Ingeborga pokiwała głową. – Zwłaszcza w towarzystwie pięknej kobiety.

– Wie pani coś o tym? – zapytała Marta.

– Przecież nie o sobie mówię. – Prus przechyliła przekornie głowę.

– Pani mnie zawstydza...

– Proszę nie zaprzeczać. Jestem już trochę siwa, ale nie ślepa.

Marta Schellong nie wiedziała, co odpowiedzieć, ale nie musiała. Mówiła i pytała Ingeborga:

– Więc jak było naprawdę? Leon ciekawie mówił? Ktoś zadawał mu dodatkowe pytania?

– Chyba tak, sama już nie pamiętam – odparła panna Schellong. – Tak czy owak, opowiadał nam dość długo. A potem po prostu poszliśmy wszyscy spać.

– Tak... – westchnęła Prus. – Gdyby miał mocniejszy sen, może żyłby jeszcze. Ba, gdyby sięgnął po kieliszek alkoholu, też nie miałby kłopotów ze spaniem.

– Akurat po alkohol to sięgał – podchwyciła Marta. – Nie, żeby dużo. Po prostu wszyscy piliśmy wino, nalewkę lub koniak. W taki zimowy wieczór, w nieoczekiwanym miejscu, zmęczeni i spóźnieni, dlaczego nie? Przecież tam nie mogło się wydarzyć nic złego! Tak sądziliśmy.

Prus w milczeniu pokiwała głową.

Niebawem pociąg dojechał do stacji w Lyck. Było już bardzo ciemno, padał śnieg, zatem warunki raczej nieodpowiednie na podróż samotnych dam. Ingeborga czekała na bagażowych. Całe szczęście Wirth poinstruował obsługę pociągu o specyficznym „bagażu” panny Prus.

– Może jednak odwiozę panią pod sam dom? – zaproponowała Schellong, gdy wychodziły z wagonu. Była to jej strony jedynie kurtuazja, próżno bowiem byłoby szukać wozu, w którym zmieściłyby się i skrzynie panny Prus, i liczne bagaże panny Schellong. Nie wspominając już o tym, że Marta nie byłaby szczęśliwa,

gdyby jej kapelusze i ubrania jechały koło skrzyni z nieboszczykiem. Mogły przecież nasiąknąć trupim odorem!

– Naprawdę nie trzeba – odparła Ingeborga. – Ale za wszystko pani dziękuję.

– To może chociaż... – Schellong spojrzała jej w oczy. – Może przyjdzie pani do mnie w święta.

– Wykluczone – zaprotestowała Prus. – Już je pani zepsułam. Nie pojechała pani tam, gdzie chciała.

– Nic podobnego – zaprzeczyła Marta. – Proszę posłuchać: spędzam to Boże Narodzenie sama, pani także. Zapraszam przynajmniej jutro, na wieczerzę wigilijną. Przecież w taką noc nikt nie powinien być sam – przekonywała.

Chwilę jeszcze się spierały, aż ostatecznie Prus się zgodziła. Wzięła od Schellong kartę wizytową z adresem, pomachała na pożegnanie i wyruszyła z bratem w ostatnią drogę na Sybbę.

Marta pozostała jeszcze chwilę, póki powóz nie zniknął za zakrętem.

– Jedziemy już pod pani adres? – spytał lekko zniecierpliwiony stangret, który czekał już na koźle powozu wyładowanego jej bagażami.

– Jeszcze nie – odparła chłodno. Musiała pilnie nadać telegram. Wszak całkowicie zmieniła swoje plany, zrezygnowała z wizyty i powinna była wysłać zainteresowanemu wiadomość z wyjaśnieniem, dlaczego tak się stało.

\*\*\*

Gdy jechali, było ciemno i biało jednocześnie. Wokół panowała już grudniowa noc, a wszechobecny śnieg odbijał nawet nikłe światło księżyca i gazowych lamp. Im bliżej Sybby, miejscowości pod Lyck będącej właściwie czymś w rodzaju letniska, tym stawało się mroczniej, a droga robiła się trudno przejezdna.

– Ktoś tu w ogóle mieszka zimą? Toż to już prawie puszcza – zagadał do woźnicy młody, silnie zbudowany chłopak, najęty na stacji do pomocy przy skrzyni i bagażach.

– Dziwisz się? Ty chyba nietutejszy? To nie puszcza, to tylko lasy w Barannen<sup>[59]</sup> – odparł woźnica. – A co mają ludzie tu nie mieszkać? Wystarczy napalić w piecu i gotowe. Zobacz no tylko, w tych willach palą się świece. W niejednej piją i się bawią na całego. Ponoć chętnie wpadają tu oficerowie z garnizonu, rozgrzać się.



Prus machinalnie potrząsała wielkimi kluczami do domu, wygrzebanymi z bagażu brata. Tyle czasu nie trzymała ich w ręku! Może dlatego tak jej ciążyły?

Jej rodzinny dom nie wyglądał jak typowa willa wypoczynkowa z Sybby, o jakiej mówił fiaker. To była zwykła chata, podobna do chałup miejscowych bednarzy, szewców i tokarzy. Częściowo z kamienia, częściowo z drewna, kryta strzechą. Stara i biedna. Bogata tylko we wspomnienia zamknięte za zniszczonymi grubymi okiennicami.

Ingeborga otworzyła furtkę w leciwym płocie i ostrożnie wspięła się po schodkach. Pamiętała, że są nieduże, ale strome i zimą strasznie śliskie. Potem zabrała się za kłódkę w drzwiach. Była podobna do tej przy skrzynce z pamiątkami Leona, tylko mniejsza. Na szczęście zamek nie zamarzył, klucz dał się przekreślić. Stęknęła otwierana kłódka, zaskrzypiały pchnięte przez Ingeborgę drzwi. Ze środka powiało zapachami zbutwiałych staroci. Znajomymi zapachami.

Gdzieś blisko wejścia powinna być lampa. Pamiętała, jaka to była sensacja, gdy zaczęli jej używać zamiast świec. Tak samo było z zapalkami. Po latach aż trudno w to uwierzyć.

Ingeborga namacała najpierw wielkie zapalki, potem szklany klosz lampy. Strzeliła iskra, kobieta zapaliła knot, rozbłysło światło. Wyregulowała płomień, jakby przestraszyła się, że zaraz ją poparzy.

Stojąc w sieni, zobaczyła dobrze sobie znane zarysy chałupy. Pośrodku znajdowała się tak zwana czarna kuchnia<sup>[60]</sup> z paleniskiem i butelkowanym kominem, wokół niej pozostałe izby – na lewo jadalnia i sypialnia dzieci, na prawo spiżarnia i sypialnia dorosłych. Wyglądały jak dawniej, brakowało tylko biegających między pokojami kur.

Woźnica i jego pomagier z trudem poradzili sobie z bieda-trumną ze zwłokami Leona, nieustannie przy tym narzekali na groźące im lumbago. W rezultacie musiała pomóc im sama Ingeborga.

– Całkiem pani silna – zdziwił się woźnica. – W kopalni pani robiła czy co?

– Ostatnio dużo pracuję w ogródku – odrzekła.

Po śliskich schodach udało się wepchnąć skrzynię do sieni.

– Gdzie ją zostawić? – spytał woźnica.

– Może być w sieni, byleby nie utrudniała przejścia – odparła.

– W sieni? – zdziwił się.

– Tak – potwierdziła.

– Jakoś to nie według obyczaju.

– O to niech się pan nie martwi – uspokoiła go Ingeborga.

– A co z pozostałymi rzeczami?

– Lekkie bagaże na lewo, a ten ciężki kuferek na prawo – poinstruowała chłopaka. – Mogą zostać w jadalni i w spiżarni, dalej już sobie poradzę.

Potem dwaj mężczyźni wzięli pieniądze i odjechali. Zapłaciłaby więcej, żeby z nią zostali. Bała się tego domu i duchów, które powyłażą ze wszystkich ścian. Zmor i zjaw. Matka opowiadała, że gdy Ingeborga była niemowlęciem, to ktoś z sąsiedztwa zniweczył jej przyszłość złym spojrzeniem. Nigdy nie miała już być szczęśliwa. Ingeborga słyszała tę historię jako dziecko i pamiętała całe życie, że szczęście nie jest jej pisane. Dostosowała się do tego wyroku losu.

Czy mogła go zmienić? Ojciec opowiadał, że na strychu ma w beczce kłobuka. Ognistego ptaka, którego dobrze karmił, a ten w podzięcie przynosił mu nocą złoto. Mała zawsze zastanawiała się, co potem dzieje się z tym bogactwem, skoro bieda w domu aż piszczala. „To chyba niemożliwe, żeby tyle złota przepić” – dziwowała się. Aż któregoś dnia kilkuletnia dziewczynka sama poszła na strych i z ciekawości otworzyła beczkę. Wewnątrz nie było nic. Chyba jednak niedokładnie beczkę zamknęła, bo po kilku godzinach ojciec wszczął awanturę.

– Grzebałaś tam! Kto ci pozwolił?! – krzyczał. – Wypuściłaś go! Przez ciebie nigdy już nie będziemy bogaci!

Po czym uderzył dziewczynkę w twarz.

– Od dziś będziesz na siebie pracować! – rozkazał. Matka pokornie przytaknęła. Wtedy jednak zainterweniowali dziadkowie, rodzice ojca, którzy mieszkali z nimi pod jednym dachem, gnieźdząc się w małej dziecięcej sypialni.

– Sami się nią zaopiekujemy i wychowamy – oznajmili. – Wy zajmijcie się Leonkiem.

– Żebyście tego nie żalowali – odparł ojciec. – Ta mała srajda przynosi tylko pecha. Nie wierzycie? Miałem kupony z państwowej loterii. Wydałem na nie majątek. Bylibyśmy bogaci, ale ona wypuściła kłobuka i z wygranej nici!

– Rozpuścicie ją tylko jak dziadowski bicz – dodała matka. – Niezłe ladaco z niej wyrośnie.

Dziadkowie się nie przejęli. Babcia zabierała ją z sobą, gdy szła po kwiaty i zioła – od pokrzyw po czarny bez – z których robiła lekarstwa i nalewki, a potem sprzedawała na targowisku w Lyck. Po drodze na bazar pokazywała małej piękne miejsca, gdzie rosła żółta i cytrynowa macierzanka, powój, rumianek, niezapominajki, dzwoneczki, sasanki. Wszystkie możliwe kwiaty na wianki. Była też kalina i czeremcha z kwiatami wielkimi jak kule, tak pachnącymi w maju. Wokół pełno jasnożółtych motyli. Mały raj.

Jako dziewczynka najbardziej lubiła miejsce, gdzie rósł jaśmin. Babcia nachylała gałązki, by mała mogła go powąchać. Ingeborga kochała ten moment. Od babci dowiedziała się, jak działają ludzkie zmysły i jakie przyjemne bodźce na nie wpływają. A potem babunia śpiewała o kogutku, co go lisek porwał. I wtedy mała płakała. Ale mimo wszystko lubiła ten moment. Dzięki babci poznała, czym jest wrażliwość i jak uwalniają się ludzkie emocje.

W domu to ona pokazała małej, jak prowadzi się gospodarstwo – bo przecież kiedyś i ona będzie mieć własne, prawda? Chodząc po kuchni, jadalni i spiżarni, Ingeborga z dziwnym rozrzewnieniem dotykała sprzętów i naczyń, których używały. Krzywe garnki, dziurawe miski, powykręcane łyżki – to wszystko wydawało się kiedyś w dużo lepszym stanie. Ingeborga gładziła meble, o które babcia tak dbała, a które po latach zamieniły się w przegniłe rupiecie. Wiele z nich zrobił sam dziadek.

On zabierał małą na jezioro, gdzie wiercił i rąbał przeręble, w których łowił potem ryby. Też się tego nauczyła. Którejś wiosny w tym samym jeziorze utopił szczeniaki, bo „suka i tak by ich nie wykarmiła”. Tego dziewczynka już nie powtarzała. Aczkolwiek była przekonana, że dziadek kochał zwierzęta, zwłaszcza te przydatne w gospodarstwie. Uczył ją właściwego podejścia do koni, żeby się nie bała, że zaraz ją kopną albo ugryzą. Uczył, póki nie sprzedali swojego siwka dla pieniędzy. Pozostało po nim tylko smutne chomać, do dziś wiszące w sieni chaty – obok makatki ze wzorem mającym rzekomo przynieść szczęście temu domowi...

Mała najszczęśliwsza wydawała się jednak poza nim. Chadzała z dziadkiem na spacer po bliższej i dalszej okolicy. Poznała wszystkie rodzaje ptaków w lasach. Tropiła sarny. Wiedziała, gdzie szukać dzikich pszczół. Poznała stare leśniczówki i opuszczone sadyby. Widziała nawet zabytkowy trójstyk na dawnej granicy Prus, Polski i Litwy. Tak uczyła się historii, o których nikt inny nie opowiadał. A razem z nią także Leoś – bo wbrew obietnicom rodzice wcale się nim nie zajmowali, zbyt

zajęci szukaniem okazji do zarobku i tegoż przepijaniem. Chłopiec bardzo polubił te polubił te piesze podróże z dziadkiem i siostrą. I chciał więcej – w przyszłości.

Pewnego jesiennego dnia mała wróciła do domu cała we łzach i powiedziała, że jedna z koleżanek nazwała ją bidokiem i brudasem, bo chodzi w szmatach. Dziadek wybrał się wtedy nad wodę i zabił tyle piżmaków, że można było uszyć z nich palto dla dziewczynki. I nikt się już z niej nie śmiał, bo nikt nawet nie podejrzewał, że można dziecko w piżmoszczury ubrać.

Którejś zimy z Leonem i z pomocą babci długo lepiła bałwanka. „Pałfanka”, jak mówiła przez szczerbate ząbki. Powietrze było ostre. Zbyt ostre. Babcia rozchorowała się i zmarła. Lekarze nie mogli nic poradzić. Żadne leki nie pomogły. Nawet szklanka wódki z czarnym prochem ani cudowne miejscowe medykamenty na bazie nafty, w których gustował dziadek.

Bardzo zaniemógł też Leoś. Pewnego dnia dziewczynka zobaczyła, jak matka gładzi malca po twarzy i mówi: „Jesteś chory, to może w końcu pójdiesz do nieba? Babcia długo chorowała i poszła do aniołków”.

Przestraszona opowiedziała o tym dziadkowi. W domu wybuchła awantura. Po paru godzinach dziadka rozboleło serce i położył się do łóżka. Zerwał się w środku nocy, obudził małą i wziął w ramiona. Zabrał ją do czarnej kuchni, tam zapalił lampę i pokazał jej cegłę z tyłu za kominem, na której było coś wyryte.

– Widzisz tę datę? – spytał. – To rok 1816. Wtedy postawiono ten dom i wtedy się urodziłem. Pamiętaj, że na moim grobie ma być taka sama data.

I tej samej nocy dziadek zmarł.

Długo po nim płakała. Najgorsze przyszło jednak później. Nikt już nie bronił dziewczynki przed rodzicami, chyba że brat. Ale on też dostawał lanie od ojca. Zaś dziadek się nie miał kamienia z wyrytą datą na grobie – póki nie zadbał o to dorosły już Leon.

Ingeborga zaszła do ciemnej kuchni i odnalazła cegłę, którą wtedy pokazał jej dziadek. Powiodła palcem po krawędziach napisu. Jedyńska. Ósemka. Jedyńska. Ósemka.

Zdziwiła się. Dałaby głowę, że powinno być 1816, a nie 1818.

Pamięć potrafiła jednak płatać figle. Może powinna częściej zaglądać do tego domu? Opuściła go przed laty, tak samo miasto. A kiedy wracała do Lyck, nie chciała tu zaglądać, wybierała hotele.

Sama wyparła przeszłość z pamięci.

Rodzice zapili się i wcale nie chciała o nich myśleć. Ale dziadkowie... Tak, pamiętała ich. Lecz tylko jako dziadków. Nie miała pojęcia, jacy byli jako młodzi. Jak się poznali, jak pokochali, jakie mieli plany. Zawsze byli tylko dziadkami. Nie wydawało się, by kiedyś w ogóle mogli być młodszy. I nie wydawało się, by mieli jakiegokolwiek plany na przyszłość. Pozbawieni przeszłości i przyszłości, stali się wiecznymi dziadkami. Nie przyszło jej nigdy do głowy, że mogło być inaczej. I nie dowie się już, jakie mieli marzenia. Wzięła ich miłość, ich serce, oddanie, a w zamian zapewniła im w swojej pamięci tylko ukryte głęboko miejsce, pozbawione światła – niczym trumna.

Cała ta chałupa była kryptą nieboszczyków. Trupiarnią. Domem umarłych.

Prus spojrzała na skrzynię ze zwłokami brata, ustawioną w sieni na wiklinowym chodniku. Śnieg na wieku i lód w środku już się topiły. Gdy się rozpuszczą, ciało zacznie się rozkładać. O nic już brata nie zapyta, to jasne. Nigdy go nie przytuli ani nie pocałuje. Jeszcze doba lub dwie, a Leon, dawny Leoś, będzie się jej kojarzył ze smrodem zgnilizny i kłębowiskiem robaków.

## ROZDZIAŁ 5

Pastor Kramer, w wielu miejscach Mazur znany jako *spiritus movens* akcji budowy Wież Bismarcka, śpieszył ulicami Rastenburga, poważny i czymś zaniepokojony. Na silnym, mroźnym wietrze jego płaszcz nadymał się jak czarny żagiel.

Mróz nie mróz, wigilia nie wigilia, pastor Kramer zamierzał zrealizować, co sobie postanowił.

Spod futrzanego kołnierza wystawał mu skraj teczuski z kalkulacjami dotyczącymi budowy monumentu i listą honorowych mecenasów tego przedsięwzięcia. Teczka była zabrudzona plamkami po śniegu i po atramencie, znać było, że wiele już przeszła. A jednak jej zawartość była dziś dla Kramera sprawą drugorzędną. Plan bowiem, z którym jechał do Rastenburga, stracił rację bytu. Wczoraj podczas podróży z Eichmedien wszystko się zmieniło. Pastor przemyślał jeszcze sprawę w hotelu, a potem podjął decyzję: musi skontaktować się z doktorem Kunze.

W innych okolicznościach Kramer szedłby teraz do znajomych z rastenburskiej łązy, by czekać na achy i ochy, jakie wzbudzą jego plany, tudzież lista wpływowych osób gotowych je poprzeć. Przy okazji wypaliłby kilka cygar, jak to miał w zwyczaju. Syciłby się ich niemal bachiczną mocą i aromatem, aż do zawrotów głowy i przyjemnego odprężenia uwalniającego od wszelkich smutków i rozterek. Również tych związanych z jego powołaniem. Wykształcił się na pastora, by pomagać bliźnim. Parę lat temu odniósł jednak wrażenie, że spędził już zbyt wiele czasu z ludźmi, niosąc im nieszczercze pokrzepienie. W duchu wciąż przekonywał siebie, że kłamie w imię większego dobra i że jego misja jest jak najbardziej chlubna. Jednak sam fakt, że stracił wiarę, wszystko zmieniał. Musiał znaleźć jakiś sens. Jakieś nowe zadanie. Patriotyczna misja upamiętnienia Żelaznego Kanclerza w Prusach Wschodnich była dla niego przedsięwzięciem odpowiedniego kalibru. Również rozreklamowanie jej dzięki nowoczesnym środkom technicznym czy przyciągającym gawieź atrakcjom, takim jak fotoplastykon, świadczyło zarówno

o pomysłowości Kramera, jak i o jego pracowitości oraz poświęceniu dla sprawy. Tylko w błyszczących, czujnych oczach pastora odbijał się niepokój targający jego wnętrzem, rozchwianie ducha, pełne napięcia wyczekiwanie. Czuł, że Bóg kiedyś się o niego upomni, nawet jeśli sam Kramer chciał już o Bogu zapomnieć.

I to właśnie wydarzyło się w pociągu. Dlatego spotkanie ze znajomymi z rastenburskiej łoży musiało poczekać. I nawet budowa Wieży Bismarcka przestawała być tak pilna, gdy w grę wchodziło ludzkie życie.

Jako młody chłopak był żołnierzem. „Młodość! Kiedy to było?” – myśli Kramera poszybowały w przeszłość. Cofnął się prawie o trzydzieści lat – do chwili, gdy ubrany w pruski mundur czujnie wзираł z okopów pod Sedanem. Naprzeciw stała francuska armia, huczały działa. Francuska kawaleria rozpaczliwie próbowała rozerwać pęta pruskiego oblężenia i uratować cesarstwo Napoleona III. Lecz Francuzów czekała klęska, niespodziewana i bardzo dotkliwa.

Kramer pamiętał, że był wrześnieowy świt, a on drżał zziębnięty, zaspany i półprzytomny, czekając na zwanie z wrogiem. Wokół posypał się grad śmiertelnych pocisków. Coś latało nad jego głową, ktoś krzychał. Kramer mechanicznie wykonywał jakieś polecenia, sam wrzeszczał, a potem po prostu strzelał, tłukł, przebijał bagnietem. Ranił i zabijał Francuzów.

Potem z trudem zmywał z siebie ich krew. Wtedy powziął decyzję, że zostanie pastorem. Podzielił się nią, gdy wrócił do domu i odebrał swą nagrodę z rąk kobiety, która dopiero miała się stać jego żoną. „To mniejszy grzech niż zabijanie” – mówił sobie, gdy leżeli w stodole na sianie, a wiatr hulał za nieszczelnymi ścianami. Skóra ich ciał błyszczała, perliście zlane potem, oddechy wracały do normalnego rytmu, mięśnie z wolna przestawały drżeć. Powiedział jej, że nie chce już być wojennym bohaterem. Wolał ratować ludzkie dusze, niż wysyłać je na tamten świat. Ale chciał też mieć rodzinę, dzieci – z nią. Pocałowała go. Poślubiła. A potem dała mu syna; może nawet spłodzili go wtedy, w stodole.

Jakże zbladła ta dawna miłość. Żona – zamiast spędzać czas z mężem i synem – jeździła na święta do wód razem ze swoim bogatym kuzynostwem. Jakże zbladła jego dawna duchowość. Kramer zaczął ulegać zbyt wielu pokusom. Wiara wietrzała, aż zostały po niej tylko puste deklaracje. Jakże zbladł dawny pacyfizm! Już nie Bóg – który teraz wydawał się Kramerowi coraz bardziej daleki – a polityka rozgrzewała jego serce. Nagle zaczął być dumny ze swojego krwawego dzieła pod Sedanem. Nagle doceniał i chwalił Żelaznego Kanclerza oraz owoce jego

działalności Ba, miał nawet wyrzuty sumienia, że tak długo krytycznie patrzył na Bismarcka i zarzucał mu, że wprawdzie dał Niemcom dumne zwycięstwa, ale jednocześnie pogrzyżył ich w zwodniczym poczuciu wyższości i przekonaniu o własnej dziejowej misji. Bo z każdym dniem Kramer czuł, że właśnie takową Niemcy posiadają. Żelazny Kanclerz obudził drzemiącą w tym narodzie potęgę. Kramer przyznał wreszcie, że polityka nie służy zachowaniu pokoju, a wojna jest koniecznością wręcz biologiczną – dzięki niej rozwijają się potęga i kultura państwa. Wystarczyło przecież spojrzeć dookoła. Do czego doszli Niemcy! W ilu dziedzinach nauki, kultury i techniki byli liderami, nie wspominając o przemyśle czy wojskowości. Zostało w nim jednak także coś z chrześcijańskiego uniwersalizmu – zgadzał się bowiem, że dobro całej ludzkości jest ważne. Zastrzegł jednak, że postęp odbywa się za sprawą poszczególnych nacji, w granicach ich państw.

Którejś wiosny myślał o tym długo w swym rodzinnym mieście nad Bałtykiem. Ukryty w mroku i wpatrujący się z miejskich murów w fale, oświetlone tylko przez ciała niebieskie i mizerne światło spóźnionych łodzi, nabrzeżnych lamp oraz morskiej latarni, która go zainspirowała. Wprawdzie okazało się, że ktoś już zaczął stawiać wieże na cześć Bismarcka, ale – pal to licho! – pomysł był zbyt dobry, by zostawić go innym.

Kramer postanowił zrobić wszystko, by jego życie znów nabrało głębszego sensu. Cóż z tego, że nie w sferze duchowej – w uczczeniu twórcy Cesarstwa Niemieckiego, który zmarł w 1898 roku, też było coś wzniosłego i mistycznego. Kramer dostrzegał w tym szansę, by znów robić coś, w jego mniemaniu, sensownego i pożytecznego. Coś, co przetrwa dłużej niż jedno ludzkie życie.

„Masz mnie, masz swoich parafian... To wszystko ci nie wystarczy?” – dziwił się jego syn. Jakim on był minimalistą! Kramer nie chciał już mu przypominać, że pochodzą z rodziny mającej ambicje i zasady. Będąc dzieckiem, Kramer usłyszał bowiem od ojca, że młodzi ludzie powinni hołdować ideałom starożytnych Rzymian. Winni być patriotami, wyróżniać się umiejętnością mądrego i przekonującego przemawiania, piastować urzędy państwowe, wreszcie zdobyć uznanie, zyskać posłuch w rodzinnym regionie, uczciwie się wzbogacić, spłodzić liczne potomstwo, a w razie potrzeby porzucić pług i sięgnąć po miecz. Pastor Kramer temu nie sprostął. Nie chciał też przymuszać do czegokolwiek swego syna, gdy ten oznajmił, że najbardziej na świecie marzy o otwarciu fotoplastykonu.



Pastor od razu podchwycił pomysł. Oczyma wyobraźni widział galerię zdjęć Wieży Bismarcka z całego świata: wyrastających między piramidami Ameryki, wśród afrykańskich sawann i w tropikach Azji. Widział, jak ludzie porównują je i rodzi się w nich pragnienie, by postawić w rodzinnym mieście własną, wyższą, wspanialszą. To mogło być jak religia, jak budowa katedr w średniowieczu!

Lecz przyszedł taki czas, że Kramer zaczął się obawiać, czy mu się powiedzie. W rodzinnym mieście zbyt wiele widział wokół siebie wrednych spojrzeń, za dużo słyszał plotek i wyzwisk. Ktoś wziął go na języki, zarzucał mu tchórzostwo pod Sedanem. Bo czy inaczej tak szybko zrzuciłby mundur po zwycięskiej bądź co bądź wojnie? Kto inny rozповідаł, że Kramer musi być oszustem. Bo co to za pastor: z cygarem, ale bez parafian? Bez własnego kościoła, ale z fotoplastykonem?

Lecz sobie z tym poradził. Świadczyły o nim efekty jego działań. Był skuteczny. Znał się na ludziach – jako człowiek z bogatym bagażem własnych życiowych doświadczeń, łatwo wczuwał się w sytuację innych i umiał przekonywać niezdecydowanych. No, może czasem zbyt łatwo oceniał ludzi albo zachowywał się wobec nich nieuprzejmie. „Ale to tylko zimą!” – tłumaczył synowi. „Wtedy jakoś robię się gruboskórny”.

Uważał, że właśnie tak zachowywał się podczas pobytu w Eichmedien. Ba, to przekonanie graniczyło z pewnością. Nie zdziwiłby się, gdyby wiele poznanych tam osób wzięło go za jakiegoś hochsztaplera. Tym razem naprawdę przesadził, o czym świadczyła chociażby reakcja Sadowskiego. Kramer nie stracił jednak kontaktu z rzeczywistością, bo przecież podszedł i zagadnął obrażonego mężczyznę. Los mu to wynagrodził: nie tylko poczuł się lepiej, ale też zrozumiał coś, co miało niezwykłą wagę. Musiał tylko odszukać w Rastenburgu Kunzega. Ten człowiek był ważniejszy niż miejscowa loża i plany budowy Wieży Bismarcka.

Gdzie był doktor? W pracy. A przynajmniej tak się wydawało. W Rastenburgu wszyscy go znali, choćby w urzędzie powiatowym i w sądzie. Sęk w tym, że wszędzie na Kramera szukającego lekarza sądowego spoglądano jak na raroga.

– Jest Wigilia. Co pan spodziewa się dzisiaj załatwić? – pytano niemal retorycznie. Kunzega widziano to tu, to tam, ale tylko przez moment.

– Panie, przecież idą święta! A co pan myślał? Pan jest pastorem i nie wie, co jest najważniejsze dwudziestego czwartego grudnia?

Na szczęście wypatrzył gdzieś na korytarzu piegowato-pryszczatego woźnicę, który parę dni wcześniej przywiózł Kunzego do Eichmedien. Kramer zapytał mężczyznę o doktora. Ten poradził mu, by udał się do miejscowej kantyny. Ponoć Kunze chętnie bywał tam koło południa, o ile oczywiście nie dostał wezwania do jakiegoś przypadku.

Kramer zasiadł przy stoliku, pomimo Wigilii zamówił grzane piwo i zaczął rozglądać się po stolikach. Nieliczne były zajęte, głównie przez pojedyncze osoby w pośpiechu coś dojadające. Tylko przy jednym stole toczyła się rozmowa jakichś młodych urzędników o specyficznych zainteresowaniach.

– No więc słuchajcie. Znalazłem historię taką – odezwał się jeden z nich, ocierając wilgotne od piwa usta. – Do pewnej kobity przychodził swego czasu gach. Umawiał się z nią, że będzie otwierała mu drzwi, gdy przyszedłszy wieczorem zaszczeka pod nimi jak piesek... – W tym momencie towarzystwo wyszczerzyło się ze szczerzej uciechy, a Kramerowi zdało się, że opowiadaną historię skądś już zna. – Trwał ten proceder jakiś czas, gdy rzecz przyuważył pewien spryciarz. Domyślił się wszystkiego, wysledził parę, poznał ich tajemne znaki i... postanowił, że i jemu należy się coś od życia. – Twarze słuchaczy rozjaśniły lubieżne uśmiechy. – Kolejnej nocy spryciarz sam przyszedł pod dom swawolnicy i cicho zaszczekał. Ta, spodziewając się kochanka, zgasiła światła, aby nie został zauważony, i wpuściła go do środka. Mężczyzna od razu zabrał się do rzeczy, tak że nawet nie zaprotestowała. Kiedy tak dokazywali, pojawił się pod drzwiami domu i właściwy gach. Zaczął szczekać, jak to zwykle robił. Wtedy spryciarz zerwał się na równe nogi i odszczeknął mu głośno, jak wielki, bojowy pies. A gach, słysząc, że z większym od siebie ma do czynienia, wziął nogi za pas!

Towarzystwo zaniósło się od śmiechu. Stuknęły o siebie szklanice piwa. Kramer zaczął się zastanawiać, czy rodziny tych młodych ludzi nie będą mieć nic przeciw temu, że ci wtoczą się do domu z chmielowymi oddechami.

– A ja mam jeszcze lepszą anegdotę – odezwał się inny z mężczyzn i chrząknął. – Miała pewna kobieta głupią córkę. Matka modliła się często, żeby niebiosa dały młodej więcej rozumu. Nie skutkowało, jednak kobiecina modliła się na tyle głośno, że córka usłyszała, o co matka prosi. Dobrze to zapamiętała, słowo w słowo. Kiedy pewnego dnia szła przez wieś, zobaczyła w kącie jakiegoś podwórza, jak pewien chłopina obłapia oślicę. Nie wiedząc, co się dzieje, zapytała chędożącego, co właściwie robi. Ten niezmiyszany odrzekł z głupia frant: „A

wpycham jej rozum”. „Ojej, dobry człowieku!” – ożywiła się dziewczyna na te słowa, pamiętając dobrze, o co modliła się matka. „Wsadźże i mnie trochę rozumu, moja matka będzie ci taka wdzięczna!”. Mężczyzna zdziwił się, ale nie dał się prosić po raz wtóry. Odstawił oślicę i wziął się za młódkę. Kiedy tylko skończył, uradowana dziewczyna pobiegła do matki i szczęśliwa opowiedziała jej całą historię. Matka tylko załamała ręce: „Nie tylko więcej rozumu nie zyskałaś, ale na dodatek straciłaś to, co jeszcze miałaś!”.

– Taaa... – Kramer uśmiechnął się z wysiłkiem. Przypomniawszy sobie, skąd owe opowieści zna. Były to chyba bajki Ezopa, z którymi zetknął się na którymś etapie swojej edukacji. A może się mylił? Tak czy inaczej, były to antyczne anegdoty. Czyżby przysłuchiwał się popijawie jakichś młodych filologów? I to w Rastenburgu? Nie zdziwiłoby go to w Königsbergu, ale tutaj?

Dobrze jednak, że pastor nie pozwolił, by zraziły go te pikantne historyjki, i został w pustawej kantine dłużej niż kwadrans. Oto niebawem pojawił się w jej drzwiach nie kto inny jak poszukiwany doktor Kunze. Zaczął witać się z młodymi filologami. Mówili do siebie coś po grecku i po łacinie, a potem śmiali się tubalnie.

– Ale trafił się panu doktorowi zgon w Eichenmüden – odezwał się jeden z piwoszy erudyta. – Aż mi się przypomniało, jak filozof Empedokles wspiął się na wulkan i zszedł do krateru. Po czym ze środka wystrzelił tylko jego sandał.

Współbiesiadnicy wybuchli szczerym śmiechem. Najwyraźniej lubili wisielcze poczucie humoru. Znów zaczęli się wymieniać anegdotami – tym razem o dziwnych zgonach starożytnych sław. Było więc o Heraklicie, który postanowił się leczyć z pomocą końskiego gnoju, by wypocić chorobę, ale ugotował się w nim na śmierć („Nie wchodzi się dwa razy do tego samego gnoju” – ktoś sparafrazował heraklitową mądrość „Panta rhei”, ale bez efektu). Było o cesarzu Tytusie, po którego śmierci znaleziono w mózgu komara wielkości gołębia („To miał ptasi mózdzek!” – padł kolejny dowcip). Było też o zapaśniku Milonie, który chciał dla zabawy rozerwać uschnięte drzewo, lecz ręce utknęły mu w pniu i sportowca pożarły wilki („To powinna być dyscyplina na tej nowej olimpiadzie w Paryżu! To dopiero ludzie by oglądali” – zażartował ktoś gorzko).

Tymczasem wzrok rozbawionego Kunzego przypadkiem zboczył i padł na pastora Kramera. Wtedy w oczach doktora pojawił się jakiś błysk, świadczący o przeczuciu, że chyba nie jest to przypadkowe spotkanie. Gdy doktor podszedł się przywitać, pastor potwierdził jego domysł.

– Nie jestem tu przez przypadek – poinformował Kramer. – Musielibyśmy jednak porozmawiać na osobności.

– Dzisiaj? – zdziwił się Kunze i machinalnie spojrzął na zegarek.

– Koniecznie – odparł Kramer. – To dotyczy także pana i pańskiej kariery.

Twarz i ton doktora momentalnie spoważniały. Umówili się, że pastor przyjdzie za dwadzieścia minut do jego gabinetu, a Kunze w tym czasie porozmawia chwilę z przyjaciółmi i pożyczyci im wesołych świąt.

Pojawił się, jak obiecał. Dokładnie dwadzieścia minut po rozmowie z Kramerem. Zaprosił go do izby, która zgoła nie przypominała biura lekarza sądowego. Owszem, były tam jakieś akta i kodeksy porozstawiane po szafach i półkach. Wisiały portrety cesarskie i kanclerskie, jak przystało w państwowym urzędzie. Lecz jedna ściana wyraźnie wyglądała na prywatne poletko pana Kunzego, odbicie jego hobby. A był to konik dość niezwykły. Na ścianie wisiały bowiem w ramach szkice, rysunki czy wręcz techniczne projekty rozmaitych sprzętów podwodnych.

Pierwszy z nich, z wyglądu najstarszy, przedstawiał wielką beczkę, wewnątrz której siedział człowiek. Najwyraźniej miała służyć do schodzenia głęboko pod wodę. Z beczki prowadziła w górę, zapewne ponad taflę morza czy jeziora, długa rurka, przypominająca powiększone źdźbło trzciny. W wersji udoskonalonej beczka ta miała zaznaczone szklane ściany, aby jej pasażer mógł oglądać skryte głęboko pod wodą wraki, morskie cuda i potwory z głębin. Na kolejnych obrazkach widniały wersje i projekty coraz doskonalsze, coraz nowsze, pochodzące z coraz bliższych czasów, aż wreszcie pojawiał się szkic okrętu podwodnego, jakiego używały już niektóre jednostki marynarek wojennych, opatrzony dość tajemniczym napisem „Versuchs-U-Boot”.

Nie po to jednak Kramer pojawił się u Kunzego, by wypytywać o hobby.

– Panie Kunze, w Eichmedien doszło do zbrodni! – powiedział podniesionym głosem.

– Kiedy? – zdziwił się lekarz. – Po moim wyjeździe?

– Co też pan mówi... Chodzi o śmierć tego marynarza – wyjaśnił pastor.

– Tego trafionego soplem?

– „Trafionego”! Dobre sobie... To niemożliwe.

– Nie? A ja słyszałem o podobnym przypadku – odparł Kunze.

– Doprawdy? Gdzie? – zdziwił się Kramer. – Gdzieś w Prusach?

– Nie. W Rzymie. W starożytnym Rzymie.

Kramer aż prychnął ze zdziwienia.

– Opisał to poeta Marcjalis – kontynuował Kunze niemal rozmarzonym tonem.

– Chłopiec wpatrywał się w sopel lodu, zachwycony jego pięknem i blaskiem, a ten nagle spadł i przebił biedaka, zabijając na miejscu.

– Interesujące – mruknął pastor. – Nie wiedziałem, że w Rzymie w ogóle zdarzają się tak mroźne zimy, by z budynków czy drzew zwisały sople.

– Prawda, że ciekawe? – odparł urzędnik. – Chodzą wypadki po ludziach... Ponoć antyczny ateński dramaturg Ajschylos usłyszał przepowiednię, że zginie od uderzenia czegoś, co spadnie mu na głowę. I faktycznie, drapieżny ptak upuścił na niego z wysokości zółwia. Prawdopodobnie wziął łysinę pisarza za kamień i chciał o nią rozbić skorupę porwanego gada.

„Aha, kolejna opowieść z tego kółka miłośników antyku” – zirytował się Kramer. Odruchowo pogładził się jednak po łysinie. Brakowało jeszcze, żeby spojrzał w górę i sprawdził, czy nie przelatuje nad nim jakiś orzeł. Nie w głowie były mu jednak żarty.

– Wróćmy do śmierci tego marynarza – chrząknął Kramer.

– Sprawa jest zamknięta. Mój raport trafił do sądu i nie wzbudził niczyich wątpliwości – wzruszył ramionami Kunze. – To był po prostu pech. Przypadek.

– Tak, przypadki chodzą po ludziach. To jednak nie tłumaczy, dlaczego przy denacie znajdowała się pewna wielce znacząca rzecz, którą następnie szybko usunięto – powiedział powoli, cedząc słowa, Kramer. – To dowód zbrodni, niczym dymiący pistolet.

– Czyli co takiego? Niechże pan mówi – ponaglił lekarz.

– Był to złoty znaczek, jaki dostają absolwenci gimnazjum w Lyck i chętnie się z nim obnoszą, nawet po latach – zaczął tłumaczyć Kramer. – Najwyraźniej doszło do szarpaniny między Leonem Prusem i mordercą. W jej trakcie ów emblemat znalazł się na ziemi. Gdy marynarz został śmiertelnie ugodzony, runął obok ozdoby zerwanej mordercy. Sprawca niczego początkowo nie zauważył...

– Pan wierzy, że ktoś zabił tego marynarza soplem? – zmarszczył brwi lekarz.

– Proszę pozwolić mi dokończyć – Kramer powstrzymał lekarza stanowczym ruchem dłoni – No więc, gdy denat sztywniał w śniegu, obok jego buta leżał ten

znaczek. Potem jednak morderca to wypatrzył i szybko usunął emblemat, nim ktokolwiek to zauważył.

– A pan to spostrzegł?

– Nie – odparł Kramer, a widząc, że jego odpowiedź rozczarowała Kunzego, dodał szybko: – Sam tego nie widziałem, jednakże wiem, kto zauważył ów istotny drobiazg. Świadek nie zdaje sobie tylko sprawy z wagi swej obserwacji, bo to... mała dziewczynka.

– Ach, córeczka tego, jak mu tam, Sadowskiego? – pokiwał głową Kunze.

– Właśnie – potwierdził Kramer. – Jeśli pan ją przesłucha, na pewno potwierdzi. I wie pan, co to oznacza?

– Zamieniam się w słuch.

– Podczas kolacji w Eichmedien tylko jedna osoba nosiła taką ozdobę. Ona jest więc winna!

– To też wie pan od dziewczynki? – Uniósł brwi lekarz.

– Nie, ona nie ma o tym pojęcia... To ja sam zauważyłem.

– Ale wie pan... – Kunze pochylił się i otworzył szufladę swojego ciężkiego biurka – ...że wiele osób ma podobne odznaki ze swoich szkół, chociaż nie każdy na co dzień je nosi? Na przykład moi koledzy z klubu miłośników antyku.

\*\*\*

Rankiem Ingeborga Prus była tak przemarznięta, że z trudem mogła się rozprostować. Cicho zaklęła pod nosem, w sposób nieprzystojący porządnej kobiecie, nawet z niższych sfer. A przecież wieczorem tak się naharowała, by rozpalic na dłużej w piecu. Pod chałupą niewiele znalazła chrustu. Nic dziwnego: Leon nie zamierzał już tu wracać, a przynajmniej nie tej zimy. Ingeborga musiała więc porąbać siekierą i wrzucić do pieca kilka starych zdezelowanych taboretów, trochę kuchennych sprzętów, jakieś szmaty i papiery. Po dwóch godzinach po chałupie rozeszło się ciepło.

Kobieta myślała, że starczy tego naprędce zorganizowanego opału do rana, ale kiedy się obudziła, znów było tak zimno, że bała się wyjść spod pierzyny. A gdy już spod niej wypęzła, ponownie musiała rąbać i rwać. „To ci dopiero wigilia” – pomyślała. „Gdzie ozdoby z gałązek, gdzie świąteczny snopek zboża, gdzie

słodyczne, które dostawał mały Leoś podczas kolędowania z drewnianym koniem, jakie odbywało się co roku po mieście?”.

Na myśl o słodyczach, przełknęła ślinę. Poczowała, że dopada ją niemal zwierzęcy głód. Zjadłaby konia z kopytami. W domu pozostało po Leonie tylko trochę starych ziemniaków i cebuli. Musiała je ugotować, upiec – zrobić z nimi cokolwiek, byle napęłnić brzuch. Ucieszyła się, że pod wieczór zaproszona jest na Wigilię do panny Schellong. Będzie okazja się najeść i wygrzać do woli. Musi tylko doprowadzić się do porządku: bez grubej warstwy pudru ani rusz.

W zamyśleniu zjadła coś, co miało uchodzić za śniadanie. Nie skupiała wzroku na jakimś szczególnym przedmiocie, aczkolwiek żyłki, które uwidoczniły się na jej skroniach, świadczyły o głębokim zadumaniu. Po ostatnim kęsie Ingeborga przetarła zęby palcem wskazującym i wydlubała resztki jedzenia, a potem nastawiła kawę zbożową. Z zaparzoną już napojem w metalowym kubku poszła do sieni. Spojrzała na stojącą tam skrzynię – trumnę jej brata

– Wypadałoby, żebyś miał cerm<sup>[61]</sup>, biedaku – powiedziała. – Ale kto miałby przyjść na taką stypę? Nikogo tu już nie mamy i nikt nie chce nas znać. Więc wybacz, ale po prostu wypiję dziś twoje zdrowie z tą elegantką z miasta. Aczkolwiek kuchu nie będzie.

Kuchem nazywano ciasto drożdżowe z cytryną, rodzynkami sułtańskimi i przyprawami korzennymi, obsypane kruszonką lub zalane galaretką. Jako dzieci bardzo je lubili, zwłaszcza gdy dodano do niego jeszcze owoce: śliwki, maliny lub jabłka. Im więcej, tym lepiej. Pamiętała, że taki kuch na bogato był na pogrzebie babci. I dziadek kazał jeszcze dodać rabarbaru i miodu. To chyba dlatego, że tak babcię kochał. To był kuch nad kuchami. Nigdy potem Ingeborga już takiego nie spróbowała. I nie zje na pogrzebie Leona, bo kuchu po prostu nie będzie. Leon daleko za morzami nie takie rzeczy widział i drożdżowe ciasto z frykasami ze sklepu kolonialnego nie mogło robić na nim wrażenia.

– Ale zrobię coś dla ciebie zgodnie z tradycją, braciszku. Nie martw się – obiecała Ingeborga półgłosem. Próbowała sobie przypomnieć, jak grzebano ich rodziców. Co tam jeszcze było, poza cermem? Moneta pod językiem, jak za starodawnych czasów. Na pewno ojcu włożono też do trumny słomkowy kapelusz i grzebień. Po to, jak mówiono, by na tamtym świecie mógł otrzepać się z ziemi i uczesać włosy. A matka? Miała chustę, żeby się otrzepać, a do tego nie tylko grzebyk, lecz i lustro. Wiadomo, kobieta musi stanąć elegancka przed świętym

Piotrem, bo jeszcze jej do nieba nie wpuści. „Ale tobie i tak niebo nie było pisane, mamusiu” – mruknęła Ingeborga.

Więc, żeby choć trochę zadość uczynić tradycji, Ingeborga mogła zrobić trzy rzeczy. Po pierwsze przygotować dom. Czyli zasłonić wszystkie lustra, żeby dusza brata się w nich nie pojawiała. A nuż zapatrzyłaby się i nie chciała iść na tamten świat... Po drugie trzeba ustawić trumnę nogami do drzwi. Zdaje się, że właśnie tak Leon leżał, więc ten problem miała z głowy. Po trzecie powinna przygotować mu wspomniane akcesoria na drogę w zaświaty. Kapelusz i grzebień. Na pewno gdzieś były w tym domu. Muszą być.

Szperała tak z pół godziny, aż musiała odsapnąć. Przysiadła w pustej spiżarni, gdzie bagażowy dorożkarz postawili skrzynkę z małymi skarbami Leona. Kapelusza i grzebienia w niej nie było, o ile pamiętała. Lecz mogła tam się znajdować rzecz ważniejsza – dla niej, na przyszłość.

Otworzyła kluczem kłódkę i jeszcze raz przejrzała zawartość kuferka. Na dwa tygodnie przed wyjazdem do Rastenburga brat wysłał jej list, z którego wynikało, że niebawem będzie dysponował sporą gotówką. Naprawdę sporej. A wtedy skończą się ich problemy. Wyjadą gdzieś do ciepłych krajów. Leon nie sprecyzował, skąd będą pochodziły te pieniądze. Napisał tylko, że z Rastenburga uda się po świętach do Königsbergu i tam spodziewa się je otrzymać. Za co, tego nie sprecyzował.

Zapewne za coś, co znajdowało się w tej skrzyni, tylko za co? Najpierw Ingeborga obejrzała pęknięty kamienny dysk. „To może być coś warte, wygląda na rzadkość. Ale szkoda, że pęknięty” – pomyślała świadoma, że to zawsze ma znaczenie, niezależnie od przedmiotu. Potem wzięła pudełko z kolorowymi muszlami sterczącymi spomiędzy siana. Dokładnie zlustrowała każdą, zajrzała nawet do ich wnętrza, jakby spodziewała się tam znaleźć czarne perły. Czy mogą być dużo warte? Ciężko powiedzieć.

Teraz przyszła kolej na Biblię w dwóch tomach. Przerzuciła szybko kilka stron, potrząsnęła jednym i drugim tomem, jakby ze środka miały wypaść jakieś pieniądze – i nic. Przyjrzała się nawet skórzanym okładkom i sprawdziła, czy nie jest w nich nic zaszyte: monety, drobne klejnoty, banknoty. Nic podobnego. Po co brat woził ze sobą Biblię? Nie był człowiekiem religijnym. Może to pamiątka po jakimś bliskim znajomym?



Odłożyła księgi. Zostało jeszcze pudło z szachami. Nie były z bursztynu ani nie inkrustowano ich klejnotami. Wydawały się bardzo toporne. Czy umiły Leonowi dalekie podróże? Jak pamiętała, lubił grać w warcaby. Może grał w nie pionkami od szachów? Tak czy owak, również gra nie wyglądała na skarb, który miałby ich ustawić do końca życia.

W skrzyni nie było już nic. Tylko kilka zbutwiałych czasopism o tematyce podróżniczej. Starocie. Tyle że na jednym z artykułów widniały jakieś adnotacje. Poznała pismo brata. „Powinno być tego więcej” – napisał przy jednym z akapitów, niewyraźnie podkreślonym. Kilka linijek niżej był kolejny zaznaczony fragment, tym razem z dopiskiem: „To jest to!”.

Ciekawe...

Ingeborga nie była analfaberką. Zawsze przepeliła ją duma, że jako dziecko w szkole zbierała same pochwały. Jednak, żeby zrozumieć, o co chodzi w zaznaczonych fragmentach, pełnych dziwacznych słów, musiała przeczytać cały artykuł dwukrotnie.

Przy tytule pojawiło się nazwisko badacza Pacyfiku: Johann Stanislaus Kubary. Pod nim wydrukowano inicjały MK – czyli ktoś relacjonował odkrycia naukowca. „To pewnie o tym Kubarym Leon tyle opowiadał przy kolacji w Echmedien” – wywnioskowała Ingeborga i z tym większym zaangażowaniem przystąpiła do niełatwej lektury.

Większą część artykułu stanowił opis geograficzny i historyczny wyspy Ponape, ze szczególnym uwzględnieniem bazaltowego miasta Nanmatal. Nawet jednak opowieść o tym, jak ostatni jego król zjadł swoich poddanych, natarłszy ich wcześniej kurkumą, nie zainteresowała szczególnie Ingeborgi (a także wcześniej Leona, skoro obok nie postawił nawet wykrzyknika).

Dalej pisano, że Ponapejczycy pozwalają swoim dziewczętom na dość swobodne prowadzenie się. Zmienia się to po ślubie. Wtedy zdrada karana jest śmiercią. Ciekawostka: za mąż może wyjść jedynie dziewczyna wytatuowana. Lecz również to nie wzbudziło zaciekawienia Leona, chociaż był kobieciarzem (i miał na plecach, jak donosił kiedyś siostrze w liście, spory tatuaż przypominający ławicę delfinów).

Bez komentarza pozostawił również znamienne zdanie: „Kradzieże nie są tu znane, bo nie ma co kraść”. Jak też stwierdzenie, że trudno jednak wyspę nazwać

rajem, skoro sprzedawano tam ludzi w niewolę.

Im bliżej było strony z podkreśleniami Leona, tym bardziej rosła ciekawość Ingeborgi. Oto Kubary przeprowadził eksplorację grobów królewskich w bazaltowym mieście. Odkrył w nich kamienne toporki, korale, bransolety, pieniądze z macicy perłowej oraz piękne muszle. To przy tym ostatnim słowie pojawiło się podkreślenie i zdanie dodane przez Leona: „Powinno być tego więcej”.

Kolejny akapit mówił o wykopaliskach w krypcie królewskiej w części bazaltowego miasta zwanej Nantauacz. Znaleziono tam dwie wydłużone czaszki o niespotykanych rozmiarach, których pozostałe cechy „odpowiadały jednak typowi nordyckiemu”, cokolwiek autor artykułu miał na myśli. Po czym wymienione zostały określenia charakterystyczne dla poszczególnych części czaszki wraz z danymi liczbowymi. W to już Ingeborga nie wnikała, nie miała o takich rzeczach pojęcia. Najważniejsze, że jej brat podkreślił sformułowanie „...wydłużona czaszka o niespotykanych rozmiarach” i dodał obok: „To jest to!”.

Artykuł kończył się dwa akapity niżej zdaniem: „Niestety, skarby te zostały bezpowrotnie stracone, gdy 19 września 1874 roku doszło do katastrofy przewożącego je szkunera »Alfred«. Fale zatopiły go podczas sztormu w wąskim przejściu między wyspami archipelagu Jaluit. Kubary ocalał, jednak nauka poniosła niepowetowaną stratę”.

Ingeborga odłożyła artykuł. Co też to wszystko mogło znaczyć?

\*\*\*

Kilka godzin później, około siedemnastej, Ingeborga Prus mogła się cieszyć pełnym komfortem. Mieszkanie Marty Schellong było całkowitym przeciwieństwem chałupiny z Sybby. Czyste, ciepłe, oświetlone, nowoczesne. W kamienicy, ze wszystkimi udogodnieniami. A stół wigilijny, chociaż dość skromny, to przecież nieporównanie bogatszy niż zawartość spiżarni w chacie Prusów. Gęsia kielbasa, śledzie, pierniki, makowiec, orzechy – to były dla wygłodniałej Ingeborgi nie lada frykasy.

– Przepraszam, że tak się objadam, ale wyjeżdżając z Rastenburga nie wzięłam ze sobą żadnego jedzenia. Chyba wtedy jeszcze nie wiedziałam, gdzie pochowam brata. A może po prostu nie chciałam wierzyć, że naprawdę nie żyje. – Prus zawiesiła głos. Spojrzała na postawione przy stole puste krzesło, nakryte

kawałkiem płótna. I na pusty talerz, który czekał na gościa – tym razem przybywającego nie z dalekiej podróży, lecz z zaświatów. To płótno powinna później wziąć i pogrzebać z Leonem, zgodnie z tradycją. Tak chcieliby babcia i dziadek.

Nawet dekoracje wigilijne były w mieszkaniu Marty inne niż w typowym mazurskim domu. Nie miała ani snopka zboża w kącie jadalni, ani powieszonych pod sufitem sosnowej gałęzi, lecz ozdoby z bluszczu i jemioly przy drzwiach, wieniec z ostrokrzewem i świecami adwentowymi na stole, a na parapecie okna drzewko świerkowe. Ten niemiecki zwyczaj upowszechniał się już w mazurskich miastach, co było widać także w Lyck.

– To świerk? – upewniła się Ingeborga.

– Owszem – potwierdziła panna Schellong. Siedziała milcząca, z lekkim uśmiechem śledząc, jak znikają z talerzy kolejne potrawy, które udało się jej kupić.

– Mój brat opowiadał mi kiedyś taką ciekawostkę związaną ze świerkiem. Zapamiętałam ją, bo wykraczała poza to, o czym uczy się w szkołach i pisze w gazetach – Prus przełknęła kęs piernika i wytarła chustką usta. – Otóż świerk znany jest w Anglii i Ameryce pod nazwą „spruce”. To dlatego, że wieki temu świerki trafiały za morze na statkach z Prus. Załogi często były polskojęzyczne. Pytane na miejscu, jakie to drzewo, powtarzały mieszaniną angielskiego i polskiego, że to drzewa „z Prus”. I tak już zostało, „spruce”.

– Bardzo ciekawe – pokiwała głową Marta Schellong. – Nie znałam tej anegdoty.

– Może opowie pani dzieciom w przedszkolu?

– One raczej nie znają mazurskiego – odpowiedziała Schellong, ewidentnie celowo nie używając słowa „polski”. – Więc nie rozumieją.

– Pruski lud jest pojętny.

– A jest, bo pruski lud to Niemcy. Ale są inne wychowawcze priorytety.

– Od nadmiaru znajomości języków jeszcze nikt nie umarł. – Ingeborga skrzywiła się. – Mój brat zawsze powtarzał, że poza ojczystym językiem, warto umieć powiedzieć cokolwiek także w innych. Ale może to dlatego, że został, kim został.

– Może się pani zdziwi, ale mam krewnego, który też sporo czasu spędził w egzotycznych krajach. I to zdaje się nieopodal rejonów zwiedzanych przez pani

brata. Otóż badał mieszkańców Kaiser-Wilhelms-Land<sup>[62]</sup> na Deutsch-Neuguinea<sup>[63]</sup>.

– Naprawdę? To faktycznie lądy nie tak dalekie od ukochanych wysp Leona – zdziwiła się Ingeborga. – Co dokładnie kuzyn tam robił?

– Prawdę mówiąc, nie wiem. Jest ode mnie starszy, kiedyś mieszkał w Lyck, ale wyjechał, gdy byłem jeszcze małeńka. Wiem, że miał do czynienia ze strasznymi dzikusami, ale wiele czasu spędził, analizując ich tradycyjną muzykę. Podobno zaowocowało to jakimiś naukowymi sukcesami. Może, gdy następnym razem będę w Königsberg, popytam rodziców.

– Pewnie ogromnie żałują, że pani nie przyjechała do nich na święta. – Prus zrobiła minę, jakby czuła się winna z tego powodu.

– Ja wcale nie do nich jechałam – zaprzeczyła Marta. – Lecz to już nieważne. Proszę mi opowiedzieć, jakie ma pani dalsze plany.

– No cóż, muszę pogrzebać brata, uporządkować parę spraw i wracam do Rastenburga. To nie takie łatwe, bo są akurat święta...

Schellong słuchała jej, a jednocześnie się przyglądała. Zastanawiała się, ile właściwie lat ma Ingeborga. Sylwetkę miała bardzo zgrabną, nawet w tych czarnych łachach, w których przyszła. Na twarzy miała dużo pudru, osypującego się w załamaniach zmarszczek. Być może nawet za dużo. Gdyby nie on i nie przyprószone siwizną włosy, mogłaby się wydawać tylko parę lat starsza od Marty.

– Pani jest najstarszą z rodzeństwa? – zapytała Schellong.

– Tak. A dlaczego pani pyta?

– Proszę mi wybaczyć ciekawość, ale... – Marta wierciła się niespokojnie w krześle, wiedząc, że zachowuje się dość nieelegancko. – Biorąc pod uwagę, ile lat miał brat, musi być pani w wieku, w którym ma się już dorosłe dzieci.

– Ja takowych nie posiadam. – Ingeborga sięgnęła po kieliszek z nalewką i pociągnęła spory łyk. Jakby dla kurażu, przed zmierzeniem się z drażliwym tematem, którego nie lubiła. Marta Schellong jednak ją zaskoczyła. Nie chciała wcale wnikać w kwestie dotyczące dzieci i zamążpójścia.

– Chodzi mi o to – stwierdziła Marta – że wygląda pani wręcz znakomicie. Pod pudrem widzę piękną cerę, ma pani młodą sylwetkę, delikatne dłonie z długimi palcami. Jaki jest sekret? Jak pani zapewniła sobie taką urodę?

– To ja powinnam komplementować panią – odparła Ingeborga. – Dawno... Po prostu dawno nie widziałam kogoś tak pięknego.

Pewnie wypadałoby, żeby rozmówczyni spuściła wzrok, ale to nie było w stylu Schellong. Aż za dobrze wiedziała, jakie ma atuty.

– Bardzo pani miła – odparła więc grzecznie Marta, lecz nie przestała nalegać. – Ale zdradzi pani swój sekret? Kąpie się pani w mleku? Długo spaceruje dla zdrowia? Jeździ konno?

– A pani stosuje takie właśnie metody? Już w tak młodym wieku myśli pani o tym, co będzie za wiele lat? – odparła pytaniem na pytanie Ingeborga.

– Cóż szkodzi się przygotować? – Schellong wzruszyła ramionami. Dużo bardziej podobał się jej taki temat rozmowy niż typowa świąteczna próżna gadanina. – Owszem, jeżdżę konno, i należę również do klubu cyklistek. Ale myślę, że sekret jest jednak inny.

– Stosuję pewne zasady, o których słyszałam lata temu od doświadczonej znajomej. To metoda, którą wymyśliła pewna arystokratka. Żona generała Zajączka. Mówi coś pani to nazwisko?

– W życiu nie słyszałam. To słowiańskie nazwisko?

– Tak. Robiła furorę na salonach w Warszawie, ale nie tylko. Zachwycił się nią słynny francuski pisarz Balzac. Nazywał „wrózką z bajki”, bo jeszcze w wieku osiemdziesięciu lat wydawała się dwu-, trzykrotnie młodsza. I to nie tylko dlatego, że korygowała zmarszczki przy pomocy wosku. – Ingeborga przesunęła palcami wokół prawego oka.

– Założę się, że chodziło o jedzenie. Na pewno była jaroszką – przerwała Schellong, nieomal triumfującym tonem.

– Ma pani trochę racji – przyznała Prus. – Bo generałowa faktycznie jadła głównie warzywa, owoce i nabiał. Sekret sukcesu był jednak inny: kąpiele w lodowatej wodzie i spanie w wyziębionej sypialni.

Panna Schellong aż się wzdrygnęła.

– My Niemcy nie przepadamy za zimnem. To domena Rosjan, z ich niedźwiedziami i lodowymi pałacami. Brrr!

– Chciała pani poznać tajemnicę, to już ją pani zna. Lód. Lód to zdrowie i życie – westchnęła Ingeborga, po czym nagle spochmurniała. – Tylko nie dla mego brata. On leży w lodowej trumnie i życia nikt mu już nie wróci.

Milczały. Wypiły po kolejnym kieliszku nalewki.

Nagle Prus aż podskoczyła na krześle.

– Co się stało? – zaniepokoiła się Marta i zerwała się z siedzenia. – Niedobrze pani? Może coś zaszkodziło?

– Nie, nie – wstrzymała ją Ingeborga. – Po prostu... Nie, to takie niemądre...

– Co takiego? Zbladła pani...

– Przez moment wydawało mi się, że w tym lustrze, wiszącym za pani plecami, zobaczyłam twarz swojego brata – Prus spuściła wzrok, niemal ze wstydem. – Wie pani, jest taki zwyczaj, żeby po śmierci bliskich nie patrzeć...

– Rozumiem – stropiła się Schellong. Co miała zrobić? Zdjąć to lustro? Zasłonić?

– Nieważne. – Ingeborga machnęła ręką. – Głupi przesąd.

– Coś za nim jednak stoi – odparła spokojnie, bez szyderstw Schellong. – Wiara, nasze potrzeby. To chyba normalne, że czasami chciałoby się zobaczyć zmarłych krewnych. Ta mała, córka pana Sadowskiego, chyba miała taki... hm... problem.

– Mówi pani o tej dziewczynce z Eichmedien? – Ingeborga zmarszczyła brwi.

– Tak. Ciągle wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Może to przez ojca...

– Ojca? Był dosyć dziwny. Mało przyjemny.

– To prawda – przyznała Marta. – Ponurak z osobliwym hobby.

– Mianowicie?

– Nad ranem sprawdzał w Eichmedien legendę o krzyżackim duchu w studni. Chyba liczył na znalezienie jakiegoś skarbu. – Schellong uśmiechnęła się drwiąco.

– Skarbu? – powtórzyła Ingeborga. I to słowo rozbrzmiewało jej w głowie już do końca wieczoru. Skarb. Nie mogła przestać o nim myśleć, skarb.

Zapomniała, że zgodnie z mazurską tradycją miała obsypać pannę Schellong ziarnami i złożyć jej życzenia. Zapomniała, by kurtuazyjnie zapytać ją, czy chadza na jutrznię. Zapomniała zażartować, czy Marta ma w domu jakieś zwierzątko, które po północy mogłoby przemówić ludzkim głosem. O wszystkim zapomniała, bo myślała o dziwnym mężczyźnie szukającym skarbów i jego wystraszonej córeczce. A także o pieniądzach za coś (może za jakiś skarb?), dzięki którym Leon chciał zapewnić sobie i siostrze nowe, lepsze życie.

Pocałowała pannę Schellong w policzek na pożegnanie. Wyszła, wcześniej obiecawszy, że jeszcze się z Martą zobaczy. Może pojutrze? Kto wie.

Kiedy Prus wróciła do domu, stanęła nad bieda-trumną brata, spojrzała na nią i zapytała, jakby spodziewała się usłyszeć odpowiedź:

– Co się naprawdę stało?

## ROZDZIAŁ 6

Księżna Baden nie miała zamiaru w żaden sposób obchodzić świąt. Udawała przed sobą, że Bożego Narodzenia nie ma. Inaczej znów zaczęłyby myśleć o starych czasach, o dzieciach, o utraconym życiu.

Lecz nie było łatwo udawać. Żeby to zrobić, musiała zabić ten czas. Najpierw próbowała z Karstenem. Spędził w jej łóżku dwie godziny. Był szampan i hiszpańska mucha. Ale gdy Karsten wychodził, Baden marzyła tylko o tym, żeby otworzyć kufer z ubraniem Karla. Powdychać jego niknący zapach. „Gdzie jesteś, Karl. Gdzie jesteś? Co się z tobą stało?” – niemal szlochała. Płakałaby, gdyby nie wylała już wszystkich łez w Wieży Szaleńców.

Wyciągnęła dubeltówkę z obciętymi lufami. „A może skończyć to wszystko raz na zawsze, tu i teraz?” – zapytała samą siebie. Ile jeszcze porażek i strat musi zaakceptować? Czy zemsta, którą znajdzie na końcu tej drogi ją usatysfakcjonuje? Pogładziła obciętą lufę. Tak powinna obejść się ze swoim mężem, a nie z jego strzelbą. Od tego winna zacząć.

Obrzyn, wyglądający teraz jak podręczna broń bandyty, był pierwotnie elegancką fuzją, jaką małżonek księżnej dostał w prezencie od kajzera Wilhelma II. W prezencie, a może bardziej w ramach rewanżu. Małżonek księżnej podarował był bowiem wcześniej cesarzowi praktyczny upominek – sztuciec: z jednej strony widelec, a z drugiej łyżka. Wilhelm używał takich przyrządów ze względu na niedowład jednej ręki. Sztuciec od męża księżnej wyróżniał się trzonkiem wykonanym z pięknie pofałdowanego kła narwala. „Kiedyś brano takie cuda za rogi jednorogów. Mam nadzieję, że przyniesie ci szczęście, panie, nie tylko na łowach” – życzył cesarzowi uniżonym tonem ksiązę. Kajzer był zadowolony.

Następnego dnia mąż księżnej dostąpił zaszczytu uczestnictwa w dziwacznej zabawie pijanych myśliwych z dworu cesarskiego. Kilku tańczyło przed Wilhelmem w strojach baletnic, z wyraźnie zaznaczonymi częściami intymnymi.



Jednym z nich był notabene Karsten, po latach nawet nie chciał wracać do tego obrzydliwego wspomnienia. Kajzer chichotał i celował w tych cudaków z dubeltówki. Gdy przypadkiem upuścił broń, przez niedowład ręki, fuzję podniósł mąż księżnej. „A weź ją sobie, Baden” – powiedział cesarz. „Mnie z nią polowanie nie idzie”. Potem zamówił sobie u rusznikarza strzelbę, która zamiast języków spustowych miała specjalne przyciski na szyjce od kolby.

Księżna musiała wysłuchać od męża, jak wspaniały prezent otrzymał i co to oznacza dla jego pozycji na dworze. Szybko jednak zorientował się, że opowiadanie o okolicznościach, w jakich do tego doszło, jest krępujące. Stracił więc serce do cesarskiego podarunku, wręcz starał się o nim zapomnieć. Schował w jakiejś szafie. Baden podkradała tę broń do ćwiczeń na strzelnicy. W końcu ją sobie wzięła na własność.

Teraz głaskała lufę obrzynu jak trofeum i zapowiedź zemsty. Wyobrażała sobie kolejne tortury, jakimi mogłaby zrewanżować się swoim dręczycielom. Może ta z Chin, której świadkiem był jej mąż podczas wizyty w Jiaozhou, co budziło niejaką zazdrość Profesora? Nazywano to „tysiącem cięć”. Karano tak Azjatów, którzy ośmielili się podnieść rękę na Niemców rządzących w mieście lub na misjonarzy towarzyszących Europejczykom. Chodziło o to, by metodycznie odkrajać skazańcowi fragmenty ciała. Potrzebny był jednak do tego kat specjalista, który potrafił zachować torturowanego przy życiu choćby przez pół godziny, żeby ofiara zobaczyła, jak poszczególne części jej własnego ciała wypełniają koryto dla świń. To ten fachman podawał skazańcowi odpowiednie środki wyostrające zmysły i utrzymujące człowieka w przytomności. Czy Profesor dorównałby takiemu chińskiemu mistrzowi tortur? Wątpliwe.

Już zmierzchało, gdy po kilku godzinach picia niemal sztywna Baden zaprosiła go do swojego buduaru w ramach wigilijnej wieczerzy. Profesorowi też należało się coś od życia.

Gdy robił swoje, ona marzyła o śmierci. O tym, jak zada ją głównej winowajczyni katastrofy, w jaką zamieniło się jej życie – szantażystce Irminie Mazurce. No chyba, że kobieta wykupi się czymś, co mogłoby odmienić los księżnej. Lecz Baden z trudem trzymała się tej nadziei. Jedyne, czego mogła być pewna, to krwawa zemsta. Jak najsurowsza.

Sprowadzenie doświadczonego chińskiego kata, specjalisty od wymyślnych tortur, nie było możliwe. Dlatego podniecony Profesor zaproponował również

wyrafinowaną egzekucję, o której wiedział dużo więcej. Kiedyś, podczas wizyty na Gotlandii, zobaczył kamień z wyrytą w średniowieczu sceną, pokazującą dziwny rytuał. Mężczyźni pochyleni nad więźniem wrywali coś z jego pleców, tak się mu wtedy zdawało. Potem dowiedział się, że był to tak zwany rytuał krwawego orła, bezgranicznie okrutna tortura. Kat wbijał ostrze miecza w plecy skazanego, po czym łamał lub wycinał żebra tak, by dało się je odgiąć na zewnątrz. Aby je wydobyć, musiał przebić się przez skórę i mięśnie, co trzeba było zrobić szybko, by ofiara nie zmarła wskutek naruszenia naturalnego porządku wszystkich żywotnych organów w klatce piersiowej. Mogła się przecież wykrwawić lub udusić. Gdy już półżywy, ledwo dychający skazaniec wyglądał z tyłu niczym orzeł z rozwiniętymi skrzydłami – żebrami, wyciągano mu płuca. Teraz mógł skonać.

Wedle skandynawskich sag w ten sposób synowie mścili się za śmierć ojca na zabójcy. Baden pomyślała, że ojca jeszcze nie straciła, chociaż chętnie widziałaby już go wśród martwych. Szczerze mówiąc, to nawet ozłociłaby tego, kto zabiłby starego capa, który jako pierwszy zaczął zamieniać jej życie w piekło – ale jeszcze się taki odważny nie przytrafił. Może kiedyś? Najpierw chciała krwi Irminy Mazurki.

Sęk w tym, że rytuał „krwawego orła” też wymagał wprawy. Był skomplikowany niczym chirurgiczna operacja. Ofiarę należało utrzymać przy życiu najdłużej jak się da. Ta tortura wymagała od kata wręcz artyzmu. Czy Profesor temu podoła? A może miał rację Karsten, gdy przekonywał, że niepotrzebne im wymyślne egzekucje?

– Dasz radę? – spytała Profesora, gdy leżał na niej, gwałtownie podrygując.

– Dam. Dam – sapał.

Rano ruszali w drogę.

## ROZDZIAŁ 7

Rankiem 25 grudnia Ingeborga postanowiła odwiedzić groby swoich dziadków i rodziców.

Byli pogrzebani niedaleko. W połowie drogi między pagórkiem, na którym stała chata Prusów, a jeziorkiem. Ze śniegu wystawały tylko czubki kamieni nagrobnych z ledwie widocznymi napisami. Śnieg był miękki, ale ziemia pod nim zmrożona i twarda.

Potem poszła nad jeziorko. W rękę miała stary świder, siekierę i wiadro. Godzinę wyrąbywała dziurę w lodzie. Pamiętała miejsce, gdzie zawsze dziadek łowił ryby. Wystarczyła byle jaka wędka i trochę kulek z gotowanych ziemniaków na przynętę, by połów był obfity.

Pal licha, że w Boże Narodzenie nie powinno się ciężko i głośno pracować. Tu słyszeli tylko umarli. Tak jej się przynajmniej wydawało do momentu, gdy na brzegu pojawiły się trzy sylwetki. Wołały do niej po nazwisku. Zawahała się. Znała tych ludzi? Czego chcieli? Mieszkali tu w pobliżu?

Zostawiła narzędzia i ruszyła do brzegu. Była zgrzana, spocona, oddychała ciężko. Przyda jej się dłuższa chwila odpoczynku.

Na brzegu stali trzej starsi panowie z sumiastymi wąsami. O twarzach podobnych do siebie jak krople wody. Zapewne rodzeństwo lub krewni.

– Rochowie z sąsiedztwa – przedstawili się. – Pani Prus, prawda?

– Prawda – przytaknęła.

– Pamięta nas pani?

– Słabo – przyznała. Przez myśl przemknęły jej jakieś wspomnienia. Rzeczywiście przypominała sobie jakichś Rochów, ale nie było to sąsiedztwo bliskie. Ich dom stał o kilka minut drogi, bliżej nowych willi Sybby. Zresztą, z chaty Prusów do nikogo nie było blisko.

– Oj, szkoda. – Mężczyźni wymienili zdziwione i zasmucone spojrzenia. – A my panią od maleńkości... Z pani świętej pamięci dziadkiem to i wspólnie służbę wojskową odsłużyliśmy, i na ryby często chodziliśmy, i wspólne interesy robiliśmy... Ile to już lat? Nie, to nie było aż tak dawno. A ostatnio przecież widzieliśmy się...

– W czym mogę pomóc? Proszę mi wybaczyć, ale mam dużo spraw, jutro wyjeżdżam.

– Już jutro? Czyli pogrzeb brata dzisiaj? Pytam, bo to już trzy dni miną zaraz, a wedle tradycji wiadomo, jak jest – dociekał jeden z Rochów. Dwaj pozostali dźgnęli go łokciami.

– Helmut, nie tak obcesowo – zwrócił mu uwagę scenicznym szeptem jeden ze staruszków.

– To panowie już wiedzą? – westchnęła Ingeborga.

– No jak mamy nie wiedzieć, jak my z Leonem jednym pociągiem jechaliśmy.

– Jak to? – Zdębiała.

Nie było wyjścia. Musiała zaprosić nieoczekiwanych gości do chałupy, żeby wysłuchać ich relacji. Nanieśli śniegu, nie zdjęli nawet palt, poprosili o kawę, a do powiedzenia mieli niewiele. Siedzieli w pociągu do Rastenburga w innym przedziale niż jej brat. Leon wydawał się im strasznie zaaferowany jakąś piękną blondynką („Zapewne panna Schellong” – pomyślała Ingeborga), która potem zasłała, gdy pociąg stanął. No i jeszcze wyklócał się o coś z jakimś łysym człowieczkiem, przy którym stało dziecko („Ani chybi Sadowski”).

– No, ale więcej to my naprawdę nie wiemy, bo po tym, jak dalej już pociągiem jechać nie było można przez te powalone drzewa, to my nie do Eichmedien ruszyliśmy tym wozem, tylko do Martenheim, do znajomych – wyjaśnili. Tym razem to nie wścibski Helmut mówił, a jego współtowarzysze. On zaś się rozglądał, jakby sprawdzał, czy zgodnie z tradycją wszystkie lustra są pozasłaniane. Dmuchnął też na krzesło, zanim usiadł, „żeby duszy nie przygnieść”.

– Chyba że ty, Helmut, coś tam jeszcze z biednym Leonem zagadałeś? Bo zakręciłeś się koło biedaka, jak stał przy pociągu – zwrócili się do niego, jeden przez drugiego, omal nie wylewając na siebie parującej kawy zbożowej z blaszanych kubków.

– Przywitałem się tylko. Straszny wypadek mu się przytrafił, naprawdę straszny – stwierdził Helmut, wciąż rozglądając się bacznie dookoła. – I co teraz pani zrobi z takim domem? Sprzedać trzeba będzie.

– Może tak, może nie – odpowiedziała.

– Zostanie tu pani?

– Przecież powiedziałam, że pojutrze wyjeżdżam.

– Nie, mówiła pani, że jutro – poprawił ją Helmut.

– Co za różnica... Nie zostanę tu. Nigdy, przenigdy – pokiwała głową.

– A pogrzeb?

– Zorganizuję. Sama. Może jutro z rana.

– Sama? – zaniepokoił się. – Gdzie? Jak? Wedle tradycji to i sąsiedzi powinni być, i nauczyciel, i pastor. Jak inaczej?

– Jeszcze to przemyślę – odpowiedziała na odczepnego.

– Czasu mało. Leon w tej skrzyni już ruszać się zaczyna – dogadał jej Helmut. Na szczęście kłótnia nie wybuchła, bo wkroczyli pozostali dwaj Rochowie. Powiedzieli, że czas już im iść do kościoła, dziękują więc za kawę i liczą na informację, co z pogrzebem Leona.

Skłamała, że da im znać.

– A pozwoli nam panienka jeszcze jeden jedyny raz spojrzeć na Leona? – spytał nagle Helmut.

Z trudem złapała powietrze. Nie wiedziała, co odpowiedzieć. W końcu machnęła przyzwalająco ręką.

– Ale nie przy mnie, nie przy mnie – powiedziała i uciekła do sypialni.

Słyszała tylko, jak Rochowie odbijają wieko skrzyni. A potem rozległ się męski szloch. Płacz starych mężczyzn, którzy niepotrzebnie przeżyli już wielu młodych.

Nakryli wiekiem bieda-trumnę i odeszli. W święta nie powinno się wbijać gwoździ. Ingeborga pomyślała jednak, że całą trójkę Rochów własnoręcznie podkułaby hufnalami albo wrzuciła do przerębla. Nie wzruszyli jej swoim płaczem, raczej rozzłoszcili. Gdzie byli, gdy pod tym dachem działy się inne nieszczęścia? Dlaczego nie reagowali?

„Szkoda, że zobaczę Martę dopiero jutro” – przeszło jej przez głowę i sama aż się zdziwiła, co pomyślała.

Potem wzięła wiadro, wędkę i wróciła na jezioro. Chciała zjeść rybę na kolację.

\*\*\*

– Papo, czy te wszystkie zamki, które rysujesz, są naprawdę takie stare? – pytała Miłka w święta ojca, przeglądając jego prace.

– Tak – odpowiedział na odczepnego.

– Chyba nie. Wiem, kiedy kłamiesz.

– No dobrze – przyznał i spojrzał na nią z westchnieniem. – Nie są. Ale to nie było kłamstwo, dziecko. Tylko uproszczenie.

– Teraz mówisz prawdę. – Uśmiechnęła się. – To jak jest z tym? – Wskazała ręką na szkic z wielkim zamkiem z Marienburga.

– Jest remontowany. Więc nawet to, co wygląda bardzo staro, może być w rzeczywistości dużo nowsze.

– Jak z remontowaniem domu.

– Właśnie. Poza tym architekci chcą w Marienburgu zachować, to co naprawdę stare, a resztę przerobić. Tak, żeby uwypuklić to, co kojarzy się z rycerzami, ze średniowieczem, a czego tam już nie ma albo nigdy nie było.

– Czyli coś wymyślają?

– Nie do końca. Powiedzmy, że pozwalają sobie na więcej niż przy zwykłym remoncie.

– I to nie kłamstwo? – naciskała.

– Nie. Wszyscy tak robią, w innych krajach też, na przykład we Francji.

– I to nie kłamstwo? – powtórzyła.

– No dobrze – przyznał wreszcie Sadowski. – Trochę kłamstwo, ale nie takie duże i ważne. Czasem to jedyne wyjście, by to, co było ruiną albo zostało zaniedbane, znów zaczęło ludzi interesować.

– A to nie można było dbać o to cały czas? – dręczyła go Miłka.

– Jak dorośniesz, to zrozumiesz, że jest coś takiego jak polityka – mruknął. – Przez nią jedne rzeczy wydają się ważniejsze, inne mniej. Jedne się zaniedbuje, inne nie. Jedne rzeczy się remontuje, inne nie.

– I ta polityka nie chciała remontować tego Marienburga?

– Nie. Przez długi czas, nie.

– Dlaczego?

– Bo nasze władze długo uważały, że budowniczy Marienburga, czyli Krzyżacy, nie są godni naśladowania – odparł, a w myślach dodał: „Bo widziano w nich tylko ciemnych ciemiężców, krwiopijców i zacofanych fanatyków, którzy na dodatek przegrali”.

– A byli?

– A widzisz, jakie zamki postawili? – Wskazał na rysunki. „Dziś w końcu się docenia, że nieśli na ten dziki barbarzyński wschód cywilizację. Inaczej Słowiańszczyzna byłaby kompletnie zacofana” – znów dodał w myślach. „To oni zamiast drewnianych osad pobudowali murowane miasta. To przy nich rozwijały się nauka i technika. Budowali drogi przez lasy, gdzie słyhać było tylko stąpanie dzikiego zwierza.”

– Chyba nie mówisz mi wszystkiego – przerwała, z nagłą przenikliwością wpatrując się w ojca oczy.

– Mówię to, co ważne – odparł wymijająco.

– A będziemy mówić prawdę całe święta?

– To ryzykowne – zaśmiał się trochę nerwowo. – A to ci pomoże?

– Tak. Tak, bo wtedy widzę jaśniej – odparła.

\*\*\*

Marta Schellong nie skłamała, mówiąc o swoim krewnym prowadzącym badania na Deutsch-Neuguinea. Właściwie żałowała, że nie zna więcej szczegółów jego prac. Sama myśl o badaniu muzyki dzikich budziła jej wesołość i skłaniała do ironicznych żartów. Tymczasem nie mogła nawet wykluczyć, że jej krewniak poznał Kubarego, o którym wspominał tyle brat Ingeborgi Prus. Kto wie, czy nie spotkał nawet na swej drodze Leona, jeśli tamten faktycznie pływał tyle po Oceanie Spokojnym.

Przeglądając z nudów roczniki starych gazet, znalazła trochę informacji o Kubarym i jego wyspach. Czytała, że wyruszył z Europy w 1869 roku. Wsiadł w Hamburgu na statek, by popłynąć na archipelagi na Pacyfiku, na zlecenie słynnego Godeffroya. Ten kupiec, mecenas nauki i łowca osobliwości chciał mieć

eksponaty do założonego przez siebie muzeum historii naturalnej. Czytała też, że Kubary zbankrutował podczas swoich wojaży, ale na szczęście, z racji dobrych kontaktów z miejscowymi, zaczął dorabiać jako tłumacz oraz zarządca plantacji. Zmarł nagle w 1896 roku, znaleziono go nieżywego pod drzewem.

Nie mogła przeczytać, bo nikt o tym nie pisał, że Kubary z Europy nie wyjechał tak po prostu, lecz uciekł. Wcześniej mieszkał w Warszawie i jako nastolatek walczył w powstaniu styczniowym przeciw wojskom carskim. Zmanipulowany i złamany przez Rosjan, poszedł na współpracę z ich służbami, co zaowocowało wydaniem jego kolegów patriotów. Nie potrafił się z tym pogodzić. A jako, że miał niemieckie pochodzenie, wyjechał na zachód, a potem z Hamburga na skraj świata. Panna Schellong nie miała też gdzie przeczytać, że Kubary zbankrutował, bo nie chciał wykorzystywać krajowców. A potem stanął przed ponurą perspektywą: musiał pomóc Niemcom w ich wykorzystywaniu, by samemu nie umrzeć z głodu. Podupadł na zdrowiu, nie układało mu się z żoną, wyglądał na człowieka złamanego przez życie. Nie zmarł tak po prostu. Przyczyną śmierci mógł bowiem być nie tylko atak serca, ale też morderstwo lub samobójstwo. Najpewniej to trzecie. Ostateczna ucieczka.

Marta Schellong nie myślała o ucieczce. Z Niemcami wiązała swoją przyszłość, ponadto jej zdaniem przed narodem niemieckim otwierały się olbrzymie możliwości. Lyck, chociaż poniżej jej aspiracji, był dla niej dobrym miejscem do życia. Miała tu swoje mieszkanie i pracę. Pieniądze, pistolet i butelkę z kwasem. Potrafiła sobie poradzić z intruzami. Czasem tylko w kłopoty wpędzały Martę jej z trudem powstrzymywane ciągoty. Mając tak piękne ciało, będąc pożądanym tak często, trudno było unikać ludzkiej uwagi. A to wystarczy, by wpaść w tarapaty – zwłaszcza, jeśli ma się coś do ukrycia.



## ROZDZIAŁ 8

26 grudnia nad ranem Ingeborga obudziła się z myślą, że musi jeszcze coś zrobić w sprawie swojego brata. Te rzeczy, które woził ze sobą. Te sprawy, o których mówiła panna Schellong. Tych kilka uwag od Rochów. Sadowski, łowca skarbów... Ingeborga czuła, że nie zazna spokoju, póki nie porozmawia ze wszystkimi świadkami ostatnich chwil swego brata.

Przed południem wybrała się do Lyck. Na szczęście przestało padać i nie musiała brnąć po kolana w śniegu, by dostać się do miasta z Sybby. Po drodze minął ją nawet jakiś fiakier – biorąc za damę z jednej z will, w których bywają oficerowie – i zaproponował podwózkę, ale odmówiła. Pomyślała, że spacer dobrze jej zrobi. Znała tu przecież wszystko tak dobrze. Jeziora, pagórki, łąki, zagajniki. Opowieści o duchach z Wisielczej Góry, o kochliwych bośniackich kawalerzystach, bogaczach z młyna, diabłach i Tatarach. Mijała parki, skwery, zadrzewione aleje, wreszcie dotarła do miejsca zwanego kiedyś Bramą Polską (choć żadnej budowli tam nie uświadczysz) i do mostu na rzece Lyck.

Z zadumy wytrąciła ją skrzecząca starowina. Gadała coś po mazursku i próbowała wcisnąć przechodniom jakieś domowe przetwory. Ingeborga chciała ominąć ją szerokim łukiem, ale stara była uparta i poszła za nią.

– Nie uciekaj przede mną, kochanieńka. Przecież się znamy. – Szarpnęła Ingeborgę za rękę.

– Zostaw mnie, czarownico – wyrwała się Prus.

– Daj mi jakieś pieniądze. – Podreptała za nią.

– Idź precz, bo wezwę żandarma – zagroziła Prus. – Że też ludzie nie potrafią nic uszanować. Stara wariatka... – rzuciła do przechodzącej obok pary, wyraźnie zaciekawionej tym, co się dzieje.

Starowina dała za wygraną, ale pożegnała Ingeborgę iście demonicznym śmiechem.

Prus poprawiła żałobny woal zwisający pod kapeluszem i przyspieszyła kroku. Była już prawie w centrum miasta. Minęła pensjonat, w którym parokrotnie się zatrzymywała podczas wizyt w Lyck, by nie bywać w znienawidzonej starej chałupie. Chyba nastały dla niego gorsze czasy, może pojawiła się konkurencja. Ingeborga zdziwiła się, ile powstaje nowych, naprawdę pięknych kamienic. Budowali się kupcy i browarnicy. Powstawały najrozmaitsze sklepy – od punktów sprzedaży mięsa, przez apteki, po banki. Ona kierowała się właśnie do czegoś nowego. Tu gdzieś, całkiem niedaleko, na Bahnhofstrasse, powinien być fotoplastykon. Zakład należący do pastora Kramera. To jego postanowiła na początek znaleźć, by porozmawiać o ostatnich chwilach swojego brata.

W fotoplastykonie panował gwar. Ktoś manipulował przy ścianach i wizjerach, ale nie byli to chyba klienci. Do Ingeborgi podbiegł przygarbiony blady młodzian.

– Niestety, nie zdążyliśmy otworzyć. Zakład zamknięty do odwołania – zamruczał.

– Ale drzwi są otwarte – odparła.

– Trwa demontaż sprzętu. Trzeba go jakoś wynieść, proszę pani.

– Czyli fotoplastykonu w ogóle nie będzie?

– Proszę pani...

– Dobrze – przerwała mu stanowczo. – Tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi. Szukam właściciela, pastora Kramera. Kiedy wraca? Gdzie go znajdę? W Rastenburgu?

Młodzian podniósł wzrok. Oczy miał podkrążone, jakby płakał albo nie spał całą noc – albo i jedno, i drugie. Głos mu drżał.

– Szanowna pani... Mój ojciec nie żyje.

Trochę potrwało, nim wydobyła z chłopaczyny, co się stało. Okazało się, że ojciec dojechał do Rastenburga, jak zaplanował. Miał spotkać się z kilkoma osobami w sprawie Wież Bismarcka. Wiadomo, jak był tym zaaferowany. Nie odpuszczał tego tematu nawet w święta. Poświęcił się mu całkowicie. I krążył tak jak zwykle, z głową w chmurach, aż przy Neuer Markt miał wypadek. Podczas wichury trafiły go dachówki strącone z dachu jakiejś rudery.

– Za dużo myślał. Zawsze za dużo myślał. – Syn raz za razem wycierał mankietami łzawiące oczy, ale nie pomagało.

\*\*\*

Ingeborga wyglądała na zdezorientowaną i przerażoną. W pierwszym odruchu wezwała fiakra, by pojechać na Sybbę. W ostatniej chwili jednak zrezygnowała z pomysłu. Zamiast tego, poszła do apteki po laudanum – niestety, nie mieli go w sprzedaży. A nim wybrała coś innego na uspokojenie, jeszcze raz zmieniła zdanie. Postanowiła udać się do panny Schellong, skoro były dziś umówione. Co z tego, że półtorej godziny przed czasem. Marta na pewno zrozumie.

Schellong była zaskoczona, w samym peniuarze, ale oczywiście zaprosiła Ingeborgę do mieszkania. Trudno jej było odmówić, widziała, w jakim Prus jest stanie. Marta nie bawiła się nawet w oferowanie kawy, tylko od razu postawiła na stole alkohol i napełniła kieliszeczki.

– Owszem, to dosyć dziwny zbieg okoliczności – przyznała, gdy Ingeborga przekazała jej zatrważające wieści o pastorze Kramerze.

– Rzecz jasna zaczynam się zastanawiać, czy to może mieć związek ze śmiercią mojego brata – Ingeborga oparła głowę na rękach i intensywnie masowała skronie.

– Ale jaki? – zachnęła się Marta. – Musielibyśmy wtedy założyć, że nie zmarł wskutek nieszczęśliwego wypadku albo że mamy do czynienia z jakąś... nie wiem... klątwą?

– Ta mała dziewczynka musi coś wiedzieć – szepnęła Ingeborga. – Takie mam przeczucie.

Marta ponownie napełniła kieliszki, szybko opróżnione do dna. A potem kolejne, jakby bez tego obie nie potrafiły się rozluźnić.

– Nie jestem ostoją racjonalizmu ani krynicą mądrości – zaczęła Schellong – ale są dużo prostsze wytłumaczenia. Jest surowa zima, a to powoduje zwiększoną liczbę wypadków. Ludzie pędzą, nie uważają, ślizgają się na bruku, jest ograniczona widoczność... To po pierwsze. Po drugie nie da się wykluczyć, że pastor Kramer był w jakimś ogólnym przygnębieniu po wydarzeniach w Eichmedien, chodził zamyślony i... nieszczęście gotowe.

– Ja też nie jestem przesądna. – Ingeborga opróżniła kolejny kieliszek nalewki z truskawek.

– Naprawdę? – zdziwiła się Schellong. – Po tym, co mówiłaś, przyjaciółko, o tej dziwnej dziewczynce, pomyślałam, że jest inaczej. I jeszcze twój strach wtedy, w pałacu w Eichmedien, gdy usłyszałaś jakieś stukanie w pokoju.

– Jeśli dostanę jeszcze kieliszek tego napoju – Ingeborga wskazała na karafkę – to powiem ci całą prawdę.

– To znaczy? – zainteresowała się Marta, sięgając zgodnie z życzeniem po nalewkę.

– Ten atak strachu był trochę przesadzony.

– Jak to?

– Poczułam, że nie dam rady tak sama...

– To znaczy? – nie rozumiała Marta.

– Chciałam, żeby ktoś mną się zajął.

– Ktoś? – spytała cicho Marta. – Ktokolwiek?

– Nie ktokolwiek. Miałam nadzieję, że to będziesz ty – odparła Ingeborga znad kieliszka. Usta miała całe czerwone i wilgotne od gęstego, słodkiego alkoholu.

– Nie było tam innej kobiety, musiałam pomóc.

– Tak sądzisz? – Ingeborga przesiadła się z fotela na mięciutką sofę, obok gospodyni. – Nazwałaś mnie przed chwilą swoją przyjaciółką. Nie dziwi cię, że przychodzę właśnie do ciebie, choć tyle lat mieszkałam w Lyck? Jak gdybym nie miała tutaj żadnych innych znajomych i powierników.

– Nie mam pojęcia, jaka jest twoja sytuacja osobista. W pracy mam kontakt z wieloma rodzinami i wiem, że różnie to wygląda. Nie wiem nawet, czy masz lub miałaś męża.

– Myślę, że miałam do zamążpójścia podejście podobne do twojego – odparła Ingeborga. – A nie dziwi cię nawet, że nigdy wcześniej się w Lyck nie spotkałyśmy, przez tyle lat?

– A co w tym dziwnego? – zachnęła się Marta.

– Może i nic w tym dziwnego. Ale ja bardzo żałuję – odparła Ingeborga smutno.

– Tych lat?

– Tego, co stracone – odrzekła Prus. Po czym wręcz rzuciła się do ust Marty Schellong.

Wpiła się w nie swoimi. Całowała chciwie, jakby łapała powietrze potrzebne do życia. Ścisnęła Martę swoimi ramionami, chcąc złamać wszelki opór.

Gdyby się pojawił. Lecz wcale go nie było.

Peniuar szybko okazał się zbędny. Poszło z nim jednak dużo szybciej niż z grubą warstwą ubrań Ingeborgi. Marta niemal je rozerwała, by dostać się do jej piersi. Gdy je całowała i ssała, Ingeborga próbowała zderzyć z siebie resztę stroju. Pozbyć się zapachu jej zatęchłego rodzinnego domu, biedy i śmierci. Przeżyć coś autentycznego i intensywnego.

Zadyszana, naga Marta Schellong wygrzebała z szafki pudełko ze swoimi tabletkami.

– Weź to razem ze mną – poprosiła Ingeborgę. – Wtedy w końcu o wszystkim zapomnimy i będziemy sobą. Nieważne, co potem.

Chciała euforii. Tu i teraz.

Przed oczami migał jej obrazek z zakazanej książki, którą chowała w bibliotece za encyklopediami. „Gamiani: oder Zwei Nächte der Ausschweifung”<sup>[64]</sup>. Ten obrazek... Hrabina Gamiani i jej przyjaciółka Fanny. Nagie, z rozpuszczonymi włosami, na porozrzucanych poduszkach. Wchodzą na siebie okrakiem, zachodzą na siebie rozłożonymi nogami jak nożyczki. Napierają i pocierają, ich włosy się mieszają i skręcają, wargi robią się gorące i wilgotne. Dyszą zasapane w zapamiętaniu, póki nie wydobędzie się z nich jęk rozkoszy.

Tak Marta chciała. Tak zrobiły. Na końcu czekał spazm, omdlenie, ekstaza, zapomnienie. Rozkoszna mała śmierć.

\*\*\*

Dom Prusów na Sybbie był ustronny, a jednak dało się pod nim zauważyć ruch większy niż pod niejedną willą, w której bywali oficerowie z garnizonu w Lyck, spragnieni płatnej miłości i strzelających korków od szampana. Tyle że ludzie, którzy kręcili się pod chałupą, nie myśleli o rozrywce.

## ROZDZIAŁ 9

Korzystając z mroźnej, ale słonecznej aury, 26 grudnia Sadowski zabrał córkę na długo wyczekiwaną wycieczkę z Rastenburga do Bäslack. Mieli tam obejrzeć wspaniałą pięćsetletni kościół, który powstał z przerobionego krzyżackiego zameczku. W słoneczne południe, pod pierzyną ze śniegu, wśród bezlistnych szkieletów drzew wyglądał jak z baśni. Otoczony zarośniętym granitowo-ceglanym murem z bramą wjazdową ozdobioną schodkowym szczytem. Minęli położony za nią niewielki cmentarz i skierowali się w stronę świątyni.

Była masywna, również wzniesiona z kamienia i cegieł. Miała spadzisty dach ze schodkowym szczytem. Sadowski odruchowo spojrział, czy nie wiszą tam jakieś sople, których powinni się obawiać.

– A do wieży zajdziemy? – spytała Miłka.

– Może potem – odparł ojciec. Górująca nad dawnym zameczkiem wieża nie interesowała go wcale, bo postawiono ją dużo później. – Postaraj się skupić na tym, co zobaczysz w środku kościoła.

– A ty będziesz rysował?

– Może potem. Ale przede wszystkim będę cię obserwował.

Kościół był otwarty, jak to 26 grudnia, aczkolwiek pusty. W środku żadnych parafian ani duchownych. Mieli pojawić się dopiero wieczorem, by zgodnie z tradycją odprawić mszę za chrześcijan męczenników.

– Mogę się pomodlić za mamę? – spytała Miłka.

– Oczywiście.

– A za Bellę? Została w domu sama...

– Za Bellę nie musisz. Na pewno sobie poradzi – uspokoił córeczkę.

– A co, pytałeś ją? – wierciła mu dziurę w brzuchu. Sadowski zaczął żałować, że jednak nie zabrali tej okropnej lalki. Czasem przerażało go, jaki wpływ ma na jego dziecko. Któregoś dnia wrzuci ją chyba do pieca.

– Tak.

– Nie kłam, papo.

– Spojrzałem na nią i pomyślałem: jeśli nie chcesz zostać sama w domu, daj mi jakiś znak – odpowiedział. – A Bella siedziała, dalej uśmiechnięta. Więc chyba jej się nie przykrzy.

Miłka łaskawie przyjęła to do wiadomości.

Usiedli w ławkach.

– Postaraj się skupić i rozejrzyj uważnie – szepnął Sadowski. – Widzisz coś niecodziennego? Może jakiś głos coś ci podpowiada.

Dziewczynka zmrużyła oczy i zacisnęła usta. Milczała w skupieniu.

Sadowski dobrze poznał historię tego budynku. Co się w nim działo, zanim stał się świątynią. Wiedział, że na tym zamku Krzyżacy przetrzymywali w komnacie litewskiego księcia Świdrygiełłę, brata polskiego króla Jagiełły. W kościelnej szkatule do dziś trzymano piękny kielich z greckim napisem, będący – jak mówiono Sadowskiemu – kopia świętego pucharu należącego do Litwina. Oryginału nigdy nie znaleziono. Powiadano, że mógł mieć wielką moc. Lecz i bez tego był skarbem, na którym można wiele zarobić. Zwłaszcza, że da się dopisać do niego niesamowitą wręcz legendę.

Świdrygiełło pochodził z rodu Giedyminowiczów. Wywodzić się miał od księcia Dowsprunga, który przybył na Litwę z jakiegoś królestwa na Zachodzie. Jedni mówili, że chodziło o Rzym. Inni, że o Brytanię. Z oboma tymi miejscami łączyła się legenda najbardziej poszukiwanego kielicha na świecie – Świętego Graala. Nawet jeśli Sadowski nie ufał w jego moc i nie dowierzał mitom, świadom był wartości, jaką średniowieczny kielich może mieć dla kolekcjonerów.

Miłka nic nie mówiła, postanowił więc bardziej ją nakierować.

– Może szczególnie przyjrzyj się ścianom – szepnął. Ktoś z miejscowych opowiadał mu kiedyś, że dawno temu w kościele zamurowano coś we wnęce.

Miłka wstała z ławy i podeszła do chrzcielnicy, potem do ołtarza, obeszła ambonę. Spojrzała na kolorowy witraż z ukrzyżowanym Jezusem i na cytaty z Biblii zapisane gotykiem, wielkimi literami, na murach obok.

„No dalej, skarbie – pomyślał Sadowski. – Musisz mieć tę moc, którą miała i twoja mama. Tylko musisz wiedzieć, jak ją właściwie wykorzystać. Nie na rojenia

o przyszłości naszej i całego rodzaju ludzkiego, lecz na odkrycie tego, co przed nami ukryte, a co może ułatwić i ubarwić nam życie. To chyba nie grzech?”.

I kiedy tak czekał na to, co powie Miłka, nagle sam doznał jakiegoś olśnienia. Przed oczami stanęła mu twarz żony, a potem... mężczyzny, którego widział niedawno i zupełnie go nie rozpoznał. A to był człowiek, który przed laty wciągnął matkę Miłki w spisywanie apokaliptycznych przepowiedni i inne profetyczne mirażę. „Jak mogłem go nie rozpoznać wtedy w Eichmedien?” – rozmyślał Sadowski. – „Może upływ czasu zrobił swoje?”.

– Nic nie znalazłam. Nic nie widziałam, nic nie słyszałam – powiedziała Miłka, która właśnie skończyła obchód po kościele.

– Dobrze, dziecko. Świetnie. To chodźmy już – powiedział Sadowski nieobecny tonem, zatopiony w myślach po swoim nieoczekiwanym odkryciu. Wziął córkę za rękę i wyprowadził z kościoła na zewnątrz.

Na wiatr i słońce.

– Nic tu nie widziałam, ale wiem, o czym ty myślisz, papo – powiedziała Miłka, gdy szli w stronę bramy.

– Doprawdy?

– Tak.

– To o czym?

– O ludziach z pałacu, w którym spaliśmy.

Sadowski zatrzymał się w pół kroku. Pochylił się i popatrzył dziewczynce prosto w oczy.

– Kochanieńka, umawialiśmy się. Zapomnij o tamtym miejscu i o tym, co się stało. Niedobrze jest o tym myśleć. Bardzo niedobrze – poprosił, a w jego głosie była i stanowczość, i czułość.

– Dobrze, ale jest jeszcze jedna rzecz, o której ci nie powiedziałam.

– Tak?

– Widziałam wtedy anioła śmierci nie tylko nad panem Leonem.

Sadowski westchnął ciężko.

– Chcesz mi powiedzieć, nad kim jeszcze?

– Tak – pokiwała głową.

– To nad kim?



– Anioły były nad wszystkimi przy stole. Nad wszystkimi oprócz nas.

\*\*\*

Te same dłonie, które najpierw wymieniały w fonografie woskowe wałki z nagranyymi prorocत्वami, a potem trzymały w ręku referat o aryjskiej Lemurii, zaciskały się teraz na poręczy najbardziej niezwykłego fotela na świecie. Cały obciągnięty był skórą niedźwiedzia. Z poręczy i nóżek sterczały autentyczne pazury. Natomiast pod siedzeniem fotela, jako podpórka dla nóg, znajdował się odcięty i wypchany łeb zwierzęcia – z guzikami zamiast oczu i rozwartą paszczą z armią kłów. Mebel ten wykonano na wzór fotela przekazanego przed laty w prezencie amerykańskiemu prezydentowi Andrew Jacksonowi. Tyle że nie wykonano go ze skóry niedźwiedzia grizzly, a syberyjskiego. Było w tym coś wielce symbolicznego, podkreślającego historię misję Aryjczyków na barbarzyńskim słowiańsko-kałmuckim wschodzie.

Mebel był rzadki i drogi. Niemal tak kosztowny, jak osobliwe dekoracje umieszczone za nim. Na ścianie wisiało tam pół tuzina zasuszonych, ciemnych głów. Miały niezwykle „dzikie” fryzury, wytatuowaną skórę i jaśniutkie zęby, rzadko już spotykane wśród Europejczyków. Były to *mokomokai* – tradycyjne trofea z wojen muszkietowych na Nowej Zelandii. Wymieniane przez plemiona maoryskie za broń palną, trafiały do kolekcjonerów z Zachodu jako egzotyczna ciekawostka.

Obok nich wisiały znacznie mniejsze główki – jakby miniaturowe lub wręcz dziecięce. To z kolei były trofea nowogwinejskie. Miejscowi opanowali tę niesamowitą technikę do perfekcji. Kluczem było wykorzystanie świeżo ściętej głowy, z której w pierwszym rzędzie należało wyciąć i wydłubać czaszkę, mózg, oczy i język. Pozostałą skórę należało odpowiednio zszyć, wygotować, obkurczyć jeszcze bardziej przy pomocy gorącego piasku i kamieni. Gdy była odpowiednio wymodelowana, suszono ją nad ogniem. Cztery takie cuda wisiały nad fotelem z niedźwiedzia, obok *mokomokai*.

Człowiek, do którego należały, niewątpliwie miał kosztowne hobby. Pragnął też spełnić historię misję. Potrafił połączyć ideę i pieniądze. Udało mu się dzięki temu, że zdobył za darmo dwie rzadkie egzotyczne czaszki, na które łoża z Königsbergu przeznaczyła małą fortunę. Były to bowiem niewątpliwie czaszki Aryjczyków z Lemurii.

Ten prywatny gabinet kosztował krocie. Opowieści o Aryjczykach i Lemurii dobrze się sprzedawały. A było jeszcze tyle możliwości w tej isticie magicznej łoży! Tak wiele eksponatów, które bogata elita z Königsberg i okolic chciała zobaczyć. I które należało za wszelką cenę zdobyć. Wszystko, co mogło potwierdzić, że Niemcy pochodzą od doskonałej rasy Aryjczyków. Ludu wywodzącego się może nawet ze starożytnej Atlantydy, a przez wieki wyznającego wiarę w Wotana – boga bogów, mistrza magii i pana wojny. Skoro tak było, to o tę rasę i pradawne tradycje – których szczątki można było jeszcze odnaleźć w ludowych zwyczajach, wystarczyło tylko dobrze poszperać – należało dbać. W Towarzystwie Wotana zakazane było mieszanie się ras. Zakazane były konszachty z klerem (zwłaszcza katolickim, bo niszczył przez wieki pradawne wierzenia), Żydami (bo tym najwyraźniej bliżej było do troglodytów z jaskiń i afrykańskich Hotentotów) oraz Słowianami (nadającymi się, zgodnie z łacińską ich nazwą, tylko na niewolników<sup>[65]</sup>), nie wspominając nawet o rasach żółtej i czarnej. „Tylko słabi zdobywają w pocie czoła to, co można wywalczyć krwią” – członkowie Towarzystwa Wotana nader chętnie cytowali te słowa rzymskiego historyka Tacyta na temat starożytnych Germanów. Chcieli poznać znaczenie runów, pradawnego kultu Słońca i magicznego symbolu swastyki. Wybierali się na inscenizacje utworów Wagnera. Rozprawiali także o wizji, której doświadczył pewien natchniony austriacki zakonnik, związany z ich gronem. Oto zobaczył we śnie rycerza, który stopą miażdżył małpę. Czyż nie było to wezwanie z zaświatów, by rasa panów wreszcie pokonała otaczające je hordy podobne do małp?

„Jeszcze przyjdzie na to czas” – pisał mężczyzna rozparty na niedźwiedzim fotelu. – „Kiedy przyjdzie właściwy moment, będziemy przygotowani. Nie zawahamy się. Zgnieciemy małpę żelazem. Tylko słabi zdobywają w pocie czoła to, co można wywalczyć krwią. Krwią własną i cudzą. Każda nasza ofiara uszlachetnia aryjską rasę. Prymitywne rasy można zgładzić, bo trudno przecież uznać, by przysługiwało im takie samo prawo do życia jak silnym i pełnym wigoru. To byłoby wbrew naturze”.

Bywało, że niemal wierzył w to, co pisał. To ułatwiało kłamstwa. Ale w głębi duszy czuł, że chodzi tylko o pozycję i luksusy. O to, by rodzina go podziwiała, żona wychwalała, a dzieci całowały po rękach. Kto wie, może nawet kiedyś zdobędzie fotel w parlamencie? Czuł, że nie zniósłby porażki. Dlatego potrzebował

trofeów. I skarbów z Lemurii. Eksponatów, które należało pozyskać albo stworzyć, jeśli nie istniały. Jego zdaniem cel to uświęcał.

\*\*\*

Kiedy już leżały wtulone w siebie, a narkotyczny trans prawie minął, Ingeborga zaczęła mówić. O tym, że pierwszy raz była z mężczyzną wbrew własnej woli. I o tym, że kiedyś brat sprzedał ją starszemu koledze. Rzadko o tym myślała i zawsze usprawiedliwiała Leona. To było tyle lat temu... Dlaczego przypomniała sobie właśnie teraz?

Wyglądało jednak na to, że Marta śpi. Być może nie usłyszała nawet słowa. Jeśli więc Ingeborga pożałowała chwili szczerości – i martwiła się, że mało brakowało, by powiedziała jeszcze więcej – to mogła się uspokoić. Najwyraźniej jej tajemnice pozostały nieodkryte.

– A ty chcesz mi coś wyznać? Chcesz coś zdradzić? – spytała Prus na tyle głośno, by przebudzić kochankę, jeśli ta spała. Lecz Marta nawet nie drgnęła.

– Tylko udajesz? A może to po tych pigułkach? – pomyślała na głos Ingeborga. Lecz i tym razem nic w odpowiedzi nie usłyszała.

Podniosła się, zabrała swoje ubrania z dywanu i cichaczem zaczęła się ubierać w korytarzu. Wciąż czuła na sobie pot, ślinę, śluz. Na twarzy, na palcach, we włosach, na udach, na wargach. Nawet nie próbowała ich wycierać. Okryła się byle jak i wymknęła z mieszkania Marty.

Na zewnątrz znów padał śnieg. Wiał wiatr od Lycker See. Naprzeciw kamienicy, pod kościołem, złapała dorożkę. Fiaker obrzucił ją wzrokiem, jakby jej twarz wydała się mu znajoma. A może miejscami stał się puder a szminka rozmazała? Jak zwykle najprostszym wyjściem było zasłonięcie twarzy żalobnym woalem.

Całą drogę dorożkarz mruczał sobie pod nosem „Masurenlied” Dewischeita<sup>[66]</sup>. Poetycki hymn Mazur – z obrazem rybackiej łodzi kołyszącej się na spienionych falach; ze spacerami wśród gajów, pól i wzgórz; z wciąż zmieniającymi się obłokami w tle. „O Heimatland, Masovias Strand/Masovia lebe, mein Vaterland!”<sup>[67]</sup> – podśpiewywał mężczyzna. Najwyraźniej nawet mroźną zimą cieszyły go idylliczne obrazki Mazur w ciepłe dni.

Ten starszy kolega Leona, z którym ona kiedyś, pierwszy raz, wbrew sobie... Też tak śpiewał. „Może, gdyby ktokolwiek wtedy zareagował, gdyby Leon coś zrobił, to

wszystko potoczyłoby się inaczej, całe to moje życie...” – pomyślała ze złością. „Ale nie, to nic by nie zmieniło. Było jak było, a jestem jaka jestem, trzeba się z tym pogodzić”.

Tak sobie mówiła, tłumaczyła. Ale coś się w niej kotłowało.

W domu wyszukała duży zatechły kawałek płótna – chyba kiedyś był to żagiel do łódki dziadka. Potem wzięła siekierę i poszła do sieni. Zsunęła wieko trumny z ciałem brata, a potem boczne ściany. Wokół rozsypały się kawałki lodu, które wciąż nie roztopiły się w zimnej sieni domu. Odrzuciła precz kawałki drewna, obok ciała rozłożyła płócienną płachtę.

Starła się nie patrzeć na twarz brata – martwą, spuchniętą nie do poznania, noszącą ranę po sople. Chwyciła za obute nogi i pociągnęła. Nie dała rady. Ciało było za ciężkie, sztywne i zmrożone. Przyklękła więc z boku i wzięła trupa pod bok. Krzyknęła wściekle, z największym wysiłkiem udało się jej ruszyć zwłoki. Przeturlała je na rozłożony obok kawał płótna.

Okryła nim brata. Potem przyniosła szpagat i wielką igłę. Pół godziny zszywała materiał, aż w końcu całun był gotowy. Nie знаła marynarskich zwyczajów, zrobiła to po swojemu. Po wszystkim ubrała się ciepło, otworzyła drzwi domu i zaczęła wyciągać ciało na zewnątrz.

Gładko zjechało po schodkach. Śnieg był śliski, więc z trudem, ale pociągnęła zwłoki w kierunku rodzinnego cmentarzyska. Nie zatrzymała się jednak przy nim, lecz ruszyła w dół, w stronę jeziora.

– Będiesz miał prawdziwie marynarski pochówek, braciszku – mruknęła. – Będiesz mógł spać z rybami. Woda to zawsze był twój żywioł.

Zostawiła całun na lodzie, a sama wróciła do domu po siekierę. Wyciągnęła też skrzynię z egzotycznymi skarbami jej brata. Niech je zabiera ze sobą w diabły, na tamten świat. Niczego od niego nie potrzebowała. Niczego.

Dobrze, że przerębel zrobiła już wcześniej, łowiąc ryby. Teraz wystarczyło go poszerzyć. W ruch poszła siekiera.

Było już po północy, gdy dopchała do przerębla ciało brata i kufer.

– Wybacz, że bez żadnych ceremonii i bez księdza, ale i tak zawsze go unikałeś. Będę się za ciebie modlić, jak tylko sobie przypomnę słowa – wymamrotała. Postanowiła zsunąć do przerębla ciało w całunie, a zaraz po nim skrzynkę pełną „skarbów”.

Liczyła, że wszystko pójdzie na dno w okamgnieniu, jak kamień. Ale nie, skrzynka utknęła, zaklinowała się. Ingeborga zaczęła się z nią mocować. Skrzynia się przechyliła i otworzyła, zawartość zaś wysypała się na lód. Dopiero po paru minutach mordęgi Prus wreszcie udało się zepchnąć wszystko do wody, łącznie z cholernymi muszlami.

Pot lał się z Ingeborgi strumieniami. Z oczu pociekły też łzy.

Ruszyła zmrożonym jeziorem do brzegu, ciągnąc za sobą siekiere jak kulę od kajdan. Nic już nie widziała i nie słyszała. Gdy na brzegu chwyciło ją i przydusiło parę rąk, nie wydała nawet jęku.

## ROZDZIAŁ 10

Położyli ją na stole, na brzuchu. Zdarli ubranie. Potem przywiązali za ręce i stopy do nóg stołu. Na koniec chlusnęli Ingebordze w twarz lodowatą wodą.

– Teraz dobrze – odezwała się księżna Baden. Chwyliła Prus za włosy i poderwała głowę do góry. Dłonią w skórzanej rękawiczce przetarła jej twarz. – I na co ci tyle pudru i farby? Nie poznałam jeszcze kobiety, która tak bardzo chciała się postarzyć. Wstydzisz się własnej urody, słodziutka?

Ingeborga nie odpowiedziała.

– Nie poznajesz mnie? – uśmiechnęła się drwiąco księżna. – Bo ja ciebie dobrze zapamiętałam z tamtej nocy. I ze zdjęć. Ba, najlepiej. No więc?

– Pamiętam – wycharczała Ingeborga.

– Myślałaś, Irminko, że wystarczy trochę zmienić imię, postarzyć się, przeprowadzić się do innego miasteczka, i nikt cię już nie znajdzie? – kontynuowała Baden przez zaciśnięte zęby. – Nic podobnego. I nic ci już nie pomoże. Zapłacisz za to, co mi zrobiłaś.

Księżna skinęła na Profesora. Ten zaczął macać kręgosłup i zebra Prus. Potem otworzył wielką skórzaną torbę z lekarskimi narzędziami, przypominającymi bardziej akcesoria rzeźnika.

Baden szarpnęła Prus za głowę, tak by ofiara kątem oka mogła dostrzec, co ją czeka.

– Już niedługo zamienisz się w orła, a może raczej w gołąbeczka? – Księżna pomachała palcami, imitując ruch skrzydeł. – I już odlecisz stąd na zawsze.

– Czego chcesz? – wyjęczała Prus. – Ja nic nie mam.

– Masz życie. Ja swoje straciłam – syknęła księżna.

– Ja straciłam brata...

– Nie miałam z tym nic wspólnego. Zresztą, pewnie było z niego takie samo ziółko jak z ciebie. – Baden wzruszyła ramionami. – Mam ciekawsze tematy do

naszej rozmowy.

– Marnujesz tylko czas.

– Ano. Mogłabym spędzać go z dziećmi. Ale mi je odebrałaś.

– Ja? – zdziwiła się Prus.

– A kto?

– Cała reszta. Gerhard, Ziege, nawet twój mąż.

– Chyba nie powiesz, że wiedział o tej intrydze? – zdziwiła się Baden. – I Gerhard, i Ziege mówili co innego. Wierzę im, bo z obcęgami w oczodole jeszcze nikt nie kłamał.

– Prawda, twój mąż nie wiedział, ale przecież mógł zareagować inaczej.

Baden zaczęła się histerycznie śmiać.

– No oczywiście. Słuchajcie, kurwa będzie nas uczyć zasad, jakie panują w towarzystwie!

– Nie zostałam kurwą dla przyjemności – wyszeptała Prus.

– Co? Nie słyszę! – wykrzyczała jej w ucho Baden.

– Nie zostałam kurwą dla przyjemności! – wrzasnęła Prus. – Nie miałam wyjścia, musiałam z czegoś żyć, chciałam się stąd wyrwać. Ziege obiecywał, że ma wielkie znajomości i będę miała paru stałych, bogatych klientów, że nie trafię na ulicę. A potem straszyl, że skończę jak najgorsza, jeśli nie zgodzę się na szantaż. Zmusił mnie. Tam w zamku myśliwskim to nie był mój pomysł.

– Twoje tłumaczenie nic nie da. – Księżna wzruszyła ramionami.

– Myślisz, że to zrobiłam dla pieniędzy. A widzisz ten dom? Widziałaś, jak mieszkam w Rastenburgu? Tak żyje ktoś, kto się dorobił?

– Nie dostałaś ani grosza?

– Po prostu Ziege pozwolił mi w nagrodę w spokoju odejść. Gerhard kazał wracać do domu i tyle.

– To i tak nic nie zmienia. Skrzywdziłaś mnie, moje dzieci, moją rodzinę. Musisz za to zapłacić – westchnęła księżna. – Jeszcze dwa pytania. Po pierwsze opowiedz mi o Karlu.

– O kim?

– O Karlu. O mężczyźnie, którego posłałam rok temu, by cię znalazł. Pewnie przedstawił się inaczej. On nie wrócił, a ty potem znikłaś. Co się stało?

– A tak. – Prus nagle zaczęła się śmiać. – To ten do szaleństwa we mnie zakochany!

– Że co? – Baden znów szarpnęła ją za włosy.

– To było jak choroba – wysapała uwięziona. – Chciał tego wszystkiego, co widział na zdjęciach...

– Kłamiesz! – Księżna uderzyła ją w twarz.

– Mówił, że marzył o tym. Latami – wystękała Prus.

– Przestań łgać, ty kurwo! – Baden chwyciła ją za szyję i zaczęła dusić. W końcu Karsten i Profesor odciągnęli ją na bok. Ten drugi spojrzał na księżną znacząco. Chyba nie chce skończyć zabawy przed jej rozpoczęciem? Jak teraz zadusi tę dziwkę, to co z „krwawym orłem”?

– Opowiedz, co stało się z moim bratem – zażądał Karsten pozbawionym emocji głosem, dobiegającym niczym echo ze studni. – Chcę wiedzieć wszystko, rozumiesz?

– Jakie to ma znaczenie, skoro i tak mnie zabijecie?

W odpowiedzi Karsten przysiadł i zaświecił Prus lampą prosto w twarz.

– Wiem, że masz nową przyjaciółkę. Pannę Martę. Chciałabyś, żebym pojechał do niej i pociął jej twarz? Albo oblał ją naftą i podpalił? Zdarzają się takie wypadki. Szczerze to chyba niewielka cena za czyjeś ocalenie?

\*\*\*

Było tak...

Po powrocie do Lyck i wykaraskaniu się z układów z Gerhardem i Ziegem, Prus starała się normalnie żyć. Nie chciała jednak mieszkać w domu po rodzicach. Wynajęła pokój – najpierw w hotelu, potem u starej kobiety mieszkającej po drugiej stronie jeziora, za zamkiem. Pracowała w karczmie na trasie do Bartossen, naprzeciw Wyspy Francuza na jeziorze Sunowo.

Prus pracowała i starała się nie rzucać w oczy. W głębi ducha obawiała się, że sprawa z szantażem była tak skandaliczna, że ktoś może w końcu wpaść na jej trop. Myślała nawet o tym, żeby pójść na policję i wyznać, że została zmuszona do przestępstwa. Gdyby odmówiła, Gerhard i Ziege połamaliby jej kości albo obcięli nos. Grozili jej, że będzie wyglądała gorzej niż po ataku Kuby Rozpruwacza. Tylko



kto by uwierzył prostytutce? Dlatego chętnie przywiązała się do myśli, że skoro w prasie afera przycichła, to znaczy, że nikt już o niej nie pamięta.

Nocą, z 30 listopada na 1 grudnia 1898 roku, zatrzymał się w karczmie elegancki pan. Wyglądał na nietutejszego, chociaż twierdził, że jego matka mieszka w Lyck i sam tam się wychował. Przedstawił się imieniem Karloman, niczym jakiś frankijski książę. Tak wpatrywał się w Prus, tak czarował, że dała się namówić na rozmowę. Potem zaproponował, że jego powóz odwiezie ją do domu. Prus nie była głupia – wiedziała, co to oznacza. Wtedy on się zmytygował. Powiedział, że źle go zrozumiała: on sam tym powozem nie pojedzie, tylko jego fiakier. Kobieta może więc czuć się bezpieczna.

Śnieżyło. Godzinny powrót piechotą w taką pogodę jej się nie uśmiechał. Nie należało się jej coś od życia? Dlatego zgodziła się, głupia. Chociaż, kto wie, może chciała być oszukana? Okazało się, że Karloman nie wsiadł wprawdzie do powozu, ale usiadł na koźle obok woźnicy. Prus nie widziała go ze środka. Zauważyła dopiero, gdy po paru minutach pojazd się zatrzymał, a elegant nagle otworzył drzwi i wskoczył do wnętrza.

Zaczęła się szarpać, ale on chwycił ją za rękę i sprawiał wrażenie, że chce uspokoić. Wyjaśnił, że ją rozpoznał ze skandalicznych zdjęć z cesarskiego zameczku. Że śni mu się po nocach i marzy o jej ciele. Nie pozwolił jej zaprzeczyć. W końcu zaoferował, że zapłaci każdą cenę, byle „zobaczyć ją taką, jaka była tamtej nocy”.

Wystraszona Prus postanowiła grać na zwłokę. Powiedziała, że jeśli Karloman dobrze zapłaci, to „poczuję się jak na cesarskim dworze”. Zrobi to dla niego, ale przecież nie w powozie. I nie u staruszki, u której się zatrzymała. I nie w żadnym hotelu w Lyck, bo postanowiła skończyć ze starą profesją, nie chce plotek. Zaproponowała, żeby pojechać do opuszczonego domku jej rodziców na Sybbie. Skłamała, że to wcale nie rudera. Pomyślała, że nim tam dojadą, jakoś wyskoczy z powozu i narobi hałasu, pozbywając się natręta.

Kiedy jednak docierali do Wyspy Zamkowej, Karloman nagle nabral podejrzeń. Mieli przejeżdżać obok sądu i więzienia – pewnie domyślił się, że mogłaby tam wszcząć alarm i spróbować wystawić go do wiatru. Kazał więc fiakrowi zjechać z trasy na jezioro, dobrze już skute lodem. Pamiętał z dzieciństwa, że podczas surowej zimy tafla jest jak kamień. Przez jezioro można było dotrzeć do Sybby na przelaj – szybko i łatwo.

Wtedy Prus zrozumiała, że może się już nie wymigać od spełnienia złożonej porywaczowi obietnicy. Rzuciła się do drzwi, żeby wyskoczyć na zewnątrz. Powstrzymał ją. Gdy się szarpała, zaczął ją okładać. Gryzła i kopała, więc Karloman pociągnął za dzwonek i wezwał fiakra. Ten zatrzymał powóz i wskoczył do budy, żeby mu pomóc. Szarpali się. Powóz cały się trząsał, lekko zaniepokojone konie ruszyły. Fiakier chciał je zatrzymać, ale Karloman mu nie pozwolił.

– Niech sobie jadą, pomóż mi najpierw z nią! – rozkazał.

Rozerwali na kobiecie ubranie. Nie dawała za wygraną, więc Karloman wyciągnął miniaturowy pistolet. Dopiero wtedy Prus przestała wierzgać. Karloman przejechał po jej nagim ciele ręką i aż wstrząsnął nim spazm. Wcisnął pistolet fiakrowi, a sam zaczął ściągać spodnie.

Prus patrzyła błagalnie na woźnicę, ale ten nie zamierzał jej pomóc. To nie był dorożkarz z miasta. To był sługa Karlomana, oddany swemu panu.

Powóz zaczął się trząść – już z innego powodu. Gwałciciel kazał ofierze krzyczeć z rozkoszy. „Przecież to umiesz, nie? To twój zawód. Pokaż, jak wtedy krzyczałaś? No nie udawaj. Przecież nie da się zgwałcić prostytutki, wy wszystkie tak naprawdę to lubicie, nie?”.

Konie jechały, woźnica nie reagował. Czasem tylko zerkał przez okienko, czy nikt nie pojawił się w pobliżu. Na wszelki wypadek, bo kto łaziłby po jeziorze o tej porze? Nie zwracając uwagi na dokonywany gwałt, woźnica sprawdzał, czy daleko jeszcze do drugiego brzegu. Musiał wyjechać tam na ląd tak, żeby nie połamać kół, a przecież nie mógł zapytać swego pana, skupionego na realizacji własnych fantazji.

Konie stąpały miarowo. Prus myślała już tylko o tym, kiedy to wszystko się skończy. Łzy ciekły jej z oczu. „Powiedziałem, że masz jęczeć!” – wrzasnął Karloman, nagle pozbawiony satysfakcji. – „Ma być ci tak dobrze jak na tamtych fotografiach!”.

Uderzył ją w twarz, a kiedy krzyknęła, aż cały zeszywniał z podniecenia.

Potem wyrwał pistolet woźnicy i próbował wepchnąć lufę kobiecie do ust. Powóz podskoczył na jakiejś nierówności. Coś zatrzeszczało, nie wiadomo, czy oś pojazdu, czy lód. Mężczyźni skrzyżowali zaniepokojone spojrzenia. Prus wykorzystwała ten moment i ugryzła oprawcę w dłoń, w której trzymał broń.

Wrzasnął z bólu i odruchowo nacisnął spust.

Pocisk przebił budę i trafił w zad któregoś z siwków ciągnących berlinkę. Konie szarpnęły gwałtownie. Cały powóz się zatrząsł, a lód pod kołami puścił.

Konie wpadły do wody, berlinka przechyliła się na bok. Woźnica upadł na półnagiego Karlomana, niemal nokautując go własną głową. Obaj wściekle zaklęli. Karloman upuścił broń.

Tymczasem Prus, niemal na czworakach, rzuciła się do wyjścia. Odbiła się od podłogi powozu niczym jakiś cyrkowiec. Rozbiła drzwiczki. Spadła na lód, który zadrżał, ale nie pękł. Jakimś cudem pociągnęła za sobą także pistolecik upuszczony przez Karlomana.

Trrrrach, w mgnieniu oka załamał się jeszcze większy kawał lodu wokół powozu i wierzgających koni. Pechowcy runęli w toń. Berlinka momentalnie zanurzyła się w śmiertelnie zimnej wodzie, która niemal natychmiast sparaliżowała obu mężczyzn. Po chwili wszystko było już pod wodą, zaś Prus pełzła po lodzie w stronę brzegu.

Po tragedii nie było już prawie śladu. Wszystko trwało tak krótko, że w pogrążonym w śnie mieście nikt nie miał szans niczego zauważyć.

Na brzegu Prus doprowadziła się do porządku, a potem z duszą na ramieniu ruszyła do swego miejsca zamieszkania. Postanowiła, że nie da po sobie nic poznać. Zaspaną staruszkę łatwo było oszukać. Nazajutrz w karczmie było odrobinę trudniej, bo właścicielka zadawała niedwuznaczne pytania. Prus nie odpowiadała wprost. Tak naprawdę dała z siebie zrobić kurewkę, po czym – niby obrażona – kolejnego dnia rzuciła pracę. To było jej na rękę.

Wyjechała do Rastenburga. Tam ufarbowała włosy tak, by wyglądały na przyprószone siwizną i wymodelowała je. Grubą warstwą pudru zrobiła z siebie kobietę o kilkanaście lat starszą. Zmieniła też imię – Irmina na Ingeborga. Wymyśliła starszą siostrę, której nigdy nie miała. Potem wysłała list do brata. Doszedł, bo Leon przebywał akurat nieco dłużej w Jokohamie.

Nigdy nie miała z nim dobrego kontaktu, ale był już ostatnią jej nadzieją. Obiecał jej lepsze życie.

\*\*\*

– Starczy – mruknął Karsten. Lampa w jego rękach zadrgała.

– Tak, już nie chcesz dłużej słuchać tych... wynurzeń? – Baden spojrzała na niego z obrzydzeniem. Jej oczy ciskały błyskawice. – Nigdy nie uwierzę, że Karl tak się zachował.

– To gdzie jest? – spytał Karsten.

– Może i zginął, ale na pewno nie tak.

Zapadła cisza. Profesor zerkał na Baden, jakby czekał na sygnał, by przystąpić do krojenia. Potem patrzył na skórę, mięśnie i żebra Prus, i przelykał ślinę. Wyglądał, jakby nie mógł się doczekać, kiedy usłyszy trzask kości tej pięknej kobiety.

– Nie tak prędko – stwierdziła księżna. – Mam jeszcze drugie pytanie do naszej kłamczuchy. Czy masz któreś z tamtych zdjęć? Gerhard sugerował, że coś sobie zatrzymałaś.

– Nie mam żadnych zdjęć.

– To co masz? – podchwyciła księżna.

– A jest cokolwiek, co mnie ocali?

– Wątpię. Ale próbuj – zaproponowała księżna. A gdy Prus wciąż milczała, wyjaśniła jej: – No dobrze. Najpierw poczujesz, jak to jest, gdy ktoś kroci cię żywcem. Nie bój się, nie damy ci zemdleć. Potem Profesor wyłamie ci żebra i wyciągnie na zewnątrz jak pióra ptaka. Spójrz na niego, aż się do tego pali, marzy o tym od miesięcy. A na koniec ja sama z chęcią wyrwę i rozszarpię ci płuca. Serca nawet nie będę szukać, bo pewnie go nie masz.

– A ty masz, skoro jesteś zdolna do tego, by zgotować mi taki los? – szepnęła Prus.

– Widzisz, do zemsty trzeba mieć serce: wielkie i zimne. Takie właśnie mam – odparła spokojnym tonem Baden. – Ty zaś masz jakiś guz w piersiach, skarłowaciały i nieistotny.

– Jeśli powiem prawdę... Darujesz mi życie? – spytała cicho Prus.

– Mów najpierw, co masz – odparła Baden. Po raz pierwszy głos jej zadrżał. Po raz pierwszy pozwoliła sobie mieć nadzieję. „A więc jednak! Miałam rację! Jest jeszcze coś. Może coś, co pomoże mi odzyskać dzieci?”. – No, gadaj – ponagliła.

– Mam dowód, że cesarz też lubił použíwać.

– Przecież mówiłaś, że nie ma więcej zdjęć – zaniepokoiła się Baden.

– To nie zdjęcie. To order.

– Jaki znowu order? – Księżna aż się pochyliła nad Prus.

– Jego, myśliwski, taki z jeleniem, klejnotami i kokardą...

– Ach, Zakon Białego Jelenia! – zachnęła się Baden. – Skąd go masz?

– Odpięłam mu z munduru. Na pamiątkę... I na wszelki wypadek, gdybym wpadła w kłopoty. Wiedziałam, że tym dwóm rajfurom nie można ufać.

– Kiedy to zrobiłaś? Tamtego wieczoru? Przecież cesarza z nami nie było, nie widziałam go – dopytywała podejrzliwie Baden.

– Dwa dni później. Podobno osobiście kazał mnie sprowadzić. Afera przecież wybuchła dużo później...

– Nie słyszałam, żeby szukano tego orderu – przerwała księżna.

– Może kajzer pomyślał, że go zgubił i zamówił kolejny – wymamrotała Prus.

– Więc co mi da ta błyskotka? Jaką mam pewność, że to jego?

– Na spince jest dedykacja z imionami cesarza.

Trójka oprawców wymieniła spojrzenia.

– I co niby nam to da? – spytał cicho Profesor, jakby zaniepokojony rozwojem sytuacji.

– Opowieść dziwki plus dowód w postaci orderu mogą zainteresować prasę – odparła księżna.

– Przecież nikt tego tutaj nie opublikuje – zachnął się Karsten.

– Ale za granicą tak. We Francji wydrukują z przyjemnością. Razem z moją historią, tak jak kiedyś chciałam – wyjaśniła Baden, nagle podekscytowana. – Sprzedam tę historię Francuzom, chyba że... kajzer odda mi dzieci. Albo przynajmniej pozwoli je widywać.

– Czyli mamy uwolnić tę tutaj? – zaniepokoił się Profesor.

Baden nie odpowiedziała.

– Gdzie to masz? – Szturchnęła uwięzioną. – Mam nadzieję, że nie w Rastenburgu?

– Nie, zawsze zabieram w podróż ze sobą. Tak na wszelki wypadek – odparła Prus drżącym głosem. Od dłuższego czasu trzęsła się już z zimna.

– Czyli order jest gdzieś tu? – spytała księżna. – W tych łachmanach? – Kopnęła z pogardą poszarpane ubranie Prus.

– Nie. Po przyjeździe włożyłam go do skrytki w czarnej kuchni – wymamrotała Prus. – Ja pokażę, tylko dajcie mi coś, słabo mi już z tego zimna.

Na polecenie Baden Profesor, choć z ciężkim sercem, uwolnił kobietę. Karsten narzucił jej na plecy swoje palto.

– No dalej, prowadź – polecił, przyświecając lampą.

Zmaltretowana Prus szła jak na ścięcie. Ale czy miała inne wyjście? W czarnej kuchni zaczęła macać ścianę za kominem. Odnalazła cegłę, za nią była skrytka, którą pokazał jej dziadek. Jedyńka. Ósemka. Jedyńka. Ósemka. Wystarczyło nacisnąć obie jedynki.

\*\*\*

Marta tylko udawała, że śpi. Słyszała wszystko, co mówiła Ingeborga. I czuła, jak Prus się podnosi. Widziała, jak jej kochanka się ubiera i zamyka za sobą drzwi. Nie zatrzymywała jej.

Nie zatrzymywała, bo wiedziała, że pod chałupą Prus czeka już albo niebawem pojawi się Karsten. Syn Rozamundy Heide, z którym panna Schellong tak bardzo listownie się zaprzyjaźniła ponad rok temu. Tyle ich przecież łączyło. Mieli wspólne poglądy. On podziwiał, jak zdecydowaną i nowoczesną kobietą jest Marta. Zrobiło na nim wrażenie, że wspólnie z jego matką urządziły sobie strzelnicę. A kiedy kilka miesięcy temu pojawił się w Lyck i poprosił o pomoc, Marta nie mogła odmówić. Zwłaszcza, że chodziło o spadek po Rozamundzie Heide.

Karsten wyjaśnił Marcie, że jego rodzina wpadła w sidła drobnych oszustów. To mazurskie rodzeństwo z niższych sfer: Leon i Irmina Prusowie. Zdobyli weksle Rozamundy, które stara pani Heide już spłaciła, nie ma jednak na to dowodu. Policja bezradnie rozłożyła więc ręce. W efekcie Karsten i jego rodzeństwo mogą stracić spuściznę po matce. Muszą więc dotrzeć do Irminy Prus, nim wszystko będzie stracone.

– Ja nie mogę zostać w Lyck, wzywają mnie obowiązki. Pomoże nam pani ze względu na moją matkę? – spytał Karsten Heide. – Obiecuję, że to nic niebezpiecznego.

– Bez wahania – odparła Schellong. – Co mogę zrobić?

– Musi pani po prostu obserwować opuszczony dom rodziny Prusów. Wiemy, że pomieszkiwał w nim Leon Prus. Kiedy wróci z zagranicy, na pewno poszuka kontaktu z siostrą. Prawdopodobnie uda się do niej z wizytą. Proszę jechać za nim. Zapewniam, że pokryjemy wszelkie koszty, może mi pani wierzyć.

– Oczywiście – Marta przerwała mu ruchem dłoni. – Proszę mówić dalej.

– Byłoby najlepiej, gdyby udało się pani dotrzeć do samej Irminy Prus. – Karsten wyjął z kieszeni zdjęcie kobiety. – Kiedyś mieszkała w Lyck. Widziała ją pani kiedykolwiek?

– Nie przypominam sobie. – Marta zmarszczyła brwi.

– Nic dziwnego. Zadaje się z szemranym towarzystwem. Pani jednak, jak wierzę, nie będzie na to narażona. Tym niemniej dotarcie do samej Irminy będzie wymagało wysiłku.

– To mnie nie przeraża. Zna już mnie pan trochę. I wie, jak przywiązana byłam do pańskiej matki – zapewniła Marta.

– Owszem. Nalegam jednak, by telegraficznie donosiła pani o postępach – podkreślił Karsten. Następnie wytłumaczył Marcie, na jakie nazwisko ma wysyłać telegramy i jak je formułować, by przekazać zdobyte informacje, nie pisząc jednak wprost o poszukiwanych osobach. W końcu oszuści mogli mieć znajomości nawet na poczcie.

Tak w poukładane i nudne życie Marty Schellong przygoda, która miała wreszcie nadać mu długo wyczekiwany smak. Co dwa dni jeździła konno na Sybbę, by sprawdzać dom Prusów. Zaopatrzyła się nawet w miniaturowy pistolet. Bo choć Karsten Heide twierdził, że misja nie jest niebezpieczna, to z bronią w dłoni panna Schellong czuła się dużo pewniej.

Małpolud Leon – chociaż pewnie sądził inaczej – nie był trudny ani o wypatrzenia, ani do śledzenia. Zwłaszcza, że zwykł poruszać się pieszo, nie lubił jeździć powozami. A kiedy Marta wsiadła z nim do pociągu do Rastenburga, zadbała, by nie wzbudzić najmniejszych podejrzeń. Postanowiła wypaść na osobę próżną, płochą i niezainteresowaną całym światem dookoła. No, może trochę przesadziła ze swoimi pigułkami. Ale czasem tak ciężko było jej bez nich żyć.

Niestety, plany Marty pokrzyżował przymusowy postój pociągu w polu. A był to dopiero początek kłopotów. Bowiem jej zamiary zostały niemal ostatecznie zniweczone, gdy Leon Prus zginął w dziwnym wypadku w Eichmedien. Marta

Schellong zastanawiała się nawet, czy to aby tylko przypadek, ale skoro lekarz sądowy tak orzekł... Nie mieściło się w jej głowie, by podważać wyrok władzy czy autorytet niemieckiego sądownictwa.

W tym nieszczęściu było jednak i szczęście. Po zwłoki przyjechała zaraz siostra zmarłego. Sęk w tym, że nosiła inne imię i była starsza od poszukiwanej Irminy Prus. Marta postanowiła jednak trzymać się kobiety za wszelką cenę. Wpatrywała się w jej twarz i nagle zaczęła rozumieć, po co te grube warstwy pudru. Spoglądała na jej włosy i podziwiała, jak są mocne i błyszczące, mimo siwizny. Ktoś tu próbował się postarzyć. Zatem była oszustką, jak mówił Karsten Heide.

Kiedy Marta doniosła mu o wszystkim, rosło w niej podniecenie. Podniecenie, które przybrało nieoczekiwaną formę. Bo coś w Irminie, czy też Ingebordze Prus, bardzo Martę pociągało. Zarówno coś w jej fizyczności, jak i w jej psychce. Niepostrzeżenie do głosu doszły uczucia i potrzeby, które Schellong od dawna w sobie tłumiła. Uczucia, których nie wzbudzał w niej żaden mężczyzna, nawet Karsten. Jednocześnie jakiś głos wewnętrzny podpowiadał jej, że może posunąć się bardzo daleko – bo chodzi przecież o informacje potrzebne rodzinie Heide.

A może się oszukiwała? A co, jeśli chodziło tylko o nią samą, o Martę? O pożądanie i możliwość zaspokojenia żądzy z kobietą, która pragnie tego samego. Tylko jak to przyznać?

Czując narastającą słabość, Marta zaczęła się przekonywać: „Nie wierz jej słowom, nie były prawdziwe. To oszustka. Na pewno tylko przed tobą grała”. Z drugiej strony, ciekawa była, jak Karsten zakończy sprawę. Obiecał, że nic nie wspomni o roli Marty.

„A jeśli Prus jest niebezpieczna? Jeśli dojdzie do kłótni między nią i Karstenem, czy sprawy mogą wymknąć się spod kontroli?” – pomyślała Marta, a cichszy głos wewnętrzny dodawał: „A może wcale nie chcę zrywać z nią kontaktu? Drobne oszustwo. Cóż, obie byliśmy oszustkami. Ona – większą, ja – mniejszą. Ale życie toczy się dalej”.

Marta musiała wyjść na spacer, by ochłonić na mrozie. Ani się obejrzała, a złapała dorożkę i kazała jechać na Sybbę. Z nerwów połknęła kolejną tabletkę z puzderka.

Powóz stanął daleko od chaty Prusów, Marta zapłaciła fiakrowi i ruszyła w stronę budynku. Pod płótem stały puste sanie z zawieszoną lampą naftową.



Także w jednym z okien chaty migotało światło. Nie mogła powstrzymać ciekawości. Była tak podekscytowana, że aż drżała.

To, co zobaczyła, było jednak przerażające. Kobieta, z którą spędziła upojny wieczór, leżała naga na stole, a troje oprawców krążyło wokół niej jak kruki. Marcie zawirowało w głowie. Poczowała, jakby nagle znalazła się w koszmarnym śnie. Może to te tabletki? Może przedawkowała?

– Przestań łąć, ty kurwo! – usłyszała kobiecy głos, a po nim ostrą wymianę zdań. Potem zaś przyszły słowa Karstena Heide, po których Schellong osunęła się na ziemię.

– Wiem, że masz nową przyjaciółkę. Pannę Martę. Chciałabyś, żebym pojechał do niej i pocałował jej twarz? Albo oblał ją naftą i podpalił? Zdarzają się takie wypadki. Szczerze to chyba niewielka cena za czyjeś ocalenie?

Zza okna popłynęła opowieść o porwaniu, gwałcie, śmierci. Potem była mowa o jakichś dowodach kompromitujących samego cesarza Wilhelma. Ale nawet to nie zrobiło już na Marcie takiego wrażenia jak haniebna zdrada Karstena Heide.

Czuła się oszukana, wykorzystana, rozrywana przez emocje. Z trudem je kontrolowała. Kiedy usłyszała kroki, dygocącą dłonią sięgnęła do torebki.

\*\*\*

– Dajcie no więcej światła – rozkazała Baden, przyglądając się, jak Prus manipuluje w niszy za kominem paleniska, cały czas pod czujnym okiem Profesora uzbrojonego w rzeźnicki nóż.

Karsten posłusznie podał księżnej lampę naftową.

Chwilę później drgnął nagle i odwrócił się czujnie, słysząc ciche rzenie konia dochodzące z podwórza.

– Sprawdź to – stwierdził, biorąc obrzyna księżnej.

– W porządku, nikogo tu nie ma – krzyknął po chwili.

– Weź drugą lampę z sań, bo tu oślepiemy – zawołała za nim księżna, a potem niecierpliwie ponagliła Prus. – Co tak długo? Profesorze, pomóż jej – rozkazała.

Mężczyzna błysnął nożem.

Wtedy gruchnął strzał. Z głowy Profesora buchnęła krew z kawałkami mózgu. W świetle lampy Baden zobaczyła, jak w ręku Prus drży pistolet. W skrytce była

broń, nie order cesarza.

– Oszukała nas! Karsten! – Księżna cofnęła się i przyłgnęła do ściany, by uniknąć kolejnej kuli. Popatrzyła na pistolet. Znała tę broń. Należała kiedyś do Karla. Ręka Prus drżała.

– Każ mnie wypuścić – zażądała, grożąc Baden bronią.

– Nigdy! – Księżna pogardliwie wydeła usta. – Karsten!

Odpowiedział jej okrzyk zdziwienia. Karstenowi, gdy podszedł do sań, mignęła w ciemnościach jakaś twarz. Piękna, anielska. Znał ją.

– Schellong? Po coś tu przyszła? – Nerwowo potrząsnął obrzynem.

W odpowiedzi Marta strzeliła. Karsten próbował się uchylić, ale kula trafiła go prosto w dłoń trzymającą dwururkę. Wrzasnął z bólu. Obrzyn zwisał mu z dłoni o postrzępionych, zakrwawionych palcach.

– Zabiję cię, ty... – wysapał, próbując chwycić broń drugą ręką.

Schellong nie miała w swoim miniaturowym pistolecie drugiej kuli. Jednak miała ze sobą inną broń.

Krwawiący Karsten poczuł, jak coś chlusnęło mu w oczy. Zaczął palić go żywy ogień. Złapał się za twarz, za szyję. Oślepiony, w bolesnej agonii, z wrzaskiem wpadł na konie. Te, wystraszone, stanęły dęba. Potężne uderzenie kopyta zmiażdżyło mu poparzoną twarz. Marta odwróciła się z obrzydzeniem, nie mogła powstrzymać wymiotów.

Baden patrzyła to na Prus, to na grę cieni na podwórzu. Stała jak sparaliżowana. Gdy tkwiła w tym stuporze, półnaga Prus po prostu przeszła obok niej i opuściła czarną kuchnię.

– Nie uciekniesz. Nie dam ci spokoju – wysyczała za nią Baden.

– Inge...! – zawołała rozpaczliwie Marta Schellong, a gdy tylko Prus się odwróciła, księżna wykorzystwała jej nieuwagę. Poderwała z podłogi rzeźnicki nóż Profesora.

Nim jednak zadała cios, Irmina-Ingeborga zdążyła zareagować.

Strzeliła. Nie w głowę, nie w serce, nie w brzuch, nie w rękę trzymającą nóż, lecz prosto w naftową lampę trzymaną przez księżną.

Rozlana ciecz stanęła w płomieniach. Ogień momentalnie zajął suknię. Karminowe usta wykrzywiły się w przerażającym wrzasku.

Prus zatrzasnęła drzwi do czarnej kuchni i zaryglowała. Oparła się o nie, a po drugiej ich stronie Baden wyła i walczyła o życie. Prus zaczęła się półgłosem modlić, tak jak ją uczono.

*Ojcze, któryś jest w niebie, usłysz nas, wysłuchaj nas. Ogniu gorejący, sam Chrystus rozkazuje Tobie przeze mnie, służebnicę niegodną, abyś dalej swych płomieni nie rozszerzał, lecz w tym miejscu pozostał. Daną od Pana Boga moc zatrzymaj na inny czas. W imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.*

Potem zmówiła trzy razy Ojcze nasz.

– Amen – dokończył za nią męski głos, dochodzący z progu domu.

To był Helmut Roch.

## ROZDZIAŁ 11

Sadowski jadł małymi kęsami jajecznicę i rozmyślał. Od dawna jego śniadanie nie trwało tak długo – nawet Miłka zaniepokoiła się, czy ojciec nie jest chory lub czy nie boli go ząb. Zaprzeczył i kazał jej szykować się do szkoły. Dziewczynka zaśmiała się głośno. Przecież miała wolne między świętami Bożego Narodzenia i Nowym Rokiem.

– Żartowniś z ciebie, tatku – powiedziała i wróciła do zabaw z Bellą.

Lecz Sadowskiemu nie było do śmiechu.

Wracając z Bäslack, Sadowski natknął się na konduktora Webera, który jechał z nimi z Lyck owego feralnego dnia, gdy pociąg stanął w polu, a grupa podróżnych trafiła do Eichmedien. Okazało się, że kolejarz mieszkał właśnie w Rastenburgu i był dość gadatliwy. Początkowo Sadowski chciał go zbyć, ale konduktor zaczął mu opowiadać przedziwne rzeczy o tamtej pechowej podróży.

– Powiem panu tyle, że z tymi drzewami na torach to było coś nie tak – zagaił.

– To znaczy? – skrzywił się Sadowski, udając zainteresowanie.

– Ich nie położył wiatr ani śnieg – odparł maszynista.

– To co? Przecież nie bobry. – Teraz Sadowski już był zaciekawiony.

– Człowiek to zrobił. Ale tak, żeby wyglądało na sprawkę natury.

– Ale po co?

– Bóg jeden raczy wiedzieć! – Kolejarz wzruszył ramionami.

– Będzie jakieś śledztwo w tej sprawie?

– Żartuje pan sobie? – zapytał konduktor i uśmiechnął się pod wąsem. – Na co to komu? Przecież nikomu nic się nie stało, prawda? Może to jakiś dowcipniś postanowił uprzykrzyć święta podróżnym. Albo jaki re-wo-lu-cjo-nis-ta, dobrze mówię? Jeśli to się powtórzy, może wtedy władze kolejowe przyjrzą się temu... hm.... incydentowi.

To powiedziawszy, kolejarz pożegnał się i ruszył w swoją stronę. Tymczasem Sadowskiemu huczały w głowie jego słowa: „Przecież nikomu nic się nie stało, prawda?”.

Drugie niepokojące wydarzenie miało miejsce 28 grudnia po południu. Sadowski czytał sobie przy kawie nowy numer „Rastenburger Zeitung” i omal się nie zachłysnął. Wszystko przez informację o nieszczęśliwym wypadku, jakiemu uległ pastor Kramer – podróżny spod Berlina, który przybył do mazurskiego miasteczka na święta. Roztrzaskały mu głowę dachówki zrzucone przez porywisty wiatr. Dziennikarze podejrzewali, że zawiniła też pogoda, zła widoczność, a może też – jak można było przeczytać między wierszami – jeden kufel piwa za dużo. Zamiast uważać na zawieruchę, pastor szedł zamyślony, bo od dłuższego czasu jeździł po Mazurach z pewną patriotyczną inicjatywą, której istoty dziennikarze nie zdradzili. Zapewnili tylko, że Kramer miał przy sobie teczkę z dokumentami i środkami finansowymi, które to potwierdzały. Tego przynajmniej dowiedzieli się dziennikarze od lekarza sądowego doktora Kunze, który dokonał oględzin denata.

„Kunze! Czy nie tak nazywał się ten lekarz, który przyjechał obejrzeć zwłoki pechowego marynarza w Eichmedien? Ten Kunze to dopiero ma szczęście. Dwa wyjazdy do zgonów w okolicach świąt” – pomyślał Sadowski, ale tak naprawdę nie w smak mu już był wisielczy humor. Pamiętał bowiem, co powiedziała mu Miłka w kościele w Bäslack: „Widziałam wtedy anioła śmierci nie tylko nad panem Leonem. Były nad wszystkimi przy stole. Nad wszystkimi oprócz nas”.

Jakie siły drzemały w tym dziecku? Zaczynał już wątpić, że Miłka jest medium – takim jakim była jej nieszczęsna matka – a tymczasem makabryczna przepowiednia dziecka jakby się sprawdzała. Już dwie osoby z wieczery w Eichmedien nie żyły. Zostały jeszcze panna Schellong i zarządca Wirth. Sadowskiego korciło, żeby sprawdzić, czy z nimi wszystko w porządku.

Bardzo go korciło.

Miłka mówiła coś na ucho Belli, a potem nachyliła się nad nią, jakby lalka coś jej odpowiadała. Zaczęła liczyć na palcach. Jeden, dwa, trzy...

\*\*\*

Helmut Roch i jego bracia pojawili się pod płotem domu Prusów, zaniepokojeni nocnymi hałasami. Wprawdzie przywykli już, że w środku nocy oficerowie

w wesołych willach na Sybbie lubią sobie postrzelać na wiwat, ale tym razem wrzaski i huki dochodziły z drugiej strony, gdzie stała tylko stara chałupa.

Helmut polecił braciom sprawdzić, w jakim stanie jest panna Schellong, a sam wymienił dłuższe spojrzenie z Prus.

– Rób swoje – powiedział, odwracając wzrok w stronę zwłok Karstena Heide, leżących na podwórzu. – Później pogadamy, chrześnico.

– To moja wina. To ja ich tu przyprowadziłam. – Panna Schellong oprzytomniała, wyrwała się Rochom i wpadła do sieni chałupy. Cała we łzach, Cała we łzach, zaczęła nieporadnie tłumaczyć, że śledziła Leona na zlecenie człowieka, który chciał odnaleźć Irminę-Ingeborgę, lecz nie tak miało to wyglądać. Chciała objąć Prus, lecz chyba uczyniła to niezdarnie albo jej niedawna kochanka zrobiła krok w tył. W każdym razie ręce Marty zawisły w powietrzu.

– Wybacz mi, nie wiedziałam, co ci ludzie naprawdę planowali. – powtarzała Schellong, lecz coraz ciszej. Zerknęła na trupa na podwórzu, a potem zapytała: – A pozostałych dwoje? Są zamknięci w tej komórce?

Prus odryglowała drzwi czarnej kuchni. W ciemności, obok Profesora z odstrzelonym kawałkiem głowy, dogasał nadpalony trup. W pomieszczeniu unosił się smród spalonego ciała. Prus szybko zamknęła drzwi z powrotem. Zbierało się jej na wymioty.

Marta wybiegła z opętańczym wrzaskiem na zewnątrz.

– Zabierz ją do domu. Natychmiast – rozkazał Roch jednemu z braci. – I zajmij się tymi saniami tak, żeby nikt ich nie znalazł.

– Dlaczego to robisz? – spytała Irmina.

– Nie pamiętasz, że byliśmy z żoną twoimi rodzicami chrzestnym? – odparł. Popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Nie, nie pamiętała.

– Obiecałem twojemu dziadkowi, że nie dam ci zginąć, ale niewiele dotąd zrobiłem, by ci pomóc – kontynuował. – Żonę choroba przykuła do łóżka, musiałem nią się zajmować. Później ty wyjechałaś. A jeszcze potem... Niedawno ktoś polecił mi śledzić Leona. Sam byłem zdziwiony, dlaczego...

– Tobie? – Oczy Irminy zrobiły się jeszcze bardziej okrągłe ze zdziwienia. Nic już nie pojmowała. To Leon był śledzony przez dwie osoby? I przez Martę Schellong, i przez Helmuta Rocha? Z tego samego powodu czy z dwóch różnych?

\*\*\*

Trudno opisać stan, w jakim znajdowała się Marta. Wydarzenia ostatnich godzin były jednym wielkim koszmarem. Nie mogła uwierzyć, że to wszystko zdarzyło się naprawdę. Nie mieściło jej się w głowie, że wzięła w tym czynny udział. Jak to się mogło stać? To była wina nadmiaru alkoholu? A może emocji po miłosnym zbliżeniu? Czy też zawiniły cudowne tabletki z jej kolorowego puzderka?

Fakty były takie, że zabiła człowieka i przyglądała się, jak giną dwie inne osoby. Zdradziła kogoś i sama została zdradzona. Była świadkiem tortur. Uratowała kogoś. Ale i zemściła się na kimś.

Jak mogła to zrobić? Jakim cudem nie zabrakło jej sił i stanowczości? I jak zagłuszyła w sobie wyrzuty sumienia? Wtedy ich nie miała, ale teraz ją przygniatały.

„To przez pocałunki, nalewkę czy kokainę?” – powtarzała sobie. „A może przez wszystko na raz?”. Tylko jak ma dalej z tym żyć? Jak sobie z tym poradzić? Mniejsza o ewentualne konsekwencje prawne. Jak poradzić sobie z potrzaskaną duszą?

Życie Marty nieodwracalnie się zmieniło. Miało już nigdy nie wrócić do normy. Żadna ideologia, żadne bajanie o Aryjczykach i germańskiej krwi nie mogło zagłuszyć tego bólu.

Siedziała w swoim łóżku, gdzie przytargał ją jeden z Rochów, wciągając po schodach jak wielką szmacianą lalkę. Patrzyła w tremo i widziała właśnie taką lalkę. Podeszła do lustra i uderzyła w nie pięścią. Z całej siły. Zwierciadło rozpadło się na setkę kawałków, tak jak życie panny Schellong.

\*\*\*

Nim Prus wysłuchała Helmuta, zajęli się wspólnie zwłokami, zakrwawionymi, przeżartymi kwasem i spalonymi. Prus z obrzydzeniem patrzyła na szczątki, ale też z rosnącym wstrętem myślała o sobie. Czy była takim potworem jak jej prześladowcy?

Brat Helmuta nawet się nie odezwał. Patrzył tylko wymownie na brata, jakby chciał zapytać, dlaczego w ogóle pomagają swojej sąsiadce. Bo była chrześnicą Helmuta? Do diaska, to nie wystarczy! O co w tym chodziło? Nie narobią sobie

kłopotów? Jednak Helmut stanowczym ruchem ręki kazał mu siedzieć cicho i nie przeszkadzać. Na koniec zaś wezwał, by pomógł zawinąć zwłoki w płótna i prześcieradła.

Bracia Helmuta mogli uchodzić za statecznych starszych panów, lubiących podyskutować o przyszłości Mazur, ale pół życia byli przemytnikami i kłusownikami. On jako jedyny z rodziny zdobył porządne wykształcenie, jednak tylko udawał, że prowadzi stateczne i przykładne życie, jak Pan Bóg przykazał.

Kwadrans później pociągnęli ciała, jedno za drugim, tą samą trasą, którą Irmina odbyła ze zwłokami Leona. I tak do przerębła trafiły kolejne zwłoki. Wokół jeziora nie było innych chałup, nikt niczego nie widział – taką przynajmniej mieli nadzieję.

Zmęczona Prus usiadła przy przeręblu, który zamieniła we wrota do wieczności. Nagle dostrzegła coś dziwnego. Na lodzie leżało coś, czego nie powinno tam być.

Podeszła i podniosła ten przedmiot. To był pionek od szachów ze skrzyni jej brata. A właściwie nie pionek, a figura. Czarny król. Najwyraźniej musiał wypaść, gdy się mocowała przy przeręblu. Dlaczego go przeoczyła? Opatrzność nie chciała? A może to sprawka jakiegoś złego ducha, dziwna fanaberia kłobuka?

Już miała cisnąć figurkę do wody – tam, gdzie jej miejsce – gdy zauważyła coś, czego wcześniej nie dostrzegła. Na pionku widniał niewielki, ale wyraźny znak. Symbol, który wprowadził Irminę w osłupienie.

Czas pokazał, że nie zdziwił za to Helmuta Rocha. Tylko potwierdził jego obawy co do tajemnicy zgonu Leona...

\*\*\*

Po długiej rozmowie Prus wręczyła klucze do chaty Rochom.

– Róbcie z tym, co chcecie – powiedziała Helmutowi. – To już zostanie na zawsze wasze, ojcie chrzestny.

Otulili ją, gdy zasnęła. Po raz ostatni w rodzinnym domu.

Kiedy wstała, pomaszerowała do miasta.

– Przyszłam się pożegnać – powiedziała, gdy stanęła w drzwiach Marty.

– Nie zdążyłam ci jeszcze nic wyjaśnić. – Schellong chwyciła ją za dłoń i chciała wprowadzić do mieszkania, ale Prus się wyrwała. Marta spojrzała na nią



z wyrzutem. To było jak policzek. Zagryzła usta. – Ty też mi nic nie wytłumaczyłaś. Wiem tylko to, co usłyszałam przez okno.

– I tak już zostanie – odparła twardo Prus. – Zadałam się z potworami i sama zostałam potworem. A co do ciebie... Nie chcę wiedzieć, jak cię zmusili, byś mnie śledziła. Nie muszę. Ty zapomnij o wszystkim i wróć do normalnego życia.

– Mam wrócić do normalnego życia?! – rzekła zirytowana Marta i to tak głośno, że Prus rozejrzała się czujnie dookoła, a potem jednak weszła do mieszkania i zamknęła za sobą drzwi.

– Właśnie tak – podkreśliła Irmina.

– Po tym wszystko, co się stało?

– Zabiłaś człowieka, ale w obronie mojej i swojej. Każdy sąd by tak uznał. Tylko że ta sprawa nigdy nie ujrzy światła dziennego – odparła Prus. – Wierz mi. Nikt nie będzie o nic pytał.

– Nie o tym myślę – odparła Marta. – Chodzi o to, co zaszło wcześniej między nami.

– A co takiego zaszło? – rzuciła Irmina lekceważącym tonem, ale wcale nie wypadła przekonująco.

Spojrzały na siebie, jakby żadna nie była pewna, kto kogo wykorzystał tamtej nocy.

## ROZDZIAŁ 12

Był to szczególny wieczór, bo pierwszego dnia nowego roku 1900. Hans Wirth również to święto spędzał na dworze w Eichmedien. Towarzyszył mu tylko stary Gustaw, ponieważ reszta służby miała wolne – podobnie jak w Boże Narodzenie. „Ci to mają szczęście, że rodzina von Redeckerów nie spędza tu zimy. Inaczej musieliby szykować przyjęcie na dwanaście fajerek, a nie pić biber ze znajomymi po swoich chatach” – pomyślał Wirth z przekąsem. Potem wrócił do lektury artykułów o kranioetrii, które polecił mu Kunze. Tylko tak mógł w pełni docenić znaczenie czaszek przywiezionych z Ponape dla odkrycia prawdziwej przeszłości rasy aryjskiej i wytyczenia jej świetlanej przyszłości.

Gustaw cały dzień chodził jak struty. Mówił, że o wschodzie słońca niebo całe zrobiło się czerwone, a taka pogoda 1 stycznia to znak, że w powietrzu wisi wojna. Wirth wyśmiał go.

– Ja czerwonego nieba nie widziałem, więc wojna grozi tylko tobie, mój stary – szydził zarządca.

On sam liczył na bardzo dobry rok. Interesy kwitły. Nie spodziewał się żadnych kłopotów. Ani noworocznych gości. Zdziwił się więc bardzo, gdy Gustaw poinformował go, że w drzwiach dworu pojawiła się kobieta w czerni. Od razu ją rozpoznali. To była siostra marynarza, o którego śmierci chcieli już zapomnieć.

– Pani znowu tutaj? – zdziwił się Wirth. – Czy coś się stało?

– Koniecznie muszę z panem porozmawiać – odparła. – Na osobności.

– Ale jak pani tutaj... – Wirth to zerkał za jej ramię w pustą ciemną noc, jakby kobieta wyszła znikąd, to spoglądał zaskoczony na Gustawa.

– Bardzo proszę – nalegała. – To nie potrwa długo.

Zarządca pokiwał głową i grzecznie zaprosił kobietę do swego gabinetu.

Tam, gdy Prus siadała na fotelu, szybko zgarnął z biurka artykuły o kranioetrii, jakby ta prowincjuszka mogła mieć jakiegokolwiek pojęcie

o pradawnych czaszkach.

– Czym mogę służyć? – spytał.

– Przede wszystkim chciałam zwrócić dług – odparła Prus, poprawiając na kolanach sporą damską skórzaną torbę, obszytą frędzlami.

– Ależ nie jest mi pani nic winna. – Zarządca machał rękoma, jakby w ten sposób nie chciał dopuścić do siebie nawet myśli o zwrocie pieniędzy za transport zwłok Leona Prusa.

– Oj jestem, niestety, jestem – powiedziała stanowczo. – Ale jeszcze do tego wrócimy. Tymczasem chciałam oddać panu zgubę.

– To znaczy? – chrząknął Wirth i nagle zaczął pocierać główkę małego znaczka, który trzymał w klapie, jakby się bał, że gdzieś go zapodzieje.

– To – odparła Prus i wyjęła z torby czarnego króla. – Z pańskich szachów.

– To chyba jakieś nieporozumienie – zachnął się mężczyzna, z ociąganiem przyjmując figurkę.

– Wątpię. Widać na nim wyrzeźbioną tarczę z trzema ptakami, chyba kaczkami. Herb Hoverbecków, dawnych panów Eichmedien. Jest tutaj niemal wszędzie, na ścianach i podłogach. To stąd musiała pochodzić figurka w bagażu mojego brata, nie istnieje inne wyjaśnienie.

Zarządca spojrzał na Prus ostro. Natychmiast odłożył figurkę.

– Pani coś insynuuje?

– Owszem. Zastanawiam się, jak szachy z Eichmedien, a może i parę innych rzeczy, znalazły się w bagażu mojego brata.

– Oskarża pani zmarłego brata o kradzież? – Wirth otworzył szeroko oczy.

– Nic podobnego. To pan je tam włożył, by naprędce wypełnić lukę po cennych zabytkach, które pan sobie przywłaszczył – odparła spokojnie. – Mam tutaj nawet napisane, o co dokładnie chodzi. – Zajrzała do torby, by wyjąć stary artykuł opatrzony inicjałem MK.

– Wystarczy. – Wirth powstrzymał ją gwałtownie. – Poświęciłem już pani dostatecznie dużo czasu. Nie będę wysłuchiwać tych impertynencji. Proszę iść precz albo poszczuję psami lub wezwę żandarmów. Gustawie!

Do pokoju jak na zawołanie wszedł starszy mężczyzna.

Nie był to jednak Gustaw, lecz Helmut Roch. Służący Wirtha leżał zakneblowany na schodach, a dwaj pozostali bracia Rochowie właśnie krępowali mu ręce.

– Ty... Co ty tu robisz? – Na widok Helmuta zarządca cofnął się o krok, jakby dębowe biurko nie stanowiło już wystarczającej ochrony. Nic dziwnego. Stary Roch trzymał w rękach dubeltówkę.

– Ja powiedziałem jej już wszystko, co wiem – wymamrotał Helmut. – Ale ty masz jeszcze wiele do wyjaśnienia.

– Szach i mat – szepnęła Prus.

\*\*\*

Helmut śledził Leona w Lyck – nawet nie wiedząc, że z zupełnie innych przyczyn Prusa obserwuje także panna Schellong. Czy coś by zmieniło, gdyby zdawał sobie z tego sprawę? Kto wie...

Roch śledził Prusa bardzo sumiennie. Wysłał telegram z informacją, kiedy Leon wyrusza pociągiem do Rastenburga. Zawiózł go na stację. Nie był świadomy, że wyprawia sąsiada w ostatnią drogę. Helmut życzył mu jak najlepiej i sądził, że działa z rozkazu łoży Towarzystwa Wotana w Königsbergu – bo tak przekazał mu Hans Wirth. Nie miał powodu, by w to wątpić.

Dlaczego? Ponieważ poznał Wirtha wcześniej, zaufał mu i czuł się jego dłużnikiem. Helmut trafił do Towarzystwa Wotana jako znawca „Klucza do bardzo ważnych tajemnic” Turowskiego – jarmarcznej lektury, którą nagle zainteresowali się wykształceni ludzie z Königsbergu. Zaczęło się od tego, że na zlecenie Towarzystwa Wirth podjął poszukiwania rodziny Turowskich. W ten sposób przez wróżbitów i wiejskich odczyniaczy odnalazł... żonę Rocha, z domu Turowską, rzekomą wnuczkę autora broszury. Nie wierzyła ona w ani jedno słowo „Klucza...”, bo cudactwa tam zapisane ani nie zapobiegły kalectwu kobiety, ani jej nie wyleczyły. Podobnie uważał Helmut. Początkowo wyśmiewał Wirtha. Jednak nagle zupełnie zmienił zdanie. Powód? Gdy Wirth zorientował się, że Helmut to człek mający gimnazjalne wykształcenie, zlecił mu napisanie dla Towarzystwa raportu na temat „Klucza...”. Dla Rocha, człowieka z mazurskich nizin społecznych, zaistnienie wśród ważnych osobistości w Königsbergu było nie lada nobilitacją. Wiedział, że bogacze i ważniacy w miastach organizują się i zakładają sekretne czy półsekretne stowarzyszenia, ale nigdy nie podejrzewał, że sam

znajdzie się w takim gronie. Także schorowana żona, wypytywana o „Klucz...”, poczuła, że ktoś wreszcie docenił jej wiedzę i życiowe doświadczenie. Schlebiało to im obojgu.

Wirth mówił i wyglądał jak ktoś ważny. W klapie nosił złotą odznakę loży z Königsbergu – przypominającą banalny znaczek dawnych gimnazjalistów w Lyck, lecz istotnie różniącą się od tamtej. Brodata twarz na odznace nie była bowiem obliczem księcia Albrechta Hohenzollerna, lecz germańskiego boga Wotana.

Więc gdy Wirth skontaktował się z Rochem w kolejnej sprawie – dotyczącej jego sąsiada Leona Prusa – Helmut nie zadawał zbędnych pytań, tylko po prostu wykonał polecenie. Jak w wojsku.

Wirth wyjaśnił mu, że Towarzystwo Wotana czeka na ważną przesyłkę od Prusa, dlatego zależy im bardzo na jej bezpieczeństwie. A jednocześnie Roch miał działać dyskretnie, żeby marynarz nie pomyślał czasem, że zleceniodawcy stracili do niego zaufanie. Nic nie zapowiadało wtedy kłopotów albo że komuś może stać się krzywda. „Dlaczego nie porozmawiałem o tym z Leonem, przecież znam go od dzieciństwa?” – zachodził w głowę Roch, gdy było już za późno. Najwyraźniej blask złotej odznaki z Wotanem podziałał na starego hipnotyzująco.

Helmut skrupulatnie informował telegraficznie o poczynaniach sąsiada. O tym, że najpierw złożył depozyt w banku, a potem odebrał skrzynkę, gdy wybierał się do Rastenburga. Ba, był nawet tak gorliwy, a Towarzystwo Wotana tak mu imponowało, że na wszelki wypadek postanowił pojechać tym samym pociągiem! Razem z braćmi, którym opłacił bilety na tę „przedświąteczną wycieczkę”.

Kiedy jednak doszło przymusowej przerwy w podróży, Helmut dał się przekonać rodzeństwu do powrotu do Lyck. W końcu swoje już zrobił. Staremu przemytnikowi nie wypadało tak się wygłupiać. Nadał więc tylko kolejny telegram z Martenheim i zawrócił. Nie przyszło mu do głowy, że ktoś tę przerwę w podróży zaplanował!

To wiedział Gustaw, który przy pomocy koni i siekiery obalił drzewa na tory. Oraz Wirth, na którego polecenie działał służący z dworu. Wyjaśnili to obaj podczas przesłuchania urzędzonego im przez nieoczekiwanych nocnych gości w Eichmedien.

„Gdybym uparł się, by jechać dalej z Leonem, zamiast wracać, spotkałbym w pałacu Wirtha. Może ruszyłbym wtedy głową? I może ocaliłbym biednego Leona, miast przyczynić się do jego śmierci?” – łudził się Helmut, słysząc ich słowa.

Zeznania Gustawa i Wirtha na Irminie zrobiły jeszcze bardziej piorunujące wrażenie.

– Czyli mój brat nie zginął przypadkiem. – Prus aż cała zadygotała. – To wszystko było od początku do końca ukartowane?

Gustaw zapewniał, że nie miał pojęcia o morderczych planach swojego pana. Wirth natomiast tłumaczył, że próbował przekonać Leona po dobroci, ale się nie udało.

– Przekonać do czego? – drażyła Prus. Miała już dosyć przesłuchań, kłamstw oraz ludzi o chorych ambicjach i przekonaniach.

– Żeby sprzedał nam te czaszki za pół ceny, bez dalszej fatygi. Bez jazdy do Königsbergu – plątał się w zeznaniach Wirth.

– Nie wierzę ci! – krzyknęła.

Oczywiście, że Wirth kłamał. Od samego początku chodziło o zdefraudowanie całej sumy przeznaczonej przez osobistości z Königsbergu na zakup tajemniczych czaszek z Ponape. Wskazywały na to słowa Gustawa, który niebardzo umiał kłamać.

Opowiedział, jak w środku nocy zakradli się z Wirthem do pokoju, w którym ulokowano Leona. Prus spał jak zabity. Ostatni kieliszek alkoholu, jaki dostał podczas kolacji, był odpowiednio zaprawiony środkiem nasennym i trucizną. Gustaw usiadł okrakiem na marynarzu, a Wirth wbił mu w oko strzykawkę i dla pewności wtłoczył do mózgu jeszcze jedną dawkę trucizny. To zakończyło sprawę.

Następnie otworzyli okno i ostrożnie zrzucili ciało na zewnątrz. Potem pozostało już tylko podmienić czaszki na jakieś przypadkowe rzeczy, które Leon mógł mieć ze sobą, zatrzeć ślady, wyjść z pokoju, a na zewnątrz upozorować wypadek. Wirth miał już przygotowany odpowiedni sopel. Od rana czekał w śniegu, przy studni. Na miejscu zbrodni zawieruszył się Wirthowi znaczek z Wotanem, ale na szczęście szybko go odnalazł. Wydawało się, że wszystko jest pod kontrolą.

Czaszki, trucizna, duże pieniądze. Morderstwo i współudział. Nikt o zdrowych zmysłach dobrowolnie nie przyznałby się do tego. Bracia Roch potrząsnęli

przyniesionym ze sobą żelazem, zimnym jak lód. Przed tym kapturowym sądem – składającym się z trzech starych przemytników oraz siostry zabitego i działającym w imieniu wściekłego pruskiego ludu – nawet diabeł nie miał adwokata.

\*\*\*

Maksymilian Kunze nie lubił anonimów. Jednak tego listu, który ktoś wsunął pod drzwi jego domu rankiem 2 stycznia, nie mógł zignorować. W kopertę opatrzoną jego nazwiskiem wpięty był bowiem znaczek z głową Wotana. Nie był to sposób komunikowania się członków Towarzystwa. Wyglądało to raczej jak ostrzeżenie. Poczł niepokój.

Doktor zbył żonę i dzieci, zasiadające właśnie do śniadania, i zamknął się w swojej pracowni – we własnym królestwie, do którego nikt inny nie miał dostępu.

Usiadł na niedźwiedzim fotelu, pośród makabrycznych głów i czaszek, po czym raz za razem czytał otrzymany list.

*Wirth wyjawil wszystko. Szanowne grono z Königsbergu zostanie poinformowane o pańskich machlojkach, podjętych w celu przywłaszczenia pieniędzy za czaszki, oraz o pańskim współudziale w śmierci Leona Prusa. A mamy jeszcze do tego interesujący zgon pastora Kramera! Słowem jest pan skończony. Jako dowód zasadności oskarżenia przesyłamy odznakę Wirtha. Mamy także jego pisemne zeznanie. Wie pan, co robić, jeśli chce oszczędzić sobie kompromitacji, a bólu i nędzy bliskim. Ma pan czas na honorowe rozwiązanie do zmierzchu. Obserwujemy pana. PRUSKI LUD.*

Kunzemu zakręciło się w głowie.

Czyżby wszystkie lata wysiłków, by dostać się na szczyt, poszły na marne? Jego kariera waliła się jak domek z kart. Co tu robić, co tu robić?

Przede wszystkim... musiał iść do pracy. Problemy problemami, ale robota nie mogła czekać. A przynajmniej doktor musiał sprawiać wrażenie służbisty, był od tego specjalistą. Pożegnał rodzinę i wyszedł z domu. Słuchał, jak pod stopami chrzęści mu śnieg, czuł się jak skazaniec.

Już w swoim biurze kilkakrotnie otwierał i czytał list, jakby za którymś razem zapisane atramentem słowa miały się zmienić lub zniknąć. Nic jednak z tego. Ten anonim był dla niego jak stryczek. Czekala go hańba. Straci rodzinę, majątek i przyjaciół. Zadzierający nosa teść, wywodzący swoje pochodzenie od pruskich

junkrów, nie przegapi takiej okazji, by go zniszczyć – przecież nigdy nie pogodził się z tym że córka wybrała na męża mola książkowego, a nie oficera. Liczni znajomi patrzyli nań podejrzliwie od czasu, gdy jego sytuacja finansowa zaczęła się poprawiać, więc teraz z przyjemnością pogrążą Kunzego. A łoża... Wyssie go i wypluje. Nie zostawię mu ani krzty godności i choćby feniga. To było gorsze niż śmierć.

Doktor patrzył na szkice podwodnych machin pozawieszane na ścianach, jakby to one miały mu zapewnić jakąś drogę ucieczki. Lecz tak naprawdę wywołały tylko wspomnienia. Rysunki przypomniały, ile wysiłku, czasu i fantazji wymagało zdobycie czaszek z Ponape.

Eksperymentalny dzwon nurkowy. To dzięki niemu Leon Prus mógł zejść na kilkanaście metrów pod wodę, w pobliże wraku statku Kubarego leżącego między wyspami archipelagu Jaluit, i oświetlić głębiny zewnętrznymi lampami elektrycznymi.

Skafander jak z „Dwudziestu mil podmorskiej żeglugi” Verne’a. Tyle że prawdziwy, kauczukowy, z hełmem nurkowym. Podobny miał na wyposażeniu Leon Prus. Sam schodził w nim do wody, by wydobyć zatopione skarby Kubarego, ale bez rezultatu. Ostatecznie udało się to tylko dzięki miejscowym straceńcom – gotowym zaryzykować życie, byle zarobić.

Okręt podwodny. To z kolei coraz bliższa przyszłość. Dzięki takim jednostkom Niemcy odkryją kiedyś swoje prastare korzenie. Zatopiony kontynent, z którego przynieśli światło. Atlantyde, Lemurię – jak zwał tak zwał.

Kunze żył wśród swych mistyfikacji, oszustw i złudzeń nawet podczas pracy w sądzie – której zresztą nie lubił i którą de facto gardził. Czuł, że marnował tam swoje życie. Przekonany był, że stworzono go do rzeczy wyższych. Dlaczego więc się nie udało? Gdzie popełnił błąd? Przecież wymyślił plan, przekonał do transakcji ludzi z Towarzystwa, załatwił truciznę, sporządził odpowiednie raporty o „wypadku” Prusa.

„To przez pomagierów Wirtha. Zbyt wielu i niezbyt właściwych” – pomyślał. „Któryś z tych półgłówków musiał się wygadać. Zawsze chcą więcej pieniędzy, nigdy nie potrafią utrzymać języka za zębami”. Jedyne wyjście to ich także zabić, nim powiedzą zbyt wiele. Jedyne wyjście, to liczyć na siebie i załatwić czarną robotę samemu. Tak jak z tym wścibskim pastorem, któremu Kunze sam rozbił czaszkę i upozorował wypadek.



Doktor zacisnął zęby i pięści. „Kim jest ten PRUSKI LUD? Nie po to poświęciłem sprawie tyle lat, by wszystko naraz stracić” – gorączkowo rozmyślał. „Nie pozwolę się zniszczyć! Nigdy. Zapamiętaję mnie na zawsze”.

Koło południa doktor nie poszedł jak zwykle do kantyny, lecz nieoczekiwanie wrócił do domu. Spakował zdobyte czaszki w kuferek, zabezpieczając je grubymi tkaninami. Obok włożył maszynopis swojego ostatniego artykułu, podpisany jak zawsze inicjałem MK. Rozwiął w nim wszelkie wątpliwości co do tego, że obie czaszki są autentyczne i faktycznie zostały wydobyte z wraku statku Kubarego, a nie zakupione w innym miejscu i dostarczone jako rzekome skarby z Nanmatał, z mitycznej Lemurii.

Potem upił się do nieprzytomności.

Tak znalazła go żona. Nigdy nie wchodziła do gabinetu męża, ale tym razem drzwi zastała otwarte. Co więcej, zobaczyła przez nie męża zwisającego bezwładnie z dziwaczного fotela. Musiała zareagować. Wystraszona, złamała zakaz i weszła do „sanktuarium” małżonka.

Czując smród alkoholu zrozumiała, że to tylko nadmiar mocnego trunku. Mogła więc odetchnąć. Jednak widząc trofea męża, owe makabryczne ludzkie głowy – sama nabrała ochoty, by się upić. Z kim ona żyła pod jednym dachem?

I był jeszcze list. Leżał porzucony na stole, jakby zachęcał, by go przeczytać.

Zrobiła to. A potem się rozplakała.

Szlochała jeszcze, gdy Kunze się przebudził. Rozszalał się z gniewu. W pijackim amoku wygonił kobietę z gabinetu. Ta zamknęła się w sypialni, nie przestając krzyczeć.

Tymczasem doktor, chwiejąc się i trzęsąc, zapieczętował kuferek. Następnie wziął go pod pachę i zaniósł na pocztę. Tam nadał na adres, pod którym mieściło się Towarzystwo Wotana w Königsbergu. „Niech wiedzą, że to wszystko prawda. Niech wykorzystają w przyszłości dla dobra rasy. Dla mojej chwały”.

Potem Kunze poszedł na stację w Rastenburgu i rzucił się pod nadjeżdżający pociąg.

Helmut Roch i Irmina Prus obserwowali ten skok z daleka. Jego oczy pozostawały zimne jak oczy kłusownika patrzącego na konające zwierzę. Zaś na jej twarzy nie było widać satysfakcji, tylko ogromne zmęczenie. Szantaż zawsze miał swoją cenę, dobrze to wiedziała.

\*\*\*

Sadowski pamiętał Hansa Wirtha sprzed lat. Zarządca Eichmedien był wtedy młodym zapaleńcem, który namawiał jego żonę Elwirę do organizowania seansów spirytystycznych, spisywania przepowiedni i nagrywania ich na fonografie. Oferował za to pieniądze od jakiegoś tajemniczego towarzystwa. Sadowska skorzystała z oferty, dlaczego nie. Chciała zapewnić córce dobrą przyszłość, a mężowi – środki na realizowanie jego pasji. Myślała o wszystkich, tylko nie o sobie. Współpraca z towarzystwem odebrała jej zdrowie. Nikła w oczach, jakby każdy seans, każdy trans wysysał z niej siły.

Mąż wtedy jednak nie protestował. Jakby nie chciał widzieć, na jaki wysiłek naraża swoją towarzyszkę życia. Gdyby Sadowski obwiniął Wirtha i jego towarzystwo za to, co się stało z Elwirą, musiałby też oskarżyć siebie. Nie robił tego. Nie potrafił albo nie uważał tego za słuszne – trudno powiedzieć. Co więcej, tylko na początku próbował przeciwdziałać osobliwemu zachowaniu córki, która najwyraźniej podążała śladem matki. Sadowski zrozumiał, że z tym nie wygra i że zakazy pogorszą tylko sytuację – Miłka zamknie się w sobie i będzie rozważać swoje tajemnicze obrazy i głosy w samotności. A to byłaby prosta droga do szaleństwa.

Dlatego postanowił, co zdarzało mu się często, być czysto pragmatyczny. Spróbował „ukierunkować”, jak to sobie powtarzał, talent Miłki. Chciał ją trzymać z daleka od seansów spirytystycznych, przepowiedni oraz klientów gotowych skorzystać z usług cudownego dziecka. Zamierzał ją zatrzymać dla siebie i dla duchów przeszłości, które sam tropił. Uznał bowiem, że równie łatwo jak przepowiadać czyjąś śmierć, dziewczynka mogła wskazać miejsca strzeżone przez tajemnicze siły, które zwykliśmy nazywać duchami. Miejsca w starych zamkach i kościołach, naznaczone tajemniczą energią, bo związane z gwałtownymi uczuciami – jak chciwość, żądza, zazdrość. Ich przedmiot stanowiły ukryte bogactwa, zrabowane skarby, zapomniane depozyty, z którymi owe tajemnicze siły nie mogły się rozstać nawet po śmierci człowieka. Bo co do tego, że takowe duchy istnieją, Sadowski nie miał wątpliwości. Nie brał tego za nieracjonalne, nielogiczne szaleństwo. Poznawszy naturę szczególnego daru, z jakim urodziły się żona i córka, za większe wariactwo uznałby, że taki świat astralny, niewidzialny, nie istnieje.

Tyle że, jak okazało się w Bäslack i innych miejscach, Miłka nie potrafiła wskazać żadnych depozytów. Żadnych skarbów, na których znalezienie tak liczył ojciec, gdyż pragnął poprawić ich pozycję społeczną i materialny byt. Nie został nowym Schliemannem<sup>[68]</sup>, nie znalazł własnego skarbu Priama. Czyżby więc umiejętności Miłki były ograniczone tylko do wizji z „aniołami śmierci”, jak je nazywała?

To byłoby smutne i przerażające. Taki dar Sadowski najchętniej by odrzucił. Lecz może nie było wyboru?

Myślał o tym, gdy w jednym z kolejnych numerów „Rastenburger Zeitung” przeczytał o zadziwiającym wypadku sprzed paru dni w Gisbertshof<sup>[69]</sup> pod Eichmedien. Oto zarządca majątku von Redeckerów i jego służący wpadli nocą we wnyki założone przez kłusowników i zamrozili. Wedle dziennikarzy wydawało się, że nieszczęśnicy nawet nie próbowali się wyrwać z żelaznych szczęk. Jakby spokojnie w nich zasnęli i nie doczekali rana. A przecież, jak sugerował autor artykułu, niejeden z nas gotów byłby poświęcić stopę i samemu ją oderżnąć, byle wyrwać się śmierci. Czyżby obaj nieszczęśnicy byli pijani?

Cała sprawa była o tyle dziwna, że do wypadku nie doszło w środku lasu, a w zagajniku niedaleko cmentarza rodu von Redeckerów. Nie jest to miejsce bardzo odludne, bogate w zwierzynę czy znane z kłusownictwa. Wirth i Gustaw – bo o nich chodziło, jak wywnioskował z artykułu Sadowski – wybrali się tam wieczorem, nie wiadomo po co. Jeśli bowiem szukali kłusowników, to dlaczego nie wzięli ze sobą broni? Jeżeli zaś chodziło o inspekcję cmentarza czy po prostu wizytę na grobach, dlaczego wybrali tak późną porę?

„Wydaje się, że gdyby obaj pechowcy krzyczeli, to wrzask w środku nocy mógłby zaalarmować kogoś z mieszkańców nie tak odległych gospodarstw. Jednak nikt nic nie słyszał. A może jeszcze pojawią się jacyś świadkowie? Na razie miejscowi zwracają głównie uwagę na to, że do tragicznego zdarzenia doszło 1 stycznia, czyli w dniu tradycyjnie uważanym przez zabobonny pruski lud za tyleż świąteczny, co wymagający ostrożności, bo można było na siebie pecha. Podkreślmy jednak, że to również dzień, w którym pije się dużo alkoholu i nikt nie wylewa za kołnierz. Czyżby to była kolejna tragedia, którą trzeba złożyć na karb zamiłowania do mocnych trunków?” – zakończył pytaniem swój artykuł dziennikarz „Rastenburger Zeitung”.

Sadowski odłożył gazetę. Jego własne przemyślenia były zupełnie odmienne: „Zatem Miłka po raz kolejny się nie pomyliła. Kolejne dwie osoby z wieczerzy w Eichmedien spotkały swoje anioły śmierci”.

Pozostała już tylko jedna, ostatnia.

Im Sadowski dłużej o tym myślał, tym bardziej nie dawało mu to spokoju. Poczuł, że musi działać. W imieniu swoim, Miłki i tej ostatniej osoby. Po to, by nabrać pewności. By wiedzieć.

Nie miał czasu do stracenia. Dlatego już nazajutrz wybrał się do Lyck i odszukał przedszkole Marty Schellong. Tylko tyle pamiętał o młodej damie, z którą wspólnie jedli kolację w Eichmedien. Chwaliła się wtedy, że jest nowoczesną kobietą, prowadzącą w Lyck przedszkole. Tak jak Sadowski przypuszczał, na szczęście była w „stolicy Mazur” tylko jedna tego rodzaju placówka. Pech chciał, że panny Schellong nie było tego dnia w pracy. Z niewiadomych przyczyn. Może nagle się rozchorowała?

Słyszając, że sprawa jest pilna, nauczycielki przekazały Sadowskiemu adres swojej chlebodawczyni i wyjaśniły, gdzie szukać jej kamienicy. W tę pędą Sadowski pobiegł do mieszkania. Ślizgał się po oblodzonym bruku, omal się nie przewrócił. Serce biło mu jak oszalałe. W budynku susami pokonał schody i z trudem już łapiąc powietrze, stanął przed drzwiami mieszkania panny Schellong.

Chwycił za rączkę kołatki i zastukał. Nikt nie otwierał. Kołatka wydała mu się dziwnie cicha, więc zaczął pukać palcami. Też bez efektu. W końcu chwycił za klamkę i szarpnął.

Drzwi otworzyły się bez trudu.

Skonsternowany Sadowski ostrożnie wszedł do środka.

– Panno Schellong! – zawołał. – Panno Sche...

Głos uwiązł mu w gardle.

Młoda kobieta w koszuli nocnej leżała nieruchomo w drzwiach do kuchni. Obok ciała dostrzegł zaadresowaną kopertę i puste kolorowe puzderko z napisem w obcym języku. Jak mu się wydawało, było to jakieś lekarstwo. Zużyte lub nadużyte.

Sytuacja wyglądała na aż nazbyt oczywistą: list pożegnalny, trucizna, samobójstwo. Ale może nie było jeszcze za późno?

– Panno Schellong – powiedział Sadowski tym razem cicho, delikatnie potrząsając ramionami kobiety. – Panno Marto?

Gdyby się obudziła... To dawałoby nadzieję, że Miłka nie zawsze musi mieć rację. Że dziewczynka nie będzie skazana na życie w cieniu pojawiających się wokoło aniołów śmierci.

Gdyby zaś Marta Schellong nie wstała... To oznaczałoby, że Sadowski bez najmniejszych wątpliwości ma w domu przerażający skarb – nie taki połyskujący od złota, jaki zawsze chciał odkryć, lecz rzadki i straszliwy, z którego istnieniem po prostu musi się pogodzić. Bo śmierci nie da się oszukać.

KONIEC

## OD AUTORA

„Pruski lód” jest literacką fikcją, ale osadzoną w historycznych i geograficznych realiach. Za inspirację posłużyła mi słynna w swoim czasie tzw. afera Kotzego, związana z obyczajowym skandalem Hohenzollernów w myśliwskim zamczku Grunewald. Natomiast pojawiający się w powieści książna i książę Baden nie mają związku z historycznymi wielkimi książętami Badenii.

Mazurskie realia odwzorowałem dzięki współczesnym opracowaniom i książkom (m.in. prof. Stanisława Achremczyka), czasopismom z epoki (wyjątkiem jest zmyślony artykuł z „Rastenburger Zeitung”) oraz z pomocą materiałów p. Andrzeja Czaplińskiego zebranych na stronie internetowej [www.kamienie-wilhelma.net.pl](http://www.kamienie-wilhelma.net.pl).

Dziękuję wszystkim, którzy mnie zainspirowali, oraz bliskim i znajomym, którzy wspierali mnie przy pracy nad tą książką.

# PRZYPISY

[1] Obecnie Ełk.

[2] Jezioro Ełckie.

[3] Przez wieki obowiązywał pruski system miar – z milami, sążniami, łokciami, funtami etc. – jednak od 1 stycznia 1872 roku wprowadzono system metryczny. Maksymalna głębokość Jeziora Ełckiego wynosi 56 m.

[4] Królewiec, dziś Kaliningrad.

[5] Dziś dzielnica Szyba.

[6] Kętrzyn

[7] Niedzica

[8] Barciany

[9] Dziś w obwodzie kaliningradzkim.

[10] Iława Pruska, dziś w obwodzie kaliningradzkim.

[11] Kwidzyn

[12] Malbork

[13] „Gazeta Ludowa” nr 95 z 20 grudnia 1899 roku, s. 1.

[14] Wśród Polaków lepiej znany jako Hakata.

[15] Olsztyn

[16] Srokowo

[17] Węgorzewo

[18] Karl Leonhard Velthusen (1812–1892) – prawnik, społecznik i pisarz, jako jeden z pierwszych opiewał naturalne piękno Mazur.

[19] Znajdował się on pod Welawą, dzisiejszym Znamieńskiem w obwodzie kaliningradzkim.

[20] Łyna

[21] Stare Juchy

[22] Pisz

[23] Bajtkowo

[24] Giżycko

[25] Korsze

[26] Olsztyn

[27] Bartoszyce

[28] Sypitki

[29] Zawady-Tworki

[30] Kalinowo

[31] Dolny Śląsk

[32] Karkonosze

[33] Liczyrzepa

[34] Śnieżka

[35] Krasnolesje, obwód kaliningradzki; sam domek myśliwski był bliżej innej obecnej miejscowości Radužnoje.

[36] Prakwice

[37] Słobity

[38] Pasłek

[39] Las Pojezierski

[40] Jezioro Wersminia

[41] Martiany

[42] Pożarki



[43] Nakomiady

[44] Las Pojeziński

[45] Joseph Karl Stieler (1781–1858), autor słynnego portretu Ludwiga van Beethovena z 1820 roku.

[46] Barciany

[47] Drogosze

[48] Prosna

[49] Sztynort

[50] Inaczej: Prusy Górne.

[51] Dorota z Mątowów

[52] Baliwat Utrechcki Zakonu Teutońskiego w Niderlandach najpierw oddzielił się od zakonu w Prusach, a następnie zerwał też z papieżem.

[53] Kalākaua (1836–1891)

[54] Gustav Sabac el Cher (1868–1934)

[55] Inna forma: Pohnpei.

[56] Inaczej: Nan Madol.

[57] Asuny

[58] Górowo Iławeckie

[59] Lasy Barańskie

[60] Charakterystyczne pomieszczenie gospodarcze w chatach mazurskich.

[61] Mazurska uczta pogrzebowa.

[62] Ziemia Cesarza Wilhelma

[63] Niemiecka Nowa Gwinea, dziś Papua Nowa Gwinea.

[64] Polski tytuł: *Gamiani, czyli dwie rozpustne noce*. Prawdopodobnie autorstwa Alfreda de Musset i George Sand.

[65] Po łacinie Sclavus, Sclavi, gentes Sclavorum, skąd zapewne wzięły się określenia na niewolnika w wielu językach (niemieckie sklave, francuskie esclave, hiszpańskie esclavo,

angielskie slave).

[66] Po polsku Pieśń mazurskiego wędrowca bądź Pieśń mazurska. Friedrich Dewisheit (1805–1884) był niemieckim poetą z Prus Wschodnich, w latach 1829–1845 był nauczycielem w ełckim gimnazjum.

[67] W tłumaczeniu Wiktora Szelera z 1923 roku: „Ojczyzna to nasza, te wody i las/Niech żyją Mazury, ten kraj pełen kras!”. Za: „Głos Lubelski” nr 295, 23 listopada 1919, s. 4.

[68] Heinrich Schliemann (1822–1890) – niemiecki archeolog amator, odkrywca m.in. ruin Troi.

[69] Godzikowo